



*Małgorzata J.
Kursa*



*Niespodziewany
trup*

Dochodziła dwudziesta trzecia. Na zewnątrz panował mrok, jedynie taras i schodki rozjaśniało światło nad wejściem do domu. Było zimno, bo noce listopadowe nie należą do najcieplejszych, ale Luiza nie zwracała uwagi na temperatury. Bulgotała w niej złość i uraza. Ten cholerny Filip zachowywał się, jakby nagle zapomniał o jej istnieniu. Sterczał przy burmistrzowej niczym przyśrubowany do podłoża i bredził głupoty o tym, jakie to Kraśnik ma szczęście, że trafiła mu się tak urocza gospodyni. Debil! Tyle w niej było uroku, co w snopku siana. No, może w snopku więcej... Gdyby ona, Luiza, miała tyle kasy i męża burmistrza, też by wyglądała jak z żurnala. A jakie możliwości ma prowincjonalna dziennikarka? Kiedy w dodatku były mąż odmawia sponsorowania potrzeb kobiety, która poświęciła się i urodziła mu potomka?

Do wścieklej Luizy nie docierało, że Pawełek płaci regularnie ciężkie pieniądze na swojego jedyne go syna. Że pamięta o jego urodzinach, imieninach i wszelkich okazjach wymagających prezentów, że stara się widywać potomka, mimo że jego matka utrudnia mu to ze wszystkich sił. Że dopiero dwa lata temu udało mu się spłacić kredyt zaciągnięty na budowę domu, który po rozwodzie Luiza zatrzymała.

Zeszła ze schodka, zastanawiając się, jak powinna się zachować wobec Filipa. Jeśli wparuje do środka i wyciągnie go siłą, wyjdzie na zazdrośnicę i popsuje sobie układy z kraśnickim świecznikiem. Choć nie znosiła burmistrzowej z całego serca, miała tyle przytomności umysłu, by tego nie okazywać. Kto wie, co w przyszłości uda się z niej wyciągnąć. Tamta dopiero miała się przekonać, że na górze nie ma przyjaciół, tylko konkurenci. Luiza znała ten światek od wielu lat i była ekspertem od układów i świństw.

Zeszła z następnego schodka i poczuła, że w potwornie drogich pończochach, które kupiła specjalnie na to przyjęcie, leci oczko. No, pięknie. Powrót odpada. Wyszłaby na zazdrośnicę i fleję w dodatku.

Poprawiła apaszkę pod szyją, zapięła szczelnie jesionkę i wściekła na cały świat wolno ruszyła w stronę wymyślnej furtki. Musiała jakoś dotrzeć do domu, a nie miała ochoty o tej porze sterczeć na przystanku. Na imprezę przywiózł ją Filip i razem mieli wrócić. W tej sytuacji wspólny powrót odpadał. Luiza nie miała ochoty przyglądać się, jak jej dochodzący, bo dochodzący, ale własny facet obskakuje na dwóch łapkach te wszystkie ważne flądry z nadzieją, że podbite jego urokiem, będą go wkręcać na godne uwagi imprezy. Źle się czuła ze świadomością, że jest outsiderem w tym nowo formowanym kraśnickim światku. Cholera, że też akurat te ostatnie wybory musiały wszystko popsuć. W poprzedniej sitwie była nieźle zakotwiczona. Znała wszystkich, dokładnie wiedziała, czego może się po nich spodziewać i, co najważniejsze, czuła się wśród nich akceptowana. Była im potrzebna. Ci tutaj dopiero obwąchiwali się wzajemnie i do świata mediów podchodzili z nieufnością. Nowy burmistrz na widok kamery podawał tyły, a na niewygodne pytania mamrotał najwyżej: „Bez komentarza”. Nie, to nie były stworzenia medialne. Ale może to i dobrze. Łatwiej ich będzie złapać na jakiejś głupocie. Gna, Luiza, była dobra w te klocki. Z malutkiego potknięcia potrafiła zrobić aferę. Jeszcze im pokaże, kto tu naprawdę jest ważny.

Podniesiona nieco na duchu tą konkluzją, dotarła do furtki i już miała ją otworzyć, kiedy usłyszała przyciszone męskie głosy. Zastygła w pół gestu i od razu zapomniała o Filipie. Głosy z pewnością należały do młodych ludzi, a temat, który omawiały, był nietypowy i bardzo intrygujący. Tak intrygujący, że każdy uczciwy obywatel natychmiast powiadomiłby o treści

rozmowy policję.

Luizie jednak nawet przez myśl to nie przeszło. Przed oczami miała wielki sensacyjny artykuł podpisany swoim nazwiskiem i przedrukowany przez którąś z ogólnopolskich gazet. Ostrożnie wsunęła się w zarośla przy furtce i zamieniła w ogromne ucho. Ucho wspomagane przez trzymany w dłoni bardzo czuły dyktafon. Ukochane narzędzie pracy, z którym nigdy się nie rozstawała.

Lukrecja Szczęsna z ulgą wyłączyła laptopa i popatrzyła na zajętego męża. Łukasz leżał w łóżku oparty o wysoko ułożoną poduszkę z nosem w jakichś papierach, które najwyraźniej nie wzbudzały w nim zachwyty, bo przeglądał je ze zmarszczonymi brwiami.

– Kończymy na dziś? – zapytała półgłosem.

– Z przyjemnością. – Natychmiast odłożył papiery na nocną szafkę i zachęcająco poklepał miejsce obok siebie. – Może zajęlibyśmy się powiększeniem rodziny? Córka by mi pasowała. Podobna do ciebie. Najmłodszy Wroński nie miałby kłopotu z wyborem żony.

Luka parsknęła śmiechem.

– Łukasz! On ma dopiero trzy miesiące!

– No, właśnie. Trzy plus dziewięć daje rok różnicy. Tylko wolałbym, żeby charakter odziedziczył po Januszu, nie po Monice...

– A propos Moniki – przypomniała sobie Luka, hamując rozbawienie.

– Dasz radę jutro przed pracą podrzucić jej wałówkę?

– Znowu? – Łukasz jęknął. – Co tym razem? Pierogi, kotlety czy naleśniki?

– Pierogi. I ciesz się, że ciebie tym nie pasę, tylko wypycham z domu – fuknęła żona. – W pracy też już nie mogą patrzeć na to żarcie. Konrad zaczął wyglądać jak klucha i Basieńka go postraszyła, że wyśle go na

wczasy odchudzające... To już ostatni raz. Załatwiłam mamie, że wszystko, co jej nie zjedzie, będzie pakować na tacki i dostarczać do kraśnickich sklepów. Chętnie wezmą.

– Bo tyle razy jej tłumaczyłem, że niepotrzebnie tak dużo robi. – Łukasz westchnął. – No, owszem, dziadki z przyjemnością zjedzą potrawy swojej młodości, ale dziś już nawet babcie dbają o cholesterol...

– Szczególnie babcie. Każdy lekarz im to zaleca... Nie martw się. Ciotka Eliza wzięła mamę w obroty i wytłumaczyła, że musi dbać o zdrowie klientów, jeśli chce ich mieć jak najdłużej. Mama ma pogadać z Martą Artymowiczową na temat żywienia starszych ludzi... Kurczę, mówiłam jej wcześniej, ale nie słuchała. Wyobrażała sobie, że zostanie od razu kraśnicką bizneswoman, która daje pracę emerytkom i dokarmia starsze pokolenie tradycyjnie, a nie jakimiś zachodnimi wymysłami. Przecież umie gotować lekkostrawnie!

– Nie przyszło jej do głowy, że w Kraśniku od jej wyjazdu wiele się zmieniło – mruknął Łukasz. – Święta niedługo. Jeszcze zdąży się wykazać znajomością tradycji. Teraz będziemy musieli uważać, żeby nie przegięła w drugą stronę, bo splajtuje. Twoja matka ślepie i głuchnie, kiedy coś sobie wbije do głowy.

– Wiem – westchnęła Luka. – Ale przynajmniej nie ma czasu na wprowadzanie swoich porządków w mieście. To cud, że jej wtedy nikt nie zrobił krzywdy.

– Wiesz, co ja myślę? Ona nie działała sama. Przysięgnęłbym, że ciotka Eliza też brała w tym udział...

Kamila i Luka, które spotkały się przed Domem Kultury, gdzie mieściła się redakcja „Echa Kraśnika”, zdziwiły się nieco, kiedy portier im oznajmił, że kluczy do ich siedziby nie ma, ale nie zaprzętały sobie tym

głów. Uznały obie, że naczelny doznał jakiegoś wstrząsu i pierwszy raz w życiu pojawił się w pracy wcześniej. Widok siedzącej przed komputerem Luizy bębniącej z zapalem w klawiaturę zdumiał je. Znieruchomiały w drzwiach i wbiły w nią pełne niedowierzania spojrzenia.

Kamila oprzytomniała pierwsza.

– Czy ja mam jakieś omamy? – zagruchała słodko i teatralnym gestem przetarła oczy. – Luka, widzisz to, co ja? Nasza redakcyjna gwiazda bladym świtem przygnała do roboty. Natchnienie cię sparło?

– Jest dziesiąta – mruknęła Lukrecja i podeszła do swojego biurka.

– Odczep się, Kama! – warknęła wściekle Luiza i uniosła głowę znad klawiatury. – W domu mam szpital! Tomaszek złapał w szkole jakiegoś wirusa i zaraził mamę! Musiałam ich obsługiwać przez sobotę i niedzielę! Dzwoniłam do Ady, żeby przyszła, ale gdzieś ją wyniosło! Sama byś spróbowała pisać w takich warunkach!

– Masz tupet, żeby wysługiwać się byłą teściową – stwierdziła Kamila, opierając się o biurko Konrada. – Los jednak bywa sprawiedliwy. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Zapewne nie byłaś na tym wieczorku zapoznawczo – obwążującym u burmistrza? A przez chwilę myślałam, że nasz najważniejszy obywatel cię molestował i piszesz artykuł na ten temat.

– Burmistrz? – Luiza prychnęła pogardliwie. – Kadencje ci się chyba pomyliły. Od paru miesięcy mamy nowego. Wzór cnót wszelakich... Byłam na imprezie i nudziłam się jak mops. Wszyscy sobie z dzióbeków jedli i popadali w ekstazę, kiedy na nich spoczęło oko zastępcy. Wiedzą, kto rozdaje karty.

– Usłyszałaś coś ciekawego? – zainteresowała się Kama. – Oni jeszcze słabi w te klocki, może się komuś coś wyrwało?

– Nic, czego bym nie wiedziała – skrzywiła się Luiza. – Filip mnie

wkurzył i wyszłam przed końcem.

Kamila w duchu dopowiedziała sobie resztę. No tak. Ich redakcyjny fotograf był niedoścignionym mistrzem w podlizywaniu się każdej władzy. Obskoczenie wszystkich liczących się gości musiało mu zająć sporo czasu i Luiza z pewnością poczuła się zlekceważona.

– A propos Filipa. Też zmienił obyczaje i przyszedł wcześniej?

– Nie zmienił i nie przyszedł – warknęła Luiza zniecierpliwiona, bo pchało ją, by skończyć tekst i zgrać na prywatnego pendrive'a. – Puścił SMS – a, że się spóźni. Podobno burmistrz sobie zażyczył, żeby go sfotografował w pełnym entourage'u i pod bronią. W Urzędzie Miasta... Odczep się ode mnie chwilowo. Dokończę to i jadę na zwiady do komendy. Dzwonili, że złapali dwóch gówniarzy, co okradali mieszkania.

– A dlaczego on mu robi te zdjęcia w godzinach pracy? – zapytała złowieszczo Kamila. – Nie popadłam w uwielbienie dla burmistrza i nie dawałam Filipowi takiego zlecenia. O ile wiem, szef też nie. Ja bym...

Nie dokończyła, albowiem do redakcji wpadł żwawym truchtem Konrad Błoński. Widok był niecodzienny, ponieważ Konrad, nawet potężnie spóźniony, poruszał się majestatycznie i dość ślamazarnie.

– Pędziłem jak rączy mustang na prerii z wiatrem w grzywie – oświadczył radosnym, choć mocno zasapanym głosem i z ulgą opadł na krzesło przy swoim biurku. – Pić! Ratujcie, rodaczki!

Luka, pchnięta samarytańskim przymusem, natychmiast podała mu butelkę mineralnej. Luiza, szczęśliwa, że Kama znalazła nowy obiekt do konwersacji, znowu zaczęła walić w klawiaturę, głucho na bodźce zewnętrzne.

– Najwyżej jak zapasiony wałach – stwierdziła bezlitośnie Kamila. – Po tych wałówkach od Luki nie wyglądasz jak mustang... Spóźniłeś się,

Kondziu.

– Wiem, serce moje, ale utknąłem przy Mariusz – ku. Basieńka jest dziś pierwszy dzień w pracy. Musiałem poczekać na teściową, żeby...

– Pracuje? – zapytały jednocześnie Luka i Kama. – Gdzie?

– W Avalonie – obwieścił rażno Konrad i uśmiechnął się szeroko. – Przypadkiem wpadło jej w ucho, że szukają pracownika, poszła na rozmowę i przyjęli ją.

– W księgami. Fajnie. U nas czy w starej dzielnicy?

– U nas. Dobrze, bo na miejscu. Mariuszka nie chcieliśmy dawać do przedszkola i babcia się nim zajmie. Tylko musimy to dopracować, bo dziś trochę nie wyszło... Dobra, to do roboty. Masz dla mnie jakiś temat? Bo z sesjami na razie mamy spokój...

– Nie mamy spokoju. Ogarnij się i pojedziesz do zakładu energetycznego, a na dwunastą masz być w USC, bo będzie nadzwyczajna sesja – poleciła Kama. – Podobno Lublin kombinuje, żeby nasz zakład przenieść do Puław. Popytasz pracowników, co o tym myślą i zrobisz sondę z łapanki. Mnie osobiście to się nie podoba. Nie mam ochoty zasuwac do Puław, żeby coś załatwić...

Luiza wyszła z komendy policji i wolnym krokiem podeszła do swojego samochodu, przyglądając mu się z nagłą niechęcią. Dziesięcioletnia skoda, kupiona z drugiej ręki, nie spełniała jej wymogów estetycznych, ale pozwalała przemieszczać się bez problemu. Jej były mąż nie dał się, niestety, naciągnąć na nowy samochód, upierając się głupio, że lwią część zarobków zabierają mu raty za dom. Skąpiradło cholerne. A ta jego Iza jeździ nowiutką toyotą i mu jakoś nie szkoda. To, że Iza kupiła samochód za własne ciężko zarobione pieniądze, Luizy nie obchodziło. Dla niej liczyły się fakty, nie jakieś nieistotne szczegóły.

Wsiadła do samochodu i zadumała się ponuro. Co by tu wykombinować? Pawełka już na nic nie naciągnie. Na sam jej widok włączał dyktafon, co ją zniechęcało do wygłaszania żądań, bo nie życzyła sobie być oskarżana o pazerność. A głupi sąd tak by to pewnie potraktował. Jeszcze, nie daj Boże, zmniejszyliby alimenty na Tomaszka... Filip najbardziej lubił korzystać z cudzych pieniędzy, ale czuł niepokojącą awersję do wydawania własnych na kogoś innego niż on sam. Że jest w tym podobny do niej, Luizie nie przyszło do głowy. Od Ady Łęckiej pewnie wyciągnęłaby bez problemu każdy grosz, mydląc jej oczy potrzebami wnuka. Cóż, kiedy ten cholerny Pawełek założył matce lokatę, na którą wpływała renta, a ona miała dla siebie do dyspozycji tylko to, co zarobiła na szyciu. Podśluchała kiedyś, jak Ada szczebiotała do drugiej babci, że oszczędza na studia dla wnuka. Stara zołza! Wnuk jeszcze z głodu nie umiera, a ona tak potrzebuje gotówki...

Ze złością uderzyła pięścią w deskę rozdzielczą Bogu ducha winnej skody, bo ze świstem przeleciały jej przed oczami wszystkie tak niezbędne dla dobrego samopoczucia kobiety akcesoria. Rozpaczliwie potrzebowała możliwie dużego zastrzyku gotówki. Zaraz... A może... Sensacyjny artykuł nie ucieknie. Ciągłe coś się dzieje, bez problemu znajdzie inny temat. A gdyby tak... Dysponowała wiedzą, która przynajmniej dla dwóch osób w tym miasteczku była bezcenna. Musiałaby tylko opracować plan i odczekać, aż owe osoby zrealizują swój. Miałyby z czego płacić za jej milczenie. Wyciągnęłaby od nich kasę i wreszcie mogłaby wyjechać z tej cholernej, nudnej miejsciny.

Luiza uznała, że należy jej się nagroda za ten błyskotliwy pomysł. Zanim wróci do redakcji, zajrzy do fryzjera i dopieści włosy.

Anna Orzechowska, współwłaścicielka salonu fryzjerskiego ANUSIA

(bo od jakiegoś czasu zwykły zakład już klientów nie satysfakcjonował), ślamazarnie krzątała się po pomieszczeniu i wzdychała rzewnie. Poniedziałek nie był jej ulubionym dniem tygodnia, ale musiała go jakoś przeżyć. Ruchu pewnie nie będzie. Na szczęście przewidująco wzięła ze sobą książkę, którą kierowniczka biblioteki, Ala Minatowa, odłożyła specjalnie dla niej, zaręczając, że na pewno oderwie ją od codziennych kłopotów. Dobrze by było, bo te kłopoty wylażyły ostatnio z każdego kąta, a ten największy, choć najbardziej kochany, pięcioletni, poranki rozpoczynał od codziennego, zwięzłego meldunku:

– Mami, ja bym chciała tatusia.

I co można było powiedzieć na takie *dictum*? Że tatuś, dowiedziawszy się o swoim ojcostwie, najpierw wybałuszył przerażone oczka, a potem dał drapakę za ocean,wołąc uszczęśliwić swoją osobą daleką rodzinę niż własne dziecko? Jak można coś takiego powiedzieć dziecięciu? Ufnemu i niemające – mu pojęcia, że ten świat dookoła nie zawsze bywa przyjazny?

– Pani Anusiu, wolna pani? – Do środka wpadła znajoma dziennikarka. – Oj, jak dobrze... Zrobi mi pani kolor, bo już mam odrosty. I może podciąć trochę? Jak pani myśli?

– Chcesz być moim tatusiem?

Patryk Karwicz, który właśnie z uwagą oglądał leżące na półkach bombonierki i zastanawiał się, czy jedna z nich mogłaby złagodzić nieco pretensje jego matki, nawet przez chwilę nie pomyślał, że pytanie może być skierowane do niego. Co jak co, ale słodczye mamy niezłe – uznał w duchu. – Mama uwielbia kwiaty. Dokupię do tego jakąś słodką różyczkę i może da mi spokój na jakiś czas.

– Cłowieku, mówię do ciebie! – Pocztał szarpnięcie za spodnie. – Chcesz być moim tatusiem?

Patryk odwrócił się i zobaczył przed sobą małą kobietkę w wersji blond. Dziewczynka była śliczna. Anielską buzię okalały jasne loczki wysuwające się spod błękitnej czepeczki, a oczy o niespotykanej orzechowej barwie wpatrywały się w niego wyczekująco. Nie miał pojęcia, w jakim była wieku, ale z pewnością jeszcze nie chodziła do szkoły.

– Hej, Blondie. – Uśmiechnął się i przykucnął. – Zgubiłaś się? Gdzie twoja mama?

Dziecko westchnęło i spojrzało na niego z naganą.

– W placy. Nie jestem Blondie, tylko Ewunia. A na długie mam Pałtycja.

Patryk stropił się lekko.

– Pal... Partycja? Dziwne i... A, Patrycja! – domyślił się. – Ewunia Patrycja. Podoba mi się. A wiesz dlaczego? Bo ja mam na imię Patryk. – Wstał i wyciągnął dłoń do małej. – Jeśli mama w pracy, to pewnie jesteś tu z tatą. Chodź, poszukamy go, bo pewnie się denerwuje.

Dziecko obrzuciło go przenikliwym spojrzeniem i ponownie westchnęło.

– Chyba się nie nadajes – stwierdziło z wyraźnym żalem. – Nie słysys, co się do ciebie mówi. Mam tylko mamę. Taty dopięło sukam.

Patryk w popłochu rozejrzał się po sklepie. Z doświadczenia wiedział, że istoty płci żeńskiej różne miewają pomysły na upolowanie kandydata, ale nie miał pojęcia, co może przyjść do głowy małej dziewczynce. Co będzie, jeśli zacznie się upierać, że jest jej ojcem? Albo przeciwnie, narobi krzyku i ktoś go weźmie za pedofila?

Przez chwilę miał ochotę uciec jak najdalej, ale przypomniał sobie, że dysponuje przecież komórką. W najgorszym razie, gdyby okazało się, że dzieciak się zgubił/ zadzwoni na policję.

– Z kim tu przyszłaś? – zapytał niewinnie.

– Z dziadkiem – wyjaśniła bez oporu Ewunia. – Bo babci też nie mam... O, tam stoi. – Pokazała paluszkiem. – Psy jogultach... Nie lubię jogultów, ale ocywiście nikt mnie nie pyta o zdanie...

– Jogurty są zdrowe – stwierdził Patryk stanowczo i wziął ją za rączkę. – Chodź. Zaprowadzę cię do dziadka.

– Powinam była wiedzieć, że się nie nadajes...

Wiktor Orzechowski – były mistrz fryzjerski, obecnie emeryt (choć czasem zdarzało mu się zastępować córkę) na co dzień pełniący odpowiedzialną funkcję ojca i dziadka – obierał warzywa do zupy i zerkał spod oka na swoją ukochaną wnuczkę, zastanawiając się, jak wytłumaczyć pięcioletniemu dziecku, że ojców nie kupuje się w supermarketach. Przygoda w sklepie wprawiła go w rzetelny popłoch. Wyobraził sobie, jak na codziennych spacerach Ewunia zaczepia nieznajomych mężczyzn. A jeśli któryś skorzysta z okazji i uprowadzi dziecko?

– Dziadek, czemu ty nie masz babci? – Złotowłose aniołek oglądający przy kuchennym stole kolorową książkę porzucił zajęcie i łypnął orzechowym okiem na zadumanego protoplastę – Posła do nieba?

Wiktor pomyślał, że w zasadzie mógłby się zgodzić z tym określeniem. Niebo Anity znajdowało się w Niemczech i miało na imię Johann. W przeciwieństwie do piekła imieniem Wiktor dysponowało majątkiem i nie żądało od niej wykonywania żadnych prac domowych, albowiem miało od tego służbę. Dwie Polki pracowały sprawnie i za niewielkie pieniądze. Anita miała tylko pięknie wyglądać, co bardzo jej odpowiadało. Skuszona tym rajskim życiem, już po roku od wyjazdu (wyjechała szukać pracy, kiedy jej córka właśnie miała zdawać maturę) wysłała do Polski papiery rozwodowe i obszerną epistołę, w której

wyjaśniała, że jest istotą ludzką i ma prawo do szczęścia. Argumenty Wiktora nie przekonały, ale – kiedy już oboje z Anusią doszli do siebie po szoku – zgodził się na rozwód, bo uznał, że nie ma sensu tkwić u boku kobiety, która po prawie dwudziestu latach wspólnego życia wypina się na rodzinę.

– Babcia mieszka w Niemczech i ma nowego męża – wyjaśnił teraz wnuczce z nutką goryczy w głosie. – Zapewniam cię, Ewuniu, że można żyć bez babci i bez taty. Ty masz do dyspozycji mamę i mnie. Bardzo cię oboje kochamy, wiesz przecież o tym.

– Stara Majewska mówiła, że kobieta potsebuje męskiego lamienia – oznajmiła Ewa Patrycja pouczająco. – I ze dzieci bez taty źle skłęczają.

Wiktor osłupiał. Stara Majewska była liderką wśród blokowych plotkar. Z upodobaniem zajmowała się egzystencją sąsiadów i chętnie wygłaszała opinie na ich temat, ale chyba tym razem poszła za daleko. Co, na litość boską, brak ojca mógł mieć wspólnego ze skręcaniem dzieci?

– Jak to: źle skręcają? – Spojrzył na wnuczkę pytająco.

– Nie w tę dlogę, co tseba.

Wiktorowi ulżyło. Ten problem akurat nie zaprzętał jego umysłu. Od tego byli oboje z Anusią, żeby Ewunia miała prostą drogę przez życie i nigdzie nie musiała skręcać.

– Stara wiedźma – mruknął pod nosem, a głośno powiedział: – Twoja mama ma męskie ramię. Moje. Jestem jej ojcem i zawsze będę jej pomagał.

– No, widzisz? – Ewunia rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie. – A ja nie mam taty i nikt mi nie pomoże – westchnęła.

– Ale masz dziadka! Kocham cię bardziej niż jakikolwiek tata na świecie! I zawsze ci pomogę!

Złotowłosey elf obrzucił go taksującym wzrokiem i z ubolewaniem

pokręcił główką.

– Dziadki już nie wszystko mogą – stwierdził z denerwującą pewnością w głosie. – Stale są. Stała Majewska mówiła, że dziadki są gorse jak dzieci i więcej psy nich loboty.

Wiktor poczuł, że zaczyna go swędzieć ręka i pośpiesznie odłożył nóż. Przez chwilę miał nieprzepartą ochotę dopaść uciążliwej sąsiadki i udowodnić jej, że może i dziadki są gorse niż dzieci, ale z pewnością mają więcej siły i determinacji. Przy najbliższej okazji powie jej, co sądzi o takim bezmyślnym ławkowym kłapaniu, kiedy w pobliżu jest młodsze pokolenie i uszy ma nastawione na odbiór.

– Taty się baldziej psy dają – dobiła go wnuczka i wróciła do książeczki.

Kamila siedziała w swoim pokoju i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w ścianę przed sobą. Nie żeby owa ściana była specjalnie interesująca, ale jej słonecznikowa żółć dobrze działała na szare komórki. Co było w tym momencie bardzo wskazane, albowiem Kamila usiłowała rozpracować Luizę. Koleżanka zachowywała się ostatnio dość nietypowo i dobrze byłoby wiedzieć, co tak straszliwie zaprzęta jej umysł. Z tego, co Kama wiedziała z autopsji, zwykle takie zachowanie owocowało zjadliwym, pełnym pomówień i nieściskości artykułem, który lądował na jej biurku z żądaniem natychmiastowego druku. Potem zaś następowały dantejskie sceny, bo nikt o zdrowych zmysłach, znający choć trochę prawo prasowe, nie zaryzykowałby opublikowania takiego tekstu. Luiza zaczynała wrzeszczeć na całą redakcję, że ona w takich warunkach nie może pracować, ponieważ żaden rasowy dziennikarz – a niewątpliwie do takich należy redaktor Lisiec – nie zniesie notorycznego podcinania skrzydeł. Całe środowisko medialne od dawna już zdaje sobie sprawę, że liczy się *news*.

To, co raz zostało napisane i przeczytane, automatycznie staje się prawdą. A ten cholerny zaściankowy Kraśnik już do końca świata będzie tkwił mentalnością gdzieś w średniowieczu i nie pojmie tej prostej zasady.

Kama osobiście chętnie by się zgodziła na takie średniowiecze i ten typ zaściankowości. Każdy przegląd prasy brukowej kończył się u niej zgrzytaniem zębów i konkluzją na temat upadku dziennikarstwa w kraju ojczystym. Co z tego, że Zachód korzystał z takich praktyk od dawna? No i niech tam. Zawsze musimy małpować to, co inni wymyślają? Coraz częściej Kamila dochodziła do wniosku, że komuniści nie byli tacy głupi. Cenzura by się przydała, choćby po to, by zmusić niektórych dziennikarzy do poprawnego używania języka polskiego. Tyle że cenzura musiałaby być porządnie wykształcona polonistycznie, a o to dziś trudno. Nawet nauczyciele bywają w dzisiejszych czasach niedouczeni. Znajoma Kamy niedawno opowiadała o traumie własnego dziecka, które do niej – porządnie humanistycznie wykształconej, rodzonej matki – miało pretensje o nieznamość polskiej ortografii. Nauczycielka bowiem poprawiła dziecięciu w pracy domowej słowo „druh” na „druch”. Kamile takie opowieści zniechęcały, bo zaczynała czuć się, jakby rzucała perły przed wieprze, ale zaciskała zęby i tym wnikliwiej przyglądała się twórczości własnych pracowników. Choć, odkąd do zespołu „Echa Kraśnika” dołączyła Luka, poziom gazety bardzo się podniósł. Osobistą ambicją Lukrecji była eliminacja wszelkich błędów i literówek. Kama naprawdę miała z niej dużą wyrękę.

Przypomniała sobie nagle, że Filip i Luiza znajdują się poza redakcją i postanowiła zarządzić burzę mózgów z dwójką zaufanych pracowników.

– Słuchajcie! – oznajmiła gromko, ledwo weszła do ich pokoju. – Mam pytanie. Ważne. Zauważyliście, że Luiza ostatnio dziwnie się

zachowuje?

Konrad Błoński i Lukrecja Szczęsna jednocześnie unieśli głowy nad klawiatury i popatrzyli na nią z lekkim roztargnieniem. Konrad usiłował właśnie wycisnąć jakiś głębszy sens z przeraźliwie nijakich wypowiedzi nowego burmistrza, a Luka dopieszczała swój ostatni artykuł poświęcony działalności Klubu Seniora. Kama wyrwała ich z transu.

– Dziwnie? – Konrad zamrugał oczami. – To znaczy jak?

– Przestała się o wszystko wyklócać. Daję jej temat i każę jechać, a ona nic. Jedzie i odwała robotę bez słowa. Nie czepia się Filipa. Przychodzi wcześniej do pracy i ciągle wydzwania do komendy, jakby się spodziewała Bóg wie jakich sensacji – wyliczyła Kamila jednym tchem i przysiadła przy biurku Luizy. – Nie dziwi was to?

– Może przechodzi menopauzę – mruknął Konrad niemrawo, bo stenogramy z sesji miejskich wprawiały go coraz częściej w dziwny stupor umysłowy.

– Ty jeszcze zaliczasz się do istot myślących? – zainteresowała się zgryźliwie Kama. – Luiza jest dopiero po trzydziestce. Nie wmówisz mi... Kondziu, w okresie menopauzy ona będzie jak granat bez zawlecзки! Wspomnisz moje słowa i będziesz zanosił modły, żeby jej szybko przeszło!

– Masz rację, Kama. Dziwi – przyznała Luka, która zdążyła się już zastanowić nad słowami koleżanki. – Dzisiaj Filip ślinił się na temat jakiejś małolaty, którą wypatrzył przez okno, a Luizie nawet powieka nie drgnęła. Zupełnie jakby nie słyszała. Popatrzyła tylko na niego z politowaniem... Myślisz, że dorwała kogoś innego?

Kamila zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, jak zaczynały się podchody Luizy do Filipa. Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to zmiana perfum. Po rozwodzie z Pawełkiem intensywnie woniała Currarą. Zmieniła

zapach na lżejszy, gdy Filip stwierdził z niesmakiem, że kojarzy mu się z modliszką.

– Luka, wahałaś ją? – zapytała pośpiesznie.

Konrad rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

– Myślisz, że wpadła w alkoholizm? Nie widziałem, żeby gdzieś znikwała. I nic od niej nie czuć – stwierdził stanowczo. – A jak Luka zacznie ją obwąchiwać, może dojść do rękoczynów...

– Dlaczego miałabym ją wahać? – zdziwiła się jednocześnie Lukrecja.

– Ona jest z tych, co zmieniają perfumy przy zmianie faceta – wyjaśniła Kamila w zadumie. – Nie, chyba to nie to... Odnoszę wrażenie, że Luiza przypomina terrorystę, który planuje atak – najpierw przyczajka, a potem srruu!

Konrad w dalszym ciągu nie mógł załapać, o co koleżance chodzi. Zamiast się cieszyć, że w redakcji panuje zawieszenie broni, szuka dziury w całym.

– Niech sobie planuje. – Wzruszył ramionami. – Kogo może wysadzić z siodła? Burmistrz nie ruszył naczelnego, bo się panicznie boi oskarżenia o czystki, to i Luiza nie da rady. Ciebie też nie ruszy, bo bez ciebie ta gazeta się rozleci...

– Mnie może – przerwała Luka niespokojnie.

– Ii tam. Nie będzie zadzierać z organami ścigania – pocieszył ją Konrad. – Dobrze wie, że twój Łukasz ma niezłe układy z Jerczykiem. Pamiętam, że sama próbowała usidlić pana prokuratora, zanim się ożenił. A mnie też nie uważa za zagrożenie.

– Może spróbuje wymiksować Filipa? – zastanowiła się Kama.

– Niech próbuje. Mała strata – prychnął redaktor Błoński. – Może na

jego miejsce dostalibyśmy kogoś lepszego.

– Drugi raz tego nie powtórzę, ale – Kamila ściszyła konspiracyjnie głos – powiem wam w zaufaniu, że zastępca burmistrza chętnie by wywalił naszego bossa. Wice jest cholernie pamiętliwy, a to, co ludzie myślą o jego metodach, ma w głębokim poważaniu. Może jestem przesadnie ostrożna, ale na ile znam Luizę, to ona zawsze się tak zachowywała, kiedy coś knuła albo dokopała się jakiegoś wybuchowego tematu. Cholernie się boję, co jej tym razem wpadło do tego rudego łba. Gdyby coś do was dotarło, dajcie znać. Spróbuję jakoś zminimalizować skutki kataklizmu, zanim nas zmiecie z powierzchni.

Za oknami zapadał wilgotny listopadowy zmierzch. Anusia Orzechowska powoli dopijała w kuchni herbatę, usiłując przekonać samą siebie, że zadanie, którego się podjęła, nie przerasta jej możliwości. Na stole przed nią spoczywała „Bajka o królowie Śnieżce”, którą podsunęła jej niezawodna Ala Minatowa. Kierowniczką biblioteki, a prywatnie matką jej szkolnego kolegi, powiadomiona o egzystencjalnych problemach Ewy Patrycji przejęła się szczerze i uznała, że należy uświadomić najmłodszej pannie Orzechowskiej, iż tatusiowie nie zawsze są pożądanymi. Obie z Anusią przeszukały pod tym kątem cały katalog i, zrezygnowane, doszły do wniosku, że wszyscy bajkopisarze w swoich opowieściach byli antyfeministami – zawsze podlejsza wobec dzieci okazywała się kobieta. Jediną istotą rodzaju męskiego, gorszą od niej, bywał tylko smok, który owe dzieci bezlitośnie pożerał. Wreszcie po głębokim namyśle Ala Minatowa wybrała „Bajkę o królowie Śnieżce” i zaleciła Anusi, by, czytając ją córce, przystosowała treść do tezy – kochający król miał się zamienić w kochającą królową, a zła królowa w podłego macocha. Ten macoch powstał z potrzeby chwili, bo w ferworze dyskusji obie na śmierć zapomniały, że istnieje inne

słowo na męski typ macochy. Ojczym, mianowicie. Anusi zakodował się macoch.

Po powrocie do domu ukradkiem przejrzała zawartość książeczki i doszła do wniosku, że treść bajki jest zbyt przerażająca dla pięcioletniego dziecka. Postanowiła ją nieco zmodyfikować.

– Dawno, dawno temu za siedmioma górami, za siedmioma rzekami – czytała powoli Anusia, pilnie wypatrując miejsc, gdzie konieczna będzie zmiana płci bohaterów – żyli sobie król i królowa. Mieli małą córeczkę, którą nazywano Śnieżką, bo cerę miała białą jak śnieg. Byli bardzo szczęśliwi i bardzo się kochali, ale przyszło nieszczęście i król zmarł, pozostawiając rodzinę w rozpacz...

– A po co on umiał? – chciała wiedzieć przejęta Ewunia, spoglądając wyczekująco na matkę.

– Dlaczego – poprawiła Anusia. – Nie „po co”, tylko „dlaczego”.

– No to dlaczego?

– Bo... – Anusia uznała, że to idealny moment, by przemycić trochę „smrodku dydaktycznego”, jak mistrz Wańkowicz określał wszelkie wychowawcze zabiegi rodzicielskie, i w natchnieniu wyjaśniła: – Bo nie chciał jeść jogurtów. Wtedy ludzie nie znali takich leków jak dziś i jedynym sposobem, żeby nie zachorować, było jedzenie jogurtów. Król nie chciał, zachorował na grypę i zmarł.

– To było dawno – zlekceważyła królewską głupotę Ewa Patrycja. – Telaz juz by nie musiał, lekaz by mu coś psepisał.

– Teraz też by musiał – oznajmiła surowo jej matka. – W telewizji wciąż pokazują reklamy, które zalecają jedzenie jogurtów...

– Telewizja kłamie. Stała Majewska mówiła.

Anusia poczuła, że nie znosi starej Majewskiej z całego serca. Czy ta

baba nie ma nic innego do roboty, jak uświadamiać jej osobistą córkę? Niech popracuje nad własnymi wnukami, bo dorosłe a głupie...

– Ewuniu, czy ty musisz powtarzać jak papuga wszystko, co mówi stara Majewska? – zapytała przygnębiona. – Ona nie ma patentu na wszechwiedzę.

– Casami nie lozumiem, co do mnie mówis – poskarżyła się córka. – Cego ona nie ma?

– Nie wymyśliła sposobu, żeby wiedzieć wszystko – wyjaśniła Anusia. – Nie ma na świecie takiego człowieka, który wie wszystko na każdy temat i umie odpowiedzieć na każde pytanie. Majewska też tego nie potrafi, choć jej się wydaje, że tak... Czytamy dalej?

Ewa Patrycja z przejęciem śledziła dramatyczne losy królewny Śnieżki, którą zły macoch kazał ukradkiem wyprowadzić z zamku i zostawić samą w ciemnym lesie. Uśmiechnęła się z satysfakcją, kiedy cała przygoda zakończyła się szczęśliwie, a macoch poniósł zasłużoną karę. Uznała jednakże, że musi się upewnić co jednej rzeczy.

– Mami, macoch jest wtedy, jak mamy mają długiego męża, tak?

– Tak.

– Ulzyło mi – buzia dziewczynki rozjaśniła się. – To ja mogę sukać taty dalej. Ty jescce zadnego męża nie miałaś...

Anusi opadły ręce wobec takiej logiki. Uznała, że poniosła totalną klęskę wychowawczą, pośpiesznie ucałowała córkę na dobranoc, otuliła kołderką i ewakuowała się do kuchni.

– Misiek, kurczę teraz nie mogę. – Lala Minatówna, od dwóch miesięcy oficjalna narzeczona Piotra Barnaby, patrzyła na brata przepaszającym wzrokiem. – No wiem, że ci obiecałam, ale dziś od rana mamy urwanie głowy. Jedna z pacjentek zasłabła i usiłowała to zwalić na

Maminkę. Dopiero gdy pogotowie przyjechało, to się okazało, że specjalnie nie wzięła insuliny, bo jej córka podpowiedziała, że może uda się wyłudzić odszkodowanie... Kurczę, ale ludzie są głupi!

– Pazerni, nie głupi – skorygował Michał Minat i westchnął. – No, ale już po wszystkim, to...

– Nie mogę! Przez tę jedną głupią babę mamy poślizg i teraz muszę kierować ruchem jak zawiadowca stacji. Sam widzisz, że już dwie osoby czekają na swoją kolejkę. Dobrze jeszcze, że nikt się nie kłóci... Misiek, stąd do Anusi jest parę kroków. Szyld na drzwiach jest taki wielki, że trudno go nie zauważyć. Jesteś dorosły, chyba możesz trafić sam i nie wpaść po drodze pod samochód?

– Ale mnie by było przyjemniej, gdybyś ze mną poszła – wymamrotał Miś.

– Ty nie idziesz na obcięcie głowy, tylko włosów! – powiedziała stanowczo Lala. – Jeszcze nie słyszałam, żeby Anusia zrobiła komuś krzywdę za pomocą nożyczek! No wiem, że w liceum znana była głównie z tego, że jest niebezpieczna dla otoczenia, ale jako fryzjerka jest fantastyczna!

– A może ja bym kiedy indziej...

– Cześć, Minaty! – Do poczekalni wparował szeroko uśmiechnięty Patryk Karwicz, zwany niekiedy Patykiem z powodu przerostu formy nad treścią w odległych latach młodzieńczych, i wyciągnął w kierunku Lali kopertę. – Możesz to przekazać Mamince, jak już skończy? Mamuśka kazała mi dostarczyć do rąk własnych, ale widzę, że macie ruch w interesie, nie będę...

– Co to jest? – zapytała Lala surowo, bo Patryk znany był w Familii ze swoich niewybrednych dowcipów.

– Nie wiem. – Karwicz wzruszył ramionami. – Jestem tylko posłańcem. Matka wspominała coś o jakimś olejku. Pewnie czegoś potrzebuje od Maminki. Wszystko jest w środku... Co tu robisz, Misiek?

Zanim Michał zebrał się na odpowiedź, Lala złapała Patryka za rękę i oznajmiła stanowczo:

– Masz dużo czasu, o ile mi wiadomo. Ja jestem tu uwiązana, a Misiek musi iść do fryzjera, bo ma za długie włosy. Tata powiedział, że mu się niedobrze robi, jak patrzy na ten jego kucyk. Byłabym spokojniejsza, gdyby ktoś dostarczył go na miejsce. To blisko, ale po drodze jest dość ruchliwa ulica, a Misiek miewa różne pomysły. Zaprowadzisz go do ANUSI. Nie musisz potem na niego czekać, postaram się wyrwać na moment, jak skończy te postrzyżyny...

– A skąd będziesz wiedziała, kiedy masz się wyrwać? – zainteresował się Miś.

– Misiek, od tego są komórki – powiedziała siostra, przewracając oczami. – Puścisz mi SMS – a i przyjdę...

– Co to jest ANUSIA? – chciał wiedzieć Patryk.

– Zakład fryzjerski za plecami przystanku naprzeciwko parku – wyjaśniła zniecierpliwiona Lala. – Patyk! Ty już tak sfrancuziałeś, że nie znasz własnego miasta?

– Dobra, dobra, już nie pyszcz... Chodź, Misiek, skoro ci niańka potrzebna.

Złapał kolegę za ramię i wyciągnął z salonu. Lala odetchnęła z ulgą i wybiegła zza biurka, by pomóc wstać kolejnej schorowanej pacjentce.

Michał Minat siedział na fryzjerskim fotelu z owiniętą wokół szyi błękitną pelerynką i z niepokojem nasłuchiwał szczęku nożyczek wokół swojej głowy. Anusię Orzechowską pamiętał jeszcze z liceum, bo chodzili

do jednej klasy. Wtedy większość młodzieży unikała bliższego kontaktu z nią, ponieważ bywał niebezpieczny dla zdrowia. Co było ironią losu, albowiem od Anusi wręcz biła chęć niesienia pomocy bliźniemu, a dobroć miała wypisaną w swych orzechowych oczach. Nigdy nikogo nie skrzywdziła świadomie. Po prostu tak jakoś wychodziło, że zawsze w jej pobliżu ludziom przytrafiały się dziwne rzeczy.

Patryk, który miał zamiar jedynie dostarczyć kumpla na miejsce kaźni i jak najszybciej zasiedlić stolik w najbliższej kafejce z nadzieją na zawarcie niezobowiązującej znajomości z przyjemną dla oka przedstawicielką płci przeciwnej, zmienił zdanie i skromnie przycupnął na krzeselku pod oknem. Spojrzenie mu się przykleiło do właścicielki salonu i nagle przestał się śpieszyć gdziekolwiek. Anusię rozpoznał, ledwo stanął w drzwiach salonu i w pierwszej chwili rzeczywiście miał ochotę podać tyły, bo przypomniało mu się ich ostatnie, bolesne dla niego, spotkanie. Cała szkoła brała udział w corocznym spędzie z okazji Dni Rejowskich. Patryk, którego żaden stres nie był w stanie pozbawić daru mowy, miał wygłosić powitanie na cześć dostojnych gości. Zajął miejsce na podium przed mikrofonem, ale – nim zdążył otworzyć usta – stojąca tuż za nim Anusia (miłosiernie zastąpiła kolegę, który pod pozorem niedyspozycji żołądkowej wyłgał się od zaszczytu) zagapiła się na coś i serdecznie zdzieliła szkolnym sztandarem niespodziewającego się ataku mówcę. To był jedyny raz, kiedy Patryk Karwicz nie był w stanie wydać z siebie głosu. Z bólu zabrakło mu tchu. Od tej pory omijał Anusię szerokim łukiem i nie miał pojęcia, że niebrzydki podłotek zamienił się w urodziwą kobietę.

– Orzeszek, tylko błagam, zostaw mi coś na głowie, żebym nie wyglądał jak skin – jęknął prosząco Misiek, zezując z niepokojem w lustro.

– Nie bój się. – Anusia zaszczękała nożyczkami niebezpiecznie blisko

jego ucha, co spowodowało, że młody Minat struchlał. – Lala dzwoniła i powiedziała, że masz wyglądać jak normalny człowiek, a nie żadna subkultura. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Masz taki gąszcz na głowie, że niejedna kobieta by ci pozazdrościła. Niektóre klientki mordują te swoje włosy i mordują, a potem się żalą, że wypadają...

– Bo co? – zainteresował się Misiek z nadzieją, że z mniejszym stresem przeżyje te postrzyżyny, jeśli fryzjerka zabawi go konwersacją.

– Bo co tydzień zmieniają umaszczenie albo używają jakichś cudacznym szamponów zupełnie nieodpowiednich do ich włosów – wyjaśniła Anusia, wydymając z dezaprobatą usta. – Przecież to jednak chemia. Im się wydaje, że mają włosy z azbestu?

Patryka nie zainteresowały problemy cudzego owłosienia, bo właśnie z uwagą studiował skalp przynależny do Anusi. Mijaną w przelocie na szkolnych korytarzach zapamiętał jako blondynkę. Teraz widział przed sobą zgrabną kobietę, wciętą i wypukłą tam, gdzie należy. W dalszym ciągu blondynkę, ale jakby inną. Bardziej złocistą? Trochę trwało, nim Patryk zrozumiał, że Anusia ma na głowie włosy blond w kilku odcieniach. Kiedy przez chwilę błysnęło marne listopadowe słońce, jej głowa wyglądała, jakby otoczyła ją złocista aureola.

Ogólnie widok się Patrykowi spodobał, ale do działania zniechęcało go przykre wspomnienie z liceum. Uznał jednak, że samo patrzenie krzywdy mu nie zrobi i z przyjemnością oddał się zajęciu, stanowczo odrzucając pomysł, by szkolną znajomość zacieśnić.

W jakieś pół godziny potem Anusia zdecydowała, że wystarczy tego dobrego. Odłożyła nożyczki i wzięła maszynkę do podgalania, której dźwięk wywołał u Misia nerwowe drgnięcie. Prawie dostał rozbieżnego zezą, usiłując wypatrzeć, co dziewczyna robi za jego plecami. Mimo wysiłków,

niczego w tej materii nie wskórał, więc w końcu poddał się zabiegowi z bolesnym westchnieniem.

Anusia odstąpiła krok od delikwenta, ze znanstwem przyjrzała się efektowi swojej pracy i uśmiechnęła z zadowoleniem. Obserwujący ją Patryk aż drgnął, bo ten niespodziewany uśmiech przydał dziewczynie tyle naturalnego uroku, że mu prawie dech zaparło ze zdziwienia.

– No, już po bólu. – Przesunęła szczupłą dłonią po Misiowych włosach i zdjęła klamerkę z pelerynki, po czym dokładnie ją wytrzepała. – Dwadzieścia złotych. W zeszłym roku brałam piętnaście, ale ostatnio wszystko podrożało – dodała przepraszająco.

Misiek wygrzebał z kieszeni spodni przygotowaną wcześniej pięćdziesiątkę i podał koleżance, oglądając jednocześnie z wielkim natężeniem swoje odbicie w lustrze. Widok mu się spodobał. Włosy lekko falowały, ale nie były kędzierzawe, czego bardzo nie lubił, bo małolaty z żeńskiej grupy, które uczył samoobrony, nazywały go wtedy słodkim misiaczkiem. Nie uważał się ani za słodkiego, ani za misiaczka.

– O kurczę – zmartwiła się Anusia, spojrzawszy na zmiętolony banknot. – Nie będę miała wydać. Jesteś dzisiaj pierwszym klientem... Zaczekaj chwilę – zakręciła się na pięcie i już w drzwiach wyjaśniła: – Tu obok jest oddział banku. Często u nich rozmieniam pieniądze. Zaraz będę z powrotem.

– No tak, teraz sobie przypominam – odezwał się leniwie Patryk, kiedy wyszła. – Rzeczywiście wszyscy wołali na nią Orzeszek. Od nazwiska chyba.

– I od koloru oczu. – Misiek stał przed lustrem i podziwiał swoją, pozbawioną konfliktowego kucyka, głowę. – Bo ma orzechowe.

– A czemu Anusia, nie Anka albo Ania? – dociekał Patryk. Bez

specjalnego powodu. Ot tak, żeby jakoś czas zagadać. – Imię jak ze starej powieści. Niedzisiejsze w każdym razie.

– Bo długo nosiła warkocz – wyjaśnił Miś bez oporu. – Długi. Czasem go upinała w taką... To się chyba nazywa korona. I wtedy naprawdę wyglądała jak Anusia z jakiegoś przedwojennego dworu.

– No, patrz. A ja zupełnie tego nie pamiętam. – Patryk pokręcił głową.
– Co prawda tyle było w liceum niebrzydkich dziewczyn... Mnie się jakoś wszystkie zlewają.

– Bo latałeś za każdą jak kura za pieprzem! – fuknął Minat. Poczerwieniał i wyznał: – Mieszkamy w tym samym bloku, tylko w innej klatce. I kiedyś mi się Orzeszek... No, bujałem się w niej. Bez szans, bo ona akurat straciła głowę dla tego idioty Sławka. Machnął jej dzieciaka i zwiął zagranicę... Dupek.

– Dzieciaka? – Patryk z miejsca stracił zainteresowanie dla panny Orzechowskiej i poczuł dziwną ulgę.

Anusia prawie wbiegła do banku, który mieścił się tuż obok jej zakładu. Była z siebie dumna, bo zdołała nie okazać, jakim wstrząsem było dla niej niespodziewane pojawienie się po tylu latach Patryka Karwicza. W czasach licealnych kochała się w nim zupełnie beznadziejnie, albowiem był największym sercołamaczem w szkole. Wszystkie dziewczyny wzdychały do niego, a on przebierał jak w ulęgałkach. I przy żadnej na dłużej nie zarzucił kotwicy.

Miała nadzieję, że nie pamięta o tym nieszczęsnym incydencie w czasie Dni Rejowskich. Tak się wtedy na niego zapatrzyła, że zapomniała zupełnie o sztandarze, który z wysiłkiem dzierżyła w dłoni i spowodowała katastrofę. Nic dziwnego, że potem nawet na nią nie spojrział.

– Ela, rozmięń mi pięćdziesiątkę. – Dopadła kasy i wetknęła banknot

w szparę w okienku. Rozejrzała się wokół i westchnęła. – U was też pusto. A myślałam, że przynajmniej banki mają wzięcie.

– Kredyt łatwo się bierze, ale spłaca nieprzyjemnie – mruknęła znajoma kasjerka. – Teraz każdy dwa razy myśli, zanim się zdecyduje... Powiem ci – zniżyła głos – że ja tam specjalnie nie tęsknię za większym ruchem. Ostatnio ludzie strasznie się zrobili niecierpliwi. No i obaj strażnicy nam dziś polegli – dodała trochę złośliwie. – Ciągłe coś przeżuwiają, wreszcie ich zmogło.

– Zaszkoziło im? – przejęła się Anusia, biorąc pięć dziesięciozłówek.

– Nic im nie będzie – fuknęła kasjerka. – Bogaci bulą ciężkie pieniądze za takie oczyszczanie organizmu, a oni sprawę załatwili we własnym zakresie. Przymusowa dieta dobrze im robi. Obaj już wyglądają jak tuczniaki. W czasie przerw latają do tego „Domowego jedzenia” i rąbią na okrągło pierogi... A co? U ciebie też posucha w in...

Urwała raptownie, bo nagle Anusia zniknęła jej z pola widzenia, a zamiast niej pojawiło się ukominiarkowane indywiduum w stroju militarnym maskującym, wsunęło przez otwór w okienku coś, co wyglądało jak pistolet z filmów gangsterskich i wycharczało rozkazującym tonem:

– Szmal do dziury albo sprawdzę, czy mam cela. Szybko, lalunia, zwijaj się! Miły wyraz twarzy poproszę i ręce trzymaj daleko od alarmu, bo będę nieprzyjemny!

Skamieniała kasjerka rzuciła wokół rozpaczliwym wzrokiem, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą. Dwie koleżanki, które zwykle przy stolikach prowadziły obsługę kredytów, wpatrywały się z wytrzeszczem w drugiego osobnika, identycznie odzianego i także trzymającego w dłoni broń palną. Widok ją zniechęcił do stawiania oporu. Trzęsącymi się rękami zaczęła w

panicznym pośpiechu wyciągać spod lady, a potem z sejfu za plecami paczki banknotów i na oślep wypychać je przez otwór w okienku. Napastnik bez słowa systematycznie pakował je do plecaka, a kiedy w końcu pracownica banku spojrzała na niego bezradnie, wycharczał:

– Tyle? Na pewno? – i zaczął zniżać pistolet ku wycięciu.

– Nie mam więcej! – wykrztusiła przerażona kasjerka i z ulgą zobaczyła, że bandzior macha na kumpla.

– Pójdiesz z nami i otworzysz tylne wejście. Bez głupich pomysłów, bo strzelę. Rozumiesz? Wyłaź!

Odepchnięta brutalnie od okienka Anusia, straciła równowagę i niespodziewanie znalazła się na posadzce, ściskając w dłoni banknoty. Przez chwilę nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Przed sobą widziała tylko eleganckie adidasy rozmiaru kajaków i spodnie typu moro. Ostrożnie zerknęła ku górze. Napastnik był zamaskowany od stóp do głów. Nie miała pojęcia, jakiego koloru ma włosy i ile może mieć lat. Kiedy zapinał plecak, dostrzegła breloczek w kształcie żyrafy przyczepiony do suwaka.

Skamieniała, kiedy zobaczyła, że adidasy robią zwrot w tył. Nie była w stanie się poruszyć. Zamknęła oczy w nadziei, że kiedy je otworzy, po bandziorze nie będzie już śladu i wtedy usłyszała wściekłe syknięcie:

– Kurrrdybanek pospolity! Z drogi, łajzo, bp zabiję jak psa!

Napastnik potknął się, z trudem utrzymał równowagę, odskoczył i pośpiesznie ruszył za współnikiem, który trzymał na muszce przerażoną kasjerkę zmierzającą na drżących nogach ku tylnemu wyjściu. Pozostawionym luzem pracownikom żaden bohaterki pomysł do głów nie przyszedł i trwały w całkowitym bezruchu wpatrzony w wycofujących się złodziejasków.

Kiedy Anusia usłyszała szcęk otwieranych tylnych drzwi, ocknęła się

nagle z dziwnego stuporu i otworzyła oczy. Jeszcze w szoku, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, poderwała się na równe nogi i rzuciła ku wejściu do banku. Tkwiło w niej granitowe przekonanie, że najbezpieczniejszym miejscem na całej planecie jest jej zakład i tam zamierzała spędzić resztę życia.

Dopiero kiedy wybiegła, dwie pozostałe pracownice jednocześnie nacisnęły guzik blokujący główne wejście. Po chwili dołączyła do nich blada jak ściana kasjerka i, dopadłszy swojego miejsca pracy, włączyła przycisk alarmowy.

Anusia dopadła zbawczych drzwi własnego zakładu, zatrzasnęła je za sobą i roztrzęsionymi rękami założyła blokadę. Przyszło jej nagle do głowy, że szyba jest wprawdzie wzmocniona, ale z pewnością nie kuloodporna i jęknęła ze zgrozy. Co będzie, jeśli bandyci zawrócą, zlokalizują ją i pozbędą się świadka? Bez namysłu rzuciła się w stronę zaplecza. Postanowiła tam siedzieć, dopóki sytuacja jakoś się nie unormuje. Potem ewentualnie zadzwoni po ojca, by bezpiecznie odstawił ją do domu.

Usiadła na krześle przy biurku, objęła się ramionami i nagle uświadomiła sobie, że jutro będzie musiała, jak co dzień, pojawić się w swoim miejscu pracy. O matko, a jeśli oni wrócą? Kto ją obroni?

Jęknęła głośno i zaczęła się kołysać zgięta w pół, jakby ją rozboleł brzuch. Doszła właśnie do wniosku, że jej jedyne dziecko ma duże szanse, by zostać sierotą i ta świadomość doprowadziła ją na skraj rozpacz.

Dwaj czekający na powrót właścicielki panowie z niejakim zaskoczeniem przyglądali się jej dziwnemu zachowaniu, a kiedy, pojękując, zniknęła na zapleczu, popatrzyli na siebie zdezorientowani.

– Brzuch ją rozboleł? – zastanowił się Misiek.

– I z powodu bolącego brzucha pozamykała za sobą wszystko na trzy

spusty? – zwałpiał Patryk i z urazą w głosie dodał: – Mam wrażenie, że zupełnie zapomniała o naszej obecności. Chyba że to jakiś nowy sposób na złapanie klienta. Może teraz mnie zmusi, żebym się ostrzygł? – Zerknął w lustro i stwierdził, że nie widzi powodu do jakiegokolwiek fryzjerskiej ingerencji.

– Ciebie to już nikt nie obchodzi poza samym sobą! – zdenerwował się Miś. – Jak tu wpadła, ręce jej się trzęsły i jęczała! I blada była jak duch! Coś się musiało stać! Może ktoś ją napadł? Miała przy sobie pieniądze!

– Iii tam. Pięćdziesiąt złotych – skrzywił się Patryk lekceważąco. – Wielkie pieniądze.

– Dla niektórych wielkie – uciął Minat. – Zajrzę do niej. Zapytam, co się stało.

Karwicz nie czuł w sobie samarytańskiego przymusu, ale poszedł za nim. Anusia na widok intruzów poderwała się z krzesła, rzuciła wokół dzikim wzrokiem i bez namysłu kicnęła pod biurko, przez cały czas ściskając w dłoni pięć dziesięciozłotówek.

Misiek lekko zbaraniał, a Patryk stojący tuż za nim prychnął rozśmieszony. Do tej pory nie spotkał istoty płci żeńskiej, która szukałaby kryjówki na jego widok.

– Anusia, no co ty – wyjąkał stropiony Minat, przykucając przy biurku. – To ja, Misiek. Ktoś ci zrobił krzywdę? Pokaż mi go tylko, to ja go zaraz... Ja wiem, każdy myśli, że jestem ciapa, ale bić się potrafię... Anusia, wyjdź. Ja cię obronię... No, chodź. – Wyciągnął rękę w kierunku skulonej dziewczyny.

Anusia przez chwilę wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem, wreszcie w jej oczach błysnęły łzy. Na czworakach, nie przestając ściskać pliku banknotów, wyczołgała się z kryjówki, a kiedy Misiek pomógł jej

wstać, wczepiła się kurczowo w jego koszulę i rozszłochała w głos.

– Raczej jej nie okradli – mruknął Patryk, dostrzegłszy zawartość zaciśniętej dłoni.

– Wszystkie pieniądze! – Anusia nagle odzyskała głos. – Pistolety mieli! Odepchnął mnie! Ela z nim poszła! Jezu, a jak ją zabił?! Na policję trzeba!

Miś rzucił wymowne spojrzenie na kolegę i pogładził dziewczynę uspokajająco po ramieniu.

– Coś się stało w banku? – zapytał łagodnie.

– Napad był! – Anusia wbiła w niego zapłakane oczy. – Broń mieli! Wszystko zabrali! Jezu, a ja uciekłam jak tchórz! Może Elę zabili! Albo porwali! Widziałam wszystko! Zabiją mnie! O mamusiu, co ja zrobię?! A jak mi dziecko porwą?!

W tym momencie do ich uszu dotarł przeraźliwy dźwięk policyjnej syreny.

– Zdaje się, że dzielna policja właśnie dotarła – mruknął Patryk i pokręcił głową z niedowierzaniem. – No, no. Kto by pomyślał. Napad na bank w takiej miejscinie jak Kraśnik...

– Anusia, byłaś świadkiem – powiedział Misiek z powagą. – Powinnaś się zgłosić i złożyć zeznania. Może zapamiętałaś coś, co im pozwoli szybko ich złapać.

Anusia zadygotała i rzuciła mu przerażone spojrzenie.

– A jak oni mnie... Jak się dowiedzą, że ja...

– Jak już wszystko powiesz, nie będą mieli powodu, żeby ci robić krzywdę – Miś pogłaskał ją po głowie. – Przecież ci z banku też będą musieli zeznawać. Jeśli od razu nikogo nie zabili, to teraz już będą myśleć tylko, jak się bezpiecznie zadekować z łupem.

– Rozpoznałaś kogoś? – zapytał nagle Patryk.

– Nie – westchnęła Anusia żałośnie. – Mieli kominiarki. To mógł być każdy.

– No właśnie – powiedział Karwicz z naciskiem. – Nie stanowisz dla nich zagrożenia. Powiesz, co wiesz, i to wszystko. O resztę będzie się martwić policja.

– Po... poczekacie tu ze mną? Muszę się po... pozbierać... – W Anusi wszystko truchlało na samą myśl, że będzie przesłuchiwana.

– Misiek chyba ma niedługo zajęcia – stwierdził radośnie Patryk. – Ja mogę zostać. Mam kupę czasu.

Minat popatrzył na niego z oburzeniem, ale zahaczył spojrzeniem o wiszący nad biurkiem zegar i westchnął bezradnie.

– Rzeczywiście – mruknął ponuro. – Mam zajęcia dla emerytów... Anusia, gdybyś mnie potrzebowała, to dzwoń. Zapiszę ci numer komórki. Najwyżej coś zełgam i przylecę. A potem mogę cię odprowadzić do domu. Kończysz o osiemnastej, prawda? To sobie poprzekładam zajęcia i będę robił za twojego ochroniarza. Nie bój się. Nie dam ci zrobić krzywdy.

Anusia spojrzała na jego dobroduszną twarz, którą знаła właściwie od dziecka, poczuła nagle muskulamość obejmujących ją ramion – bo Michał Minat składał się głównie z mięśni – i doznała lekkiej ulgi.

– Idź, Misiu – oznajmiła bohatercko, choć głos jej trochę drżał. – I dziś już niczego nie przekładaj. Złożę te zeznania, a potem zadzwonię do Lali. Poproszę, żeby po pracy tu do mnie podeszła i razem wrócimy.

– A wytrzymasz tu do końca dnia? – Misiek spojrzał na nią niespokojnie. – Nie będziesz się bała?

– Będę – wyznała Anusia szczerze. – Ale w razie czego mam czym się bronić. Nożyczki, lakier do włosów, coś się nada. No i mogę wrzeszczeć,

przecież obok jest przystanek... Wiesz, chyba się do ciebie zapiszę na tę samoobronę. Na wszelki wypadek.

Powiadomiony o napadzie komendant kraśnickiej policji najpierw nie mógł uwierzyć własnym uszom, a potem poczuł do tępych bandziorów osobistą urazę.

Nie mogli napadać gdzie indziej? Akurat Kraśnik im się spodobał? Teraz wszystkie tutejsze media rzucą się na niego jak sępy i będą się domagać konkretnych informacji. Jeszcze, nie daj Boże, „Panorama Lubelska” zainteresuje się tematem i też wyśle reporterów...

Komendant lubił kamerę, pod warunkiem że pokazywała jego chlubną służbę dla miasta. Przy braku dobrych wiadomości wołał się nie pokazywać. Teraz szybko zastanowił się, kogo by tu rzucić na to pole minowe i od razu przyszedł mu na myśl Szczęsny. Chłopak miał dziwny fart przy rozwiązywaniu skomplikowanych spraw, a nie domagał się dodatkowych zaszczytów. Wystarczało mu poklepanie po ramieniu i ustna pochwała. Gdyby udało mu się z sukcesem zakończyć śledztwo, wszelki splendor spadnie na szefa. Choć to pewnie jakieś przyjezdne rzezimieszki i najprawdopodobniej sprawę przejmie właściwa komenda. A w razie gdyby Szczęsnemu powinęła się noga, niepowodzenie można zwalić na jego brak doświadczenia.

Kazał wezwać Łukasza i polecił mu natychmiast jechać na miejsce zdarzenia. Szczęsny przyjął rozkaz do wiadomości, ale postanowił zapewnić sobie współpracę fachowca i od razu po wyjściu od zwierzchnika zadzwonił do prokuratora Jerczyka. Do banku zajechali obaj jednocześnie.

Po przesłuchaniu wciąż jeszcze zszokowanych zającami pracownic, z których trzeba było wydobywać słowo po słowie, Szczęsny i Jerczyk popatrzyli na siebie i zgodnie westchnęli. Obaj mieli świadomość, że łatwo

nie będzie.

– Czyli tylko panie były obecne w banku w czasie napadu – podsumował Łukasz. – Dobrze. Ze strażnikami porozmawiamy. Dziwne, że obaj tego samego dnia się rozchorowali... Gdyby panie coś jeszcze sobie...

– Jezus! Anusia! – Kasjerka nagle podskoczyła na krześle i spojrzała na niego błędnym wzrokiem. – Anusia tu była! Pięćdziesiątkę jej rozmieniałam! Nie mam pojęcia... Chyba na nią wrzeszczał! Może coś jej się...

– Jaka Anusia? – zainteresował się Jerczyk.

– Zakład ma obok – wyjaśniła zdenerwowana kasjerka. – Fryzjerski. Anusia Orzechowska. Często u nas rozmienia pieniądze. Dziś właśnie...

– Sprawdzimy. – Łukasz wstał. – Gdyby któraś z pań coś sobie przypomniała, proszę dać znać. – Rzucił na stolik swoją wizytówkę. – Chodź, Krzysiu. Zajdziemy od razu do tego zakładu.

Kiedy wyszli na zewnątrz, prokurator pokręcił głową.

– Ciężko będzie – stwierdził z niechęcią. – One są tak przerażone, że nie potrafią spójnie zeznawać. Jutro musimy jeszcze raz spróbować. Może jakoś się pozbierają.

– Myślisz/że to robota tutejszych? – Szczęsny popatrzył na tłumek ludzi okupujący przystanek. – Tych strażników trzeba sprawdzić. Może im się zamarzyła fortuna, choć to by było za proste... Nie wiem, co bym wolał – żeby to byli nasi, czy przeciwnie. Muszę pogrzebać w Internecie na naszych stronach. Może już gdzieś ktoś działał podob...

– Panie władzo! – Z banku wybiegła kasjerka i złapała go za ramię. – Coś mi się przypomniało! Motorem uciekli! Z tyłu stał!

– Wróć z panią i spisz wszystko na temat tego motoru, a ja zajrzę do tej fryzjerki – polecił Jerczyk, podchodząc do drzwi zakładu. – Spotkamy się

u mnie w biurze. U ciebie za dużo ludzi się kręci, a potem wycieka do mediów co nie powinno. Na razie.

Wszedł do środka i odruchowo spenetrował wzrokiem przytulne wnętrze. Pod oknem na krześle siedział młody mężczyzna, a w głębi oparta o ścianę stała ładna, drobna blondynka, która na jego widok kwiknęła nerwowo, po czym zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się do ucieczki. Uznał, że dobrze trafił.

– Dzień dobry, państwu – uniósł uspokajająco dłoń. – Nazywam się Krzysztof Jerczyk i jestem prokuratorem. Zajmuję się sprawą napadu na bank i właśnie mnie powiadomiono, że w czasie zajścia była obecna właścicielka tego zakładu. To pani?

– Anna Orzechowska – wyjąkała Anusia i wpatrzyła się z przerażeniem w gościa.

– Może się pan wylegitymować? – odezwał się nagle siedzący pod oknem mężczyzna. – Nie żebym był specjalnie sceptyczny, ale ona – wskazał dłonią na struchlałą dziewczynę – przeżyła szok i teraz się boi. W zasadzie się nie dziwię. Nie co dzień napadają na banki w tym miasteczku. Jeśli się upewni, że jest pan tym, za kogo się pan podaje, może się łatwiej pozbiera.

– Nie ma problemu – zapewnił Krzysztof i podsunął pannie Orzechowskiej służbową legitymację. – Pan też był świadkiem napadu?

– Nie. Byłem natomiast świadkiem, jak spanikowany świadek usiłował znaleźć schronienie pod biurkiem, wierząc chyba, że bandyci go tam nie znajdą – wyjaśnił z wyraźnym rozbawieniem Patryk. – Patryk Karwicz – przedstawił się. – Znam pannę Orzechowską z czasów licealnych. Trafiłem tu dziś przypadkiem, odprowadzając kolegę. On musiał iść do pracy, a ja zostałem w charakterze obrońcy.

– Rozumiem. Może pani zamknąć na chwilę ten przybytek? – Jerczyk spojrział pytająco na uważnie studiującą dokument Anusię. – Chciałbym, żeby mi pani dokładnie opowiedziała o całym zajściu. Wszystko, co pani pamięta.

Anusia zdążyła już porównać twarz ze zdjęcia ze stojącym przed nią właścicielem legitymacji i poczuła ulgę. Oddała dokument, przekręciła wywieszkę, zaryglowała zasuwę i poprowadziła prokuratora na zaplecze. Patryk poszedł za nimi.

– Woli pani sama opowiedzieć, czy mam zadawać pytania? – Jerczyk podsunął sobie taboret i usiadł.

– Pytania – odparła Anusia pośpiesznie, bo na samą myśl, że ma przedstawić przebieg całego wydarzenia wszystko zaczynało jej się mieszać.

– Co pani robiła w banku?

– Rozmieniałam pieniądze – zeznała Anusia bez oporu. – Misiek miał pięć dych, a ja nie miałam wydać. Zawsze chodzę w takich przypadkach do Eli.

– Nie boi się pani zostawić w lokalu samego klienta? – zainteresował się prokurator.

Patryk przysiadł na drugim taborecie i nie spuszczał oka z dziewczyny. Bardzo go uwierał fakt, że jakaś istota płci żeńskiej nie zwracała na niego uwagi. Przytrafiło mu się to po raz pierwszy i nie wprawiło w zachwyt. Do tej pory jego osoba przebijała każdą sensację.

– Kiedy wychodzę, zamykam pokój na zapleczu, w którym trzymam wszystkie rzeczy osobiste. – Anusia wzruszyła ramionami. – No wiem. Jakby się ktoś uparł, zawsze może coś zwinąć. Tylko po co? To małe miasteczko. Wszystkich tu znam. Jak przyjdzie następnym razem, wstydu się naje. Nie zbiednieję, jeśli wyniesie parę klipsów czy wałków. Brak czegoś

większego od razu zauważę. A nie ucieknie, bo czeka na resztę.

– No tak – zgodził się prokurator i zadał kolejne pytanie: – A więc stała pani przy kasie, kiedy weszli napastnicy, czy może pani wychodziła?

– Stałam przy kasie – Anusia już zupełnie się uspokoiła. – Trzymałam w ręku te rozmienione pieniądze i rozmawiałam z Elą, kiedy ktoś mnie odepchnął. Nie odsunął, tylko... No, wie pan, tak po chamsku odepchnął. Poleciałam na posadzkę. W ogóle nie rozumiałam, co się dzieje, dopóki się nie odezwał...

– Głos był męski?

– Męski – odparła Anusia bez namysłu. – Próbował go zmienić, bo tak jakoś charczał okropnie. Ale na pewno męski.

– Proszę opisać napastnika – polecił prokurator. – Już wiem, że byli zamaskowani. Niech pani opisz to, co pani zapamiętała. Bez upiększeń.

Anusia zamknęła oczy, by się należycie skupić i jeszcze raz przywołać przerażający widok oglądany z perspektywy bankowej posadzki. Siedzący z boku Patryk dostrzegł niespotykanej długości rzęsy nieskalane tuszem i poczuł zdziwienie. Toż ten dawno zapomniany Orzeszek dysponował całkiem przyjemnymi dla oka elementami.

– Nogi – oznajmiła Anusia odkrywczym tonem. – Miał duże adidasy. Tak na moje fryzjerskie oko to rozmiar jakieś czterdzieści siedem. Podeszwa była dziwna... To znaczy ja jej nie widziałam od spodu – zastrzegła uczciwie. – Klapnęłam na tę posadzkę i... Była pomarańczowa. Ta podeszwa. I taka... Kurczę, nie wiem, jak to opisać... Falowana? Wie pan, jakby ktoś zrobił szprycą ten zygzak naokoło tortu... Góra była czarno – brązowa, taka panterka jakby... A, i pomarańczowe sznurowadła... I, wie pan, jakoś wyjątkowo czyste były te buty. Nawet sobie pomyślałam, że facet więcej jeździ, niż chodzi, a te buty to kupił dla szpanu. Bo one przecież do

biegania...

– Jest pani czystym skarbem – stwierdził Krzysztof, zapisując skwapliwie wszystko, co mówiła. – Pozostali świadkowie niewiele zapamiętali.

– Naprawdę? – zdziwiła się Anusia, otwierając szeroko oczy. – No tak. Tylko ja się poniewierałam po posadzce. Ela widziała sam kadłub tego bandziora, a tamte dwie ze strachu pewnie tylko pistolet tego, co je trzymał na muszce...

– Dobrze. Mamy buty. Co dalej?

– Spodnie. – Anusia posłusznie znów zamknęła oczy, bo to zdecydowanie pomagało jej myśleć. – Bojówki. Takie maskujące, przeważał brąz i ciemna zieleń, ale było też trochę czarnego i jakieś jaśniejsze plamy... Ja go widziałam tak bokiem. Miał na tych portkach kieszeń pomiędzy kolanem a udem.

– Świetnie – prokurator prawie zamruczał z zadowolenia. – Coś jeszcze pani pamięta?

– Nie bardzo – zakłopotana się Anusia i otworzyła oczy. – Miał w łapie coś, co przypominało pistolet i wołałam nie patrzeć. No, trochę chyba zgłupiałam. Wydawało mi się, że jak ja nie widzę jego, to i on mnie nie zobaczy... Zaraz! Plecak miał! Też taki jakby wojskowy! W takie maskujące ciapki! Do niego wetknął pieniądze!

– Bardzo dobrze. – Prokurator pośpiesznie notował. – Coś jeszcze się pani rzuciło w oczy? Wiem, że był zamaskowany, ale gdyby miała pani obstawić, w jakim był wieku?

Anusia zmarszczyła brwi i zadumała się. Bandzior z pewnością był silny, skoro jedno pchnięcie wystarczyło, by ją przewrócić. Na małolata nie wyglądał. Głos miał zdecydowany, a ruchy oszczędne. Ręka, w której

trzymał broń, nawet nie drgnęła, pieniądze pakował do plecaka w taki sposób, jakby ćwiczył tę umiejętność od kołyski.

– Stary nie był na pewno – powiedziała powoli. – Małolat też nie. Chyba taki pomiędzy. Wieku panu nie określe... Wie pan, on się o mnie potknął... Jak już się wycofywał. Złapał równowagę, broń mu nawet w tej łapie nie drgnęła, ale coś mu się wyrwało. Takim syczącym, ale prawie normalnym głosem. Po tym głosie to bym mu dała najwyżej dwadzieścia parę, nie więcej.

– Co mu się wyrwało? – zainteresował się prokurator.

– Jakieś takie dziwne... Nie umiem powtórzyć – wyznała smętnie Anusia. – Chyba mnie zelżył. Ale jakoś nietypowo... Panie prokuratorze, niech pan powie tak uczciwie... Bo, wie pan, ja mam dziecko... Mogą mi coś zrobić? Powinam się bać?

– Gdyby mieli zamiar, zrobiliby pani krzywdę już w banku – stwierdził Jerczyk uspokajająco. – Nie sądzę, żeby coś pani groziło. Najwyraźniej świadkowie im nie przeszkadzają. Czują się pewnie. To też mi o nich coś mówi... Jeszcze coś pani zapamiętała?

– Nic więcej. – Anusia z żalem pokręciła głową, ale widać było, że jej ulżyło.

– Dziękuję serdecznie za pomoc. – Prokurator wstał i podał jej wyjęty z kieszeni kartonik. – Moja wizytówka. Gdyby coś się pani jednak przypomniało, proszę dzwonić.

Kiedy podchodził do drzwi, Anusia podskoczyła jak ukłuta szpilką i złapała go za rękaw płaszcza.

– Żyrafka! – kwiknęła podekscytowana. – Przy suwaku miał! Widziałam takie w Avalonie! Figurki! Drogie jak cholera! Musiał jakoś przerobić na brelok! Bo one do stania!

Patryk prychnął rozśmieszony, bo wyrzucała z siebie słowa jak karabin, ale prokurator potraktował zwierzenie z całą powagą.

– Gdybym ja zawsze trafiał na takich świadków... – Dopisał coś w notesie. – Chyba wiem, o czym pani mówi. Moja żona uwielbia te figurki; Zastawiła całą nocną szafkę w sypialni... Musiał doczepić łańcuszek... Dobra, popytamy... Do widzenia.

– Luiza, masz takie chody u komendanta, a nie słyszałaś o najnowszej sensacji? – zapytała złośliwie Kama następnego dnia po napadzie, ledwie redaktor Lisiec, mocno zniechęcona do życia, przekroczyła progi redakcji. – Bank nam skroili na prawie trzysta tysięcy! Na moim biurku już powinien leżeć artykuł na temat sprawnego śledztwa prowadzonego przez naszą dzielną policję!

W oku Luizy błysnęło jakby, zeszywniała na moment, ale zaraz zrobiła obojętną minę i wzruszyła ramionami.

– No i cóż się tak wściekasz? Napad na bank to nie to samo co mordobicie czy wypadek. Dziadzio będzie klepał ciągle te same formułki i zasłaniał się dobrem śledztwa. Nic z niego nie wyciągnę. Spróbuję dopaść komendanta, ale to może potrwać. Na twoim miejscu wzięłabym na wstrzymanie, bo nas oskarżą o utrudnianie pracy policji. Na razie wystarczy, jeśli puścimy wzmiankę na temat napadu, żeby nie było, że nie wiemy, co się dzieje na naszym podwórku... W zasadzie przyszłam się tylko zameldować. Jestem umówiona na wywiad i nie chcę się spóźnić. Nie wiem, ile mi zejdzie, może już dziś wcale nie wrócę. Chcę złapać komendanta.

Zawinęła się na pięcie i majestatycznie wyszła. Konrad, Kamila i Luka popatrzyli na siebie z osłupieniem. Filipa nie było, bo pojechał do Urzędu Miasta, co pozostałym nie przeszkadzało. Mogli swobodnie rozmawiać, bez obawy, że ich słowa przeciekną na zewnątrz.

– Kto to jest Dziadzio? – chciał wiedzieć Konrad.

– Ona wiedziała czy nie o tym napadzie? – pomyślała głośno Luka. – Pół miasta dziś o tym plotkuje. Co ona wczoraj robiła?

– Dziadzio to rzecznik policji – wyjaśniła Kama i zmarszczyła brwi w zadumie. – Wedle mojej wiedzy wczoraj Luiza miała spędzić cały dzień na rozmowach z pracownikami naszej rodzimej energetyki, bo pisze artykuł na ten temat. Ale moja wiedza może być wybrakowana. Nasza ruda lisiczka lubi kolo – ryzować i kłamać tak, jak oddycha... Słuchajcie, nie wydaje wam się dziwne jej dzisiejsze zachowanie?

– Dziwne? – Konrad zrobił sceptyczną minę.

– Ruszcie głowami! – zniecierpliwiła się Kamila. – Niejeden raz była już taka sytuacja. Mówię Luizie, że wydarzyło się coś, co może wetknąć do swojej Kroniki Kryminalnej. Dowiedziałam się pierwsza. Przeważnie od Luki, bo jest na bieżąco. Jak reaguje Luiza?

– Dostaje piany na ustach, bo to dla niej osobista obraza, że o czymś nie wie – mruknęła Luka bez namysłu. – I od razu jedzie na komendę. Nie wraca, dopóki nie wycisnie Dziadzia i komendanta jak cytryny.

– No właśnie – powiedziała Kama tryumfalnie. – A dziś? Sensacja, jakiej w Kraśniku jeszcze nie było, a Luiza chrzani głupoty na temat dobra śledztwa?

– Może tylko ściemniała – zastanowiła się Luka. – Żeby żadne z nas przypadkiem nie rzuciło się na temat. Pewnie już siedzi u komendanta i wierci mu dziurę w brzuchu.

– Przesadzacie. – Konrad wydał usta z powątpiewaniem. – Luiza ostatnio ma chyba jakieś problemy, bo w ogóle się nie kłóci. Odwała te artykuły, ale tak, jakby na odczepnego. I widać, że coś ją gryzie. Nawet poprawki Luki jej nie przeszkadzają. Z Filipem też już prawie nie gada.

– No właśnie – mruknęła Kamila. – I ja bym była ciekawa dlaczego.

– Może jest chora? – podsunęła Luka.

– Gdyby była chora, cały świat by wiedział, jaka krzywda ją spotkała.

A gdyby miała problemy, to warczałaby na każdego... Cholera, dlaczego ten napad nie zainteresował jej tak, jak powinien...

– Nie wiem jak ty, Krzysiu, ale ja to czarno widzę. – Siedzący naprzeciwko Jerczyka Łukasz z frasobliwą miną podrapał się po głowie. – Rzucają nas obu na pożarcie. Chyba ci oddałem niedźwiedzią przysługę.

– Nie narzekaj. – Prokurator wzruszył ramionami. – Ja tam lubię trudne sprawy. A wolę pracować z tobą niż z jakimś patafianem, który nie rozumie, co się do niego mówi... Co z tym motorem? Nikt nie zapamiętał rejestracji?

– Marzenie ściętej głowy! – prychnął Szczęsny. – Motor był zaparkowany z tyłu. Ta kasjerka była tak przerażona, że umiała z siebie wydusić tylko, że widziała motor. Rejestracja, kolor, marka przerosły jej możliwości.

– Nie dziwię się. Dobrze, że mamy choć tyle...

– Czeka! Tam z tyłu jest komis z telefonami komórkowymi! Może ktoś był u nich w czasie napadu! Może widział ten motor! Boże, daj, żeby facet!

– Jak chcesz go znaleźć? – zainteresował się Jerczyk.

– Mamy ramy czasowe – myślał głośno Łukasz. – Oni tam naprawiają komórki, nie tylko sprzedają. Sprawdzę. Może trafię na kwit z tej godziny. Na kwicie jest nazwisko...

– Marzyciel... Dobra, sprawdzaj. Ja wczoraj przegrzebałem cały Internet w poszukiwaniu tych butów. Żeby mieć chociaż wyobrażenie, jak one wyglądają w naturze. Oczopląsu można dostać. Nie masz pojęcia, ile

tego świństwa jest. Na szczęście mam w domu eksperta. Moja Ama kiedyś biegała. Podpowiedziała mi, czego szukać i patrz! – Tryumfalnie podał koledze kolorowy wydruk. – Wszystko się zgadza: pomarańczowa falowana podeszwa, pokrycie typu panterka i pomarańczowe sznurówki. To Reeboki model Rhythm. Pojeżdżę po sklepach obuwniczych i popytam. Kosztują prawie cztery stówy, biedny ten złodziej nie jest.

– A ty jesteś pewien, że my dobrze kombinujemy? – Łukasz sceptycznie uniósł brwi. – Może to jacyś spoza naszego terenu na gościnne występy przyjechali?

– Wczoraj się nad tym zastanawiałem przez cały wieczór. – Krzysztof pokręcił głową. – Stawiałbym na tutejszych. Musieli wcześniej zrobić dobre rozeznanie. Nie wydaje ci się podejrzanym, że akurat tego dnia obaj strażnicy się struli? Bo nie wierzę, żeby tak im dziwnie wyszło. Trzeba ich wypytać o znajomych. Podobno latali codziennie do jednego sklepu po żarcie. Może tam...

– Nie tam – przerwał mu Szczęsny stanowczo. – „Domowe jedzenie” to sklep mojej teściowej. Ona jest jak rentgen. Nie ma takiej opcji, żeby wypuściła od siebie coś nieświeżego. Gadałem z tymi strażnikami. Upierają się, że pierogi im zaszkodziły. Nie wierzę. Teściowa ich pamięta, bo często u niej kupują. Tam w lokalu są dwa stoliki. Dla takich, co bardzo głodni, a w domu nie chce im się odgrzewać. Mogą sobie usiąść i zjeść. Wszystko jest na plastikowych tackach i w pojemnikach. Sztućce też mają jednorazowe. Jedna ze sprzedawczyń zapamiętała, że ci dwaj codziennie przychodzą. Często w towarzystwie. Parę dni temu zjedli na miejscu, ale dosiadł się do nich jakiś facet. Młody, zarośnięty na czarno. Wrąbał sałatkę i wyszedł przed nimi. Nie zna typa. Mógł im coś podrzucić, ale musiałby wiedzieć, gdzie pracują, bo inaczej po co? Hobby takie?

– Zarośnięty, mówisz...

– Też o tym myślałem. Wyszedł, brodę odkleił, perukę zdjął i nikt go nie pozna... Cholera, tubylcy tak się kryminalnie rozwinęli? Nie wiem, czy bym nie wolał obcych...

– Co cię tak dziwi? Każdy program kryminalny podsunie ci pomysł, jak zrobić swoje i nie zostać złapanym. Jeszcze ci powiedzą, na co musisz uważać i jakie ślady policja może wykorzystać. Gotowy samouczek. – Prokurator westchnął. – Jestem pewien, że to tutejsi. Musieli poświęcić trochę czasu, żeby poznać pracowników banku i ich zwyczaje. Nawet fakt, że postawili motocykl przy tylnym wejściu to potwierdza. Musieli wiedzieć, że w środku będą trzy kobiety...

– Cztery...

– Orzechowskiej nie mogli przewidzieć. Ma zakład tuż obok... Co z kamerami?

– Pozwolisz, że nie będę się wyrażał – prychnął zgryźliwie Łukasz. – W ramach oszczędności szefostwo zarządziło, żeby wykorzystywać stare kasety. Cała komenda gapiała się na te cholerne nagrania i nic. Widać tylko jakieś ruchome kształty i to wszystko.

– Widzisz? A oni nic nie próbowali zrobić. Żadnej farby, niczym nie zasłaniali, zupełnie olali problem. Stawiałbym na to, że zdawali sobie sprawę z braku zagrożenia... Zreasumujmy: znali obu strażników i wiedzieli, że jeśli ich zneutralizują, nikt z tego powodu rabanu nie podniesie; wybrali najlepszą porę dnia – w banku było prawie pusto, na zewnątrz, na przystanku też; w kasie była spora gotówka z rannych wpłat...

– Tego właśnie nie rozumiem – przerwał Szczęsny. – Przeważnie przedsiębiorcy robią wpłaty przed samym zamknięciem, nie?

– To Kraśnik. Mała miejscina. Po zamknięciu interesu ludzie się

śpieszą do domu. Właściciele robią wpłaty następnego dnia z rana, jeszcze przed otwarciem własnego biznesu albo w czasie przerwy. Tak im wygodniej. Moja Ama ma salon dermatologiczny i też tak robi... Na czym ja tam skończyłem? A, wpłaty... Jedźmy dalej: wiedzieli o tylnym wyjściu; musieli wiedzieć o tym, że kamery im nie zaszkodzą...

– Ale mieli kominiarki. I tak mogli spokojnie olać kamery.

– Łukasz, ten napad był dobrze przygotowany. Z zeznań świadków wynika, że wszystko trwało od pięciu do dziesięciu minut. Musieli bywać w tym banku albo mieli informatora z wewnątrz. Gdybyś ty planował skok, nie rozejrzałbyś się najpierw dokładnie? Ludzie lubią gadać. Wystarczy zadawać właściwe pytania i dowiesz się wszystkiego, co ci akurat do szczęścia potrzebne.

– Ale jeśli personel banku ich znał, to ryzykowali jak cholera! – Łukasz próbował znaleźć luki w rozumowaniu kolegi.

– Nie bardzo. Kasjerka zeznała, że na dłoniach mieli lateksowe rękawiczki. Z kolei fryzjerka – że ten, który mówił, starał się zmienić głos. Na gębach mieli kominiarki. Weź jeszcze pod uwagę, że w banku były tylko przerażone kobiety.

– Może masz rację – zgodził się Szczęsny niechętnie. – W końcu nikt nie zakłada, że znajomy wpadnie z wizytą, żeby go obrabować... Myślisz, że naprawdę mieli broń?

– Tego nie wiemy na pewno. Żadna z nich nie zna się na broni. Mogli mieć atrapy. Cholera, nawet zabawki wyglądają dziś jak prawdziwe, a przez Internet dostaniesz, co chcesz. Strażników nie było, zwykły straszak by wystarczył... Dobra, nie ma co kombinować. Na razie skupmy się na tym, co mamy. Ty jedź do tego komisur, a ja się rozejrzę po sklepach obuwniczych.

Następnego dnia po traumatycznych przeżyciach Anusia podejrzliwie

przyglądała się ludziom sterczącym na pobliskim przystanku i otwierając swój salon, rzucała za siebie trwożliwe spojrzenia. Szybko jej jednak przeszło, bo przygoda miała także dobre strony. Nagle większość kraśnickich plotkarek poczuła nieprzepartą chęć zadbania o koafiurę. Zjawisko Anusię zdumiało, ale i ucieszyło. Kiedy przed zamknięciem przeliczała utarg, doszła do wniosku, że powinna częściej uczestniczyć w bandyckich przedsięwzięciach. Zarobiła więcej w ciągu jednego dnia, niż w całym poprzednim tygodniu. Sprytnie klientki bowiem uznały, że będą miały większe szanse usłyszenia dokładnej relacji, jeśli usługa będzie trwała odpowiednio długo. W związku z czym większość domagała się trwałej albo farbowania.

Starannie zawinęła przeliczony utarg w foliowy woreczek, włożyła go do wewnętrznej kieszeni płaszcza (pomysł podsunęła jej Ada Łęcka, jedna ze stałych klientek, która też jako krawcowa podjęła się wykonania owej kieszeni), pogasiła wszystkie światła i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Mimo zmierzchu na ulicy było dość jasno, bo paliły się już latarnie. Anusia bystro zlustrowała wzrokiem park naprzeciwko i uznała, że lepiej będzie, jeśli nadłoży drogi, ale go ominie. Na cembrowinie nieczynnej o tej porze roku fontanny grupka młodzieży raczyła się napojami, głośno rechocząc. Nie czuła się na siłach sprostać ewentualnym zaczepkom.

Odwróciła się w stronę drzwi, by założyć blokadę i w tym momencie ktoś dotknął jej ramienia. Prawie podskoczyła. Już otwierała usta do krzyku, kiedy rozpoznała w intruzie Patryka Karwicza. W normalnej sytuacji pewnie by się ucieszyła, albo przynajmniej poczuła miłe podekscytowanie, ale ta normalna nie była. Zaledwie dzień wcześniej dwa tępe bandziory z bronią śmiertelnie ją przeraziły, a teraz facet, który wszak był świadkiem tego przerażenia, sam ją straszy.

– Zabierz tę łapę, Patryk – wykrztusiła rozedrganym z przestachu głosem. – Bo zacznę wrzeszczeć. Boję się od wczoraj każdego szmeru, a ty... Myślisz, że to śmieszne tak podchodzić znienacka?

Gwałtownym ruchem przesunęła blokadę, nie zważając na obecność Patryka, któremu po raz drugi w życiu w jej obecności zabrakło głosu. Tym razem z urazy. Co ona sobie wyobraża, do cholery? Przyszedł tu, napchany do wypęku dobrymi intencjami, choć z pewnością mógł znaleźć przyjemniejsze zajęcie, a ona ma głupie pretensje? Nie to nie. Bez łaski. Niech sobie sama zasuwa do domu, skoro męska opieka jej niepotrzebna.

– Miś! – Anusia nagle rzuciła się ku jezdni i Karwicz zastygł w półobrotu. – Uważaj! Bus jedzie!

Po drugiej stronie ulicy istotnie stał Michał Minat, który na krzyk dziewczyny odruchowo cofnął się na chodnik, dzięki czemu udało mu się nie wpaść pod samochód.

– Miśka rozum obsługuje na raz tylko jeden temat – zakpił Patryk złośliwie. – Jak Misiek idzie, to idzie. Jak patrzy, to patrzy. Obie czynności w tym samym czasie wykluczają się wzajemnie. Aż dziw, że udało mu się dożyć tak sędziwego wieku.

Anusia odwróciła się jak dźgnięta szpilką i rzuciła mu roziskrzone spojrzenie.

– Nie każdy jest takim ideałem jak ty! – wyrąbała z wyraźną urazą. – Mnie w liceum nazywali Ciapa, bo zawsze na kogoś niechcący wlażłam! Myślisz, że jak ktoś jest trochę inny, to od razu musi być gamoń? A Miś jest cudowny, bo ma dobre serce! I każdemu pomaga!

Wygłosiwszy tę gniewną przemowę, dziewczyna obróciła się na pięcie i pognała na drugą stronę ulicy. Złapała Miśka pod rękę i razem powędrowali wzdłuż parku, nie zwracając żadnej uwagi na stojącego jak

słup Patryka. Rany boskie, to furiatka! – pomyślał, odprowadzając ich wzrokiem. – A wygląda jak trusia... Dobra, Misiek jej pasuje, to niech go sobie ma. Już też nie miałbym do kogo startować. Panna z przychówkiem... – Ruszył w stronę domu, kopiąc po drodze puszkę po piwie, którą jakiś kraśnicki czyścioszek rzucił beztrąsko na chodnik. – Ciapa ją nazywali? Nie dziwota. Jak mi wtedy przygrzmociła, wszystkie gwiazdy mi w oczach stanęły... Właściwie Orzeszek bardziej do niej pasuje... Misiek w roli obrońcy! Dowcip roku! Największa fajtłapa w tym mieście! Rany boskie, takie dwie ciamajdy w kupie to realne zagrożenie dla otoczenia! Powinienem... Ha, Maminka zawsze powtarza, że wszystko olewam. Może powinienem przynajmniej sprawdzić, czy im się po drodze nic nie przytrafi...

Zanim w myśli do końca wyartykułował tę konkluzję, jego nogi same skrzyły ku przejściu i, nie wiedząc kiedy, znalazł się po drugiej stronie ulicy. Powolutku włókł się za zagadaną parą. Żadne się nie obejrzało.

– Gdzie się znowu podziała ta ruda donna? – Kama była wyraźnie wściekła. – Miała siedzieć na tyłku i czekać na mnie! Umówiłam ją z szefem kablówki! Mieli obgadać nasz udział w tegorocznej Orkiestrze! Ona myśli, że Dorosz będzie na nią czekał? Macie pojęcie, ile mnie zachodu kosztowało, żeby w ogóle chciał się z nią spotkać? Cholera, w tym mieście chyba już wszyscy są uczuleni na Luizę! Wiesz, Luka – zniżyła głos, żeby nie dosłyszał Filip, który tkwił w swojej pracowni – Dorosz prawie piany na ustach dostał, gdy usłyszał, że w ramach współpracy podtykam mu Luizę. Tak się wściekł, że byłam gotowa zamienić ją na ciebie, ale wtedy...

– ... nasza ślicznota dostałaby szału – dokończył Konrad Błoński. – Pcha się do telewizji jak boa dusiciel.

– Dlaczego: boa? – parsknęła rozśmieszona Luka.

– Bo tak samo z przyjemnością i wprawą wydusiłaby konkurencję...

– Odczep się od dusicieli! – warknęła Kamila. – Gdzie ta ruda zaraza?

– Powiedziała, że ma umówiony wywiad – wyjaśniła Lukrecja. – I że wraca za godzinę. Policja ma chyba jakiś trop w sprawie tego piromana – idioty, który podpala śmietniki na osiedlu.

– Dzwoń do niej na komórkę! – zażądała Kama. – Niech przełoży policję i zasuwa do Koszar! Gdyby nie odbierała, puść SMS – a!

Kiedy Kamila wypadła z pokoju, w drzwiach pracowni pojawiła się kędzierzawa głowa Filipa.

– Poszła już? – Fotograf strachliwie zlustrował wzrokiem otoczenie. – Boże, jak ja nie lubię kobiet macho.

– Filip, nie wiesz przypadkiem, co ostatnio wstąpiło w Luizę? – zapytała Luka, wybierając numer koleżanki. – Dziwnie się zachowuje. Odwała robotę per noga, zupełnie jakby nagle praca w gazecie przestała ją interesować.

– Luiza zawsze zachowuje się dziwnie. – Fotograf wzruszył ramionami. – Ostatnio mi wyrzeszczała, że jeszcze nam pokaże, na co ją stać. I że ma dość tej zapyziałej miejsciny. Jej talent reporterski zasługuje ponoć na więcej, a nasze towarzystwo mu nie służy.

– No, to akurat w przypadku Luizy jest normalne zachowanie – mruknęła Luka.

– Kama musi jakoś trzymać nas w ryzach – Konrad z opóźnieniem próbował bronić autorytetu Kamili. – Gazeta się sama nie robi, a ona odpowiada za wszystko. Pierwszy byś się zbiesił, gdyby trochę odpuściła... A tak w ogóle, to co się stało, że wylazłeś z tej swojej nory? – Zerknął na Filipa podejrzliwie. – Podobno byłeś straszliwie zajęty? Już przestałeś?

– Dalej jestem – nabzdyczył się fotograf i spojrzał przymilnie na

Lukę. – Słuchaj, potrzebne mi zdjęcie. Mam szansę trochę zarobić na reklamie tutejszego sklepu. Chcą zrobić sobie plakat. Nic wiel...

– Pewnie w bieliźnie, tak? Spadaj, Filip! – zachnęła się Lukrecja z komórką przy uchu. – Luiza niech ci pozuje!

– Rudy wamp w bikini. – Konrad zmrużył oczy, jakby miał ten widok przed sobą. – Bardzo sexy.

– Luiza jest już... no, trochę przechodzona – skrzywił się Filip.

– Masz szczęście, że tego nie słyszy, bo już byś nie żył – mruknęła Luka. – Cholera, zajęte. Z kim ona znowu gada... Niech sklep napisze ogłoszenie i przyklei na witrynie. Głowę dam, że będziesz miał w czym przebierać.

– Ale to by było bez twarzy! Tylko sama figura! Żeby pokazać produkt! Nikt cię nie pozna!

– Spadaj, mówię. Z twarzą czy bez, nie mam zamiaru wisieć na widoku publicznym!

– To jest ciekawe zagadnienie – stwierdził Konrad natchnionym głosem. – Jak lepiej wisieć: z twarzą czy bez? Ja byłbym zdania, że jednak z twarzą. Choć pewnie temu, co wisi, już wszystko jedno...

– Kondziu, przestań! – Luka spojrzała na niego z obrzydzeniem. – Jak cię to interesuje, sam sobie wiś!

– „Zawiśnij” brzmi lepiej – poprawił redaktor Błoński. – Ja bym nie mógł, serce moje. Podejrzewam, że nie mają moich rozmiarów. I nie wiem, czy Basieńka by się zgodziła.

– Jezu, ale wy jesteście porąbani! – zdenerwował się Filip i zniknął w swojej pracowni, trzaskając drzwiami.

– Zgrany z nas tandem. – Konrad zatarł dłonie. – Pięknie go spławiliśmy. I bez awantury... Luiza dalej nie odbiera? Puść SMS – a, żeby

się potem Kama nie czepiała.

Luiza siedziała w swoim samochodzie zaparkowanym przed komendą policji i intensywnie myślała. Była to czynność niesłychanie męcząca, bo – jako jednostka wybitnie inteligentna – pomysłów miała setki, a musiała wybrać ten najlepszy i najmniej ryzykowny. W nosie miała wszystkich kraśnickich piromanów – idiotów. Rzuciła ten temat Luce, żeby mieć alibi na wypad z redakcji.

Komendant, przyciśnięty jej pytaniami i urokiem osobistym, przyznał, że na razie prowadzący śledztwo w sprawie napadu na bank nie mają pojęcia, komu ten radosny pomysł wpadł do głowy. Wiedzieli tylko, że napastników było dwóch i że ukradli prawie trzysta tysięcy złotych. Suma Luizie bardzo przypadła do gustu. Łatwa była do podziału na trzy sztuki. Zamierzała zażądać stu tysięcy za milczenie. Ta kwota pozwoli jej wreszcie wyjechać z tego cholernego miasteczka i urządzić się w jakiejś większej przestrzeni życiowej. Z Warszawy już zrezygnowała, ale wiedziała, że jej dawny adorator załapał się do dużego krakowskiego dziennika. Odpowiednio zachęcony znajdzie jej jakiś etat, a dalej już sama sobie poradzi. Metodę walca miała opanowaną do perfekcji, potrafiła spłaszyc każdego, kto wpadłby na głupi pomysł, by stanąć na jej drodze. Matka i dziecko zostaną w Kraśniku, w końcu mają dach nad głową. Matka ma rentę po mężu, a na Tomaszka buli Pawełek. Wystarczy im na życie. A ona wreszcie będzie mogła pomyśleć o sobie. Najwyższy czas.

Luiza zmieniła kartę w swojej komórce i stwierdziła, że nie ma co dłużej czekać. Musi wykonać telefon, który będzie przepustką do nowego życia. Wzięła głęboki oddech i wystukała numer uzyskany niedawno pod pozorem zadania kilku pytań dotyczących specyfiki pracy u osoby publicznej.

– Dziadziu, chodźmy po mamy. Psyjemnie jej będzie i bezpiecznie z nami. – Ewa Patrycja uśmiechnęła się przymilnie do protoplasty rodziny Orzechowskich.

– Ewuniu, mama już ma eskortę – stwierdził uspokajająco Wiktor z nosem utkwionym w swoim ulubionym tygodniku. – Młody Minat ją odprowadza. Jest mistrzem w sztukach walki. Raczej nie ma szans, żeby ktoś ją skrzywdził.

Bystra wnuczka nie miała zamiaru uświadamiać lekkomyślnego dziadka, że stara Majewska była zdania, iż młody Minat nie stanowi skutecznej zapory przeciwbandyckiej, albowiem z natury swojej jest ciapowaty. Była pewna, że ten argument by go nie przekonał, bo wszechwiedzę sąsiadki przyjmował z dużą dozą nieufności. Musiała znaleźć inny, bardziej skuteczny.

– Dobrze – oznajmiła załośnie, pociągając teatralnie małym noskiem. – Będę cekać w domu i stlaasnie się maltwić. Może nawet wpadnę w nelwicę.

I będzieś mnie miał na sumieniu.

Wiktor z westchnieniem odłożył czasopismo i przyjrzał się wnuczce z uwagą. Osobiście był zdania, że dziecko jest nad wiek rozwinięte. Słownictwo miało o wiele bardziej bogate niż inne pięciolatki. Uważał, że jest to zasługą starannego doboru lektury, uczciwego odpowiadania na tysiące pytań, które Ewunia zadawała z uporem godnym podziwu i traktowaniem jej jak stworzenia rozumnego. Jednakże chwilami zachowanie wnuczki sprawiało, że nie był pewien, czy dwoje dorosłych ludzi to wystarczające towarzystwo dla małego dziecka. Wolałby, żeby Ewa Patrycja pobawiła się z rówieśnikami, którzy o każdej porze roku dokazywali na podwórku, jednak ona z uporem ciągnęła ku starszym osobnikom.

– No dobrze – zgodził się z westchnieniem. – Wiem z doświadczenia, że nerwica u kobiet w każdym wieku objawia się nieprzyjemnie dla otoczenia. Chodźmy.

Ewunia natychmiast zwawo zeskoczyła z pufy i pobiegła do przedpokoju. Nim Wiktor wynurzył się z pokoju, wnuczka była już ubrana i gotowa do wyjścia. Dziadek zlustrował uważnie sposób zapięcia guzików (bywało, że trafiały nie w tę dziurkę, co trzeba), rodzaj obuwia na pięcioletnich nóżkach (gust właścicielki nie zawsze zgadzał się z panującą akurat porą roku), po czym uniósł brwi i spojrzał na kolorową czapkę leżącą na komódce.

Ewa Patrycja przewróciła oczami, a jej westchnienie usłyszało pewnie pół bloku. Z najwyższą niechęcią sięgnęła po irytujące nakrycie głowy, założyła je i stwierdziła stanowczo:

– Jak będę duza, nie będę nosić żadnych capek! – po czym w oku jej błysnęło i niewinnym głosem zapytała: – Cy to psypadkiem nie jest znęcanie się nad dzieckiem? Bo, wiesz, stalej Majewskiej wnuk, ten duży Cypek, mówił, że dzieci teraz mają dużo plaw.

– Nie obchodzi mnie, co mówił Cypek! – zagrzemiał Wiktor i poprawił czapeczkę, by zakrywała uszy. – A to jest dbanie o dziecko! Gdybym cię wygnał na śnieg i mróz bez przyzwoitego odzienia, mogłabyś na mnie donosić! Na razie jesteś smarkata i masz mnie słuchać!

– Ksycys na mnie. – Orzechowe oczęta nieodrodnej potomkini pramatki Ewy zaszkliły się podejrzenie. – Powiem mami, że mnie pseśladujes. – Na wszelki wypadek pociągnęła nosem. – I pzez ciebie zalaz zeczywiście będę smalkata.

Wiktor, jak zwykle, dał się nabrać. Każda łezka w oczach wnuczki nieodmiennie doprowadzała go do konkluzji, że jest wyrzutkiem

społeczeństwa, który pastwi się nad pozbawionym ojca dzieckiem.

– Przepraszam, Ewuniu – zamruczał pokonany. – Nie krzyczę na ciebie, ale strasznie mnie denerwuje, kiedy powtarzasz wszystko, co plecie cała rodzina Majewskich. Czasem się zastanawiam, czy nie wolałabyś być ich dzieckiem zamiast naszym.

Ewunia natychmiast zapomniała o znęcaniu się nad dziadkiem, bo kwestia ją zaciekała. Wyobraziła sobie, że wychowuje się w rodzinie Majewskich i nie zachwyciła jej ta wizja. Stara Majewska mówiła na podwórku interesujące rzeczy, ale trwała w permanentnym konflikcie z większością sąsiadów, których straszyla karą boską za każdą niedogodność przez nich spowodowaną. Starsza córka, bywająca u matki kilka razy do roku, na wszystkich patrzyła z góry, przywoziła ze sobą jazgotliwego pekińczyka oraz troje dzieci, które nie chciały się zadawać z kraśnickim pospółstwem, w związku z czym nudziły się u babki przeraźliwie. Średnia córka, mieszkająca z matką, była okropnie burkliwa, bo wiecznie zmęczona (Ewunia podsłuchiwała kiedyś, jak mami mówiła, że haruje ciężko, żeby utrzymać Cypka i Hubka), a jej dwóch synów było postrachem podwórka, bo babka dla świętego spokoju pozwalała im na wszystko. Najmłodsza zaś aktualnie miała pretensje do całego świata, bo rzucił ją chłopak, którego upatrzyła sobie na męża. W dodatku wszyscy w tej rodzinie wrzeszczeli na siebie, a najbardziej stara Majewska. Dziadek lubił mówić, że stary Majewski zadekował się w najcichszym zakątku nieba, żeby odreagować swoje ziemskie życie.

Przemyślawszy sprawę, Ewunia doszła do wniosku, że woli własną rodzinę. Może mniej zasobną w jednostki ludzkie, ale zgodną, czułą i ogólnie sympatyczną. Gdyby jeszcze w tej rodzinie pojawił się jakiś przyzwoity osobnik rodzaju męskiego, byłaby zupełnie szczęśliwa. Co z

kolei przypomniało jej o celu dzisiejszego spaceru. Miała zamiar poobserwować młodego Minata, by osobiście się przekonać, czy nadaje się dla mamy i dla niej.

– Wolę być wasa – oznajmiła ubierającemu się dziadkowi. – Podejrzewam, że u stalej Majewskiej nikt by mi nie czytał książeczek i nie dawał buzi na dobranoc. Bo Cypek i Hubek nie wyglądają na takich, co im dawają buzi.

– Dają – poprawił odruchowo Wiktor, otwierając drzwi.

– Dają – zgodziła się wnuczka. – Dziadziu, a co to jest kała boska? Jak się pani Lotowa zamieniła w sól, to była kała boska?

Wiktor wyprowadził wnuczkę na klatkę i, zamykając mieszkanie, pośpiesznie zastanawiał się, jak odpowiedzieć na to pytanie. Ewunia miała przerażający zwyczaj atakowania rozmówcy znienacka i nieraz musiał się sporo nabiedzić, by odpowiedź nie brzmiała głupio lub lekceważąco.

– Chodzi ci o żonę Lota, tak? – zapytał, by zyskać na czasie. – Chodźmy. – Wziął dziecko za rękę i zaczęli ostrożnie schodzić po schodach. – No cóż... – W popłochu usiłował wydłubać z pamięci, co też mu wiadomo o Lotowej połowicy. Wreszcie sobie przypomniał. – Żona Lota zamieniła się w słupek soli z tego powodu, że obejrzała się za siebie, by popatrzeć, jak Pan Bóg karze mieszkańców jej rodzinnego miasta. Można powiedzieć, że zrobiła to z ciekawości. I rzeczywiście była to kara boska, bo została wcześniej uprzedzona, by tego nie robić, ale nie posłuchała. Ciekawość, jak widzisz, nie zawsze popłaca.

– Myślisz, że stała Majewska też może kogoś zamienić w słupek soli? – zainteresowała się wnuczka z lekkim niepokojem w głosie.

Wiktor osłupiał.

– A mówiła coś takiego? – zapytał podejrzliwie.

– Ciągłe stłasy, że na wszystkich, co jej dokucają, psyjdzie kała boska. Tylko nie wiem jaka. Moze ta sól...

– Już też Pan Bóg nie ma co robić, tylko kary zsyłać! – zdenerwował się Wiktor i skręcił na chodnik przy głównej ulicy. – Ludzie sami sobie wyrządzają tyle zła, że wystarczy! A gdyby tak rzeczywiście

Niebo zabrało się do wymierzania kary, to w starą Majewską pierwszą by piorun strzelił! – wyrwało mu się niepedagogicznie.

– Jak w tej bajce, co mam opowiadała? – podchwyciła Ewunia z zachwytem. – Co były dwie siostry i ta zła układała tej dobrej maliny i piolun w nią scelił... Ciekawe, jak to wyglądało w natuze...

Wiktor, nieco przerażony zainteresowaniami wnuczki, pośpiesznie zmienił temat. Pokazał jej wiszący wysoko nad nimi pyzaty księżyc i zaczął opowiadać historię pana Twardowskiego, od czasu do czasu podpierając się zapamiętanymi z młodości fragmentami ballady Mickiewicza. Ewunia słuchała, usiłując jednocześnie wypatrzeć siedzącego na księżycu bohatera opowieści i zastanawiając się, jak on to robi, że nie spadnie z tej złotej kuli zawieszanej wysoko na niebie. Nie zdążyła jednak zapytać o to dziadka, bo okazało się, że dotarli na miejsce. Już miała wydać powitalny okrzyk, gdy obok matki dostrzegła znajomą sylwetkę. Wyrwała się Wiktorowi, podbiegła do stojącej z boku postaci i szarpnęła ją za spodnie.

– Co tu robisz? – zapytała surowo. – Mówiłam, że się nie nadajes!

Zaskoczony Patryk, który wespół z Miśkiem przyszedł odprowadzić Anusię bezpiecznie do miejsca zamieszkania (sam właściwie nie miał pojęcia dlaczego), spojrział w dół i zobaczył przed sobą to samo dziecko, które zaczepiło go kiedyś w sklepie.

– A, Blondie. – Uśmiechnął się szeroko. – Witam panienkę. Wyruszyłaś na poszukiwania? Mam nadzieję, że nie sama, bo będziemy

mieli kłopot...

– Psysłam z dziadkiem – oznajmiła Ewunia wyniośle. – Po mamie. Zeby się nie bała.

– Ewunia! – Anusia odwróciła się gwałtownie od drzwi, które zamykała. – Tata! Co tu robicie? Mówiłam, że Miś mnie odprowadzi. Po co wychodziliście w taki ziąb?

– Ewunia chciała mieć pewność, że jesteś bezpieczna. – Wiktor z uwagą przyglądał się Patrykowi. – Czy my się... Gdzieś już... – Nagle mu się przypomniało ich pierwsze i ostatnie spotkanie i zakiełkowało w nim podejrzenie, że urodziwy młodzian, lekkomyślnie zachęcony przez wnuczkę, uzna jego córkę za łatwą zdobycz. – Co pan tu robi? – zapytał ostro.

– Skąd znasz moją córkę? – odezwała się jednocześnie Anusia, z której dziwnie szybko wyparował dawny sentyment dla licealnego ideału. Miała przez te kilka dni okazję, żeby przyjrzeć się jego zachowaniu, a to, co odkryła, niespecjalnie ją zachwyciło. Teraz patrzyła na płec męską z ostrożnością, jak odpowiedzialna matka i kobieta, którą raz już porzucono.

– Może najpierw odpowiem Anusi. – Patryk uśmiechnął się przepaszająco do Wiktora. – Zagadnęła mnie raz w sklepie i była to bardzo pouczająca rozmowa. – Mrugnął porozumiewawczo do Ewuni. – Trudno zapomnieć takie urocze dziecko. Nie miałem pojęcia, że to twoja córka, choć jest tak podobna do ciebie... Co ja tu robię? – Spojrzał na Orzechowskiego i rozłożył ręce w geście bezradności. – Sam nie wiem. Tego dnia, kiedy napadli na ten bank obok, byłem przypadkiem w salonie. Potem zostałem jako podpora duchowa, bo Misiek musiał lecieć do pracy. A dziś wpadłem na niego na ulicy i przyszliśmy razem. To wszystko... Aha, znam pana córkę z liceum. Przydzwoniła mi w łeb szkolnym sztandarem.

Takich rzeczy się nie zapomina.

Wiktor się uspokoił, a Anusia spłonęła rumieńcem zażenowania. A taką miała nadzieję, że jednak zapomniał.

Misiek stał obok, milcząc jak zaklęty, tylko z lekkim niepokojem zerkał na Ewunię, która wpatrywała się w niego przenikliwie.

– Lubis dinozały? – zapytała znienacka.

Stropił się nieco, ale po krótkim namyśle wyznał szczerze:

– Nie bardzo. Były dosyć przerażające. I mówi się „dinozaury”.

– Mam dopięło pięć lat – nadeła się Ewunia. – Jesce nie wszystkie litely mi wychodzą. I uważam, ze powinno się mówić „dinozały”, bo one psecies zały wsystko, co upolowały... Tak myślałam, ze się nie nadajes...

– Do czego? – wyrwało się spanikowanej Anusi, która przeraziła się, że za chwilę jej córka wobec całego audytorium zgłosi znowu swój stały od kilku tygodni postulat.

Sytuację uratował Patryk. Przykucnął przed małą, uśmiechnął się szeroko i stwierdził z aprobatą:

– Blondie, to chyba po mamie jesteś taka inteligentna. Masz całkowitą rację. Logicznie rzecz ujmując, one powinny nazywać się „dinożarły”. Obawiam się jednak, że obowiązującą nazwę wymyślili dorośli, a oni nie są tacy mądrzy jak dzieci.

Anusię zaswędziało język na takie niepedagogiczne gadanie, ale zmilczała, bo zobaczyła wniebowziętą minę córki. Postanowiła na osobności uświadomić Patryka, że nie ma prawa wtrącać się w wychowywanie jej dziecka i robić mu wody z mózgu.

– Moze się jednak nadajes – uśmiechnęła się Ewunia i wzięła Karwicza za rękę. – To juz chodźmy. Mami jest zmęczona i musi do domu... Możecie iść z nami – skinęła łaskawie ku pozostałym.

Kama i Luka prawie zderzyły się przed wejściem do Domu Kultury. Cofnęły się jednocześnie i odwróciły głowy, bo usłyszały sapiące pokrzykiwania Konrada, który dziarskim truchtem zmierzał do pracy.

– Cholera. Spóźniłam się. – Zakłopotana Kamila spojrzała na zegarek. – Mój Kamil złapał jakieś świństwo i nie spałam całą noc. Chłop, jak chory, to gorszy niż dziecko.

– Przeziębił się? – Luka popatrzyła na nią ze współczuciem. – To ta pogoda. Podobno pól Kraśnika siedzi w przychodni. Ja od paru dni pilnuję Łukasza, żeby brał witaminy na wszelki wypadek. I rutinascorbin na uodpornienie.

– Dopiero nad ranem zasnęłam. – Kama westchnęła. – Wiercił się jak potępieniec. A to pić, a to chusteczkę podać... Ciekawe, czy oni są w stanie chorować solo, czy od razu umierają...

– Zdążyłem! – wysapał Konrad, dopadając drzwi. – Mariuszek nie chciał mnie puścić, bo ma gorączkę i strasznie marudzi. Obiecałem mu, że wieczorem pogramy w jego ukochaną grę.

– Zapomnij – powiedziała Kamila złowieszczo. – Wieczorem to on będzie miał jeszcze większą gorączkę i będzie jeszcze bardziej marudził... Widzisz? – Odwróciła się do Luki. – Mówiłam, że chłopcy to wybrakowany gatunek. W każdym wieku. Aż dziw, że przetrwali do naszych czasów...

Konrad zadumał się na chwilę, po czym wyjaśniał.

– To nic. Basieńka ma wprawę. Poradzi sobie.

– A niby dlaczego Basieńka ma sobie poradzić? – Kama dźgnęła go palcem w pierś. – Co ona? Słup konstrukcyjny, że wszystko na niej wisi? Ona też pracuje! Na dwóch etatach! A ty to co? Święty byk? Rączki z tyłka wyrosły i nie działają? Cholerni egoiści! – Energicznie pomaszerowała na górę.

– Co ja jej zrobiłem? – zmartwił się stropiony Konrad.

– Kamil jest chory i nie spała w nocy – mruknęła półgłosem Luka. – Spóźniła się przez to i jest zła. Ja też się spóźniłam, bo samochód mi nie chciał zapalić i w końcu przyleciałam na piechotę... Przejdzie jej. Chodź.

Oboje pobiegli za Kamilą, która zamasyście wtargnęła do redakcji, zdejmując po drodze kapotę.

– Cholera, cud się stał, a mnie przy tym nie było! – warknęła na widok Filipa przeglądającego w skupieniu zdjęcia przy wolnym biurku pod oknem.

– Jak przyszedłem, to Luiza już była – mruknął fotograf. – Ciec mówił na dole, że wczoraj nikt od nas klucza nie oddawał, z czego wnioskuję, że siedziała tu całą noc. Na wszelki wypadek wolałem jej nie budzić. Nie jestem taki wyszczekany jak ty.

– Żeby być wyszczekanym, trzeba dysponować odrobiną inteligencji, a tej ci natura poskaąpiła – burknęła Kamila i zaraz huknęła w stronę koleżanki: – Budź się, Luiza! Tu nie noclegownia! Albo bierz się do roboty, albo od razu odbierz nadgodziny i spadaj do domu! Jakoś przeżyjemy bez ciebie!

Luiza ani drgnęła i Kama poczuła lekki niepokój. Z uwagą przyjrzała się współpracownicy. Redaktor Lisiec istotnie sprawiała wrażenie osoby pogrążonej w głębokim śnie. Głowę miała opartą na rękach ułożonych na blacie biurka. Twarzy nie było widać, bo zasłaniały ją włosy.

– Ogluchła, czy tak mocno śpi? – zainteresował się Konrad, siadając przy swoim biurku.

– Luka, czy mnie się wydaje, czy ona ma apaszkę zawiązaną z tyłu? – Kama popatrzyła niepewnie na młodszą koleżankę. – Dziwnie jakoś...

– Wielkie mecyje – mruknął naburmuszony Filip. – Przekręciła się jej

pewnie, jak spała.

Lukrecja podeszła do nieruchomej Luizy, nastawiła się duchowo na porządną awanturę w razie nagłej pobudki i ostrożnie wymacała przez włosy policzek. Wzdrygnęła się, bo był zimny jak lód. Już bez wahania, za to z nagłym przyśpieszeniem odgarnęła jej włosy i poszukała pulsu. Nie wyczuła nic i bezradnie spojrzała na Kameę, która z dziwnym wyrazem twarzy pokazywała coś palcem. Luka poszła za jej wzrokiem i znów się wzdrygnęła. Widok nie był przyjemny. Wytrzeszczone oko Luizy sprawiało wrażenie, jakby widziało przed sobą coś okropnego.

– Ona nie żyje – powiedziała cicho Luka. – Co robimy? Wzywamy pogotowie czy policję?

– Nie wydaje ci się, że ktoś ją udusił? – Kama zmarszczyła brwi. – Dlatego węzeł na apaszcze jest z tyłu... Może powinniśmy ją dokładnie obejrzeć?

– Jeśli ktoś ją zabił, nie ruszajmy niczego – ostrzegła Luka. – Dzwonię do Łukasza.

– Naprawdę? Luiza nie żyje? Tak całkiem? – dopytywał się Konrad, który przyglądał się oględzinom zza swojego biurka. – Może Filip powinien zrobić zdjęcia, żeby policja miała mniej do roboty? Mielibyśmy sensacyjny materiał. Zawsze mówiłem, że Luiza jest fotogeniczna. Zasłużyła na pierwszą stronę. Co powiecie na taki tytuł: Niespodziewany trup w redakcji „Echa Kraśnika”?

Filip popatrzył na niego kompletnie zdezorientowany.

– Co ty chrzanisz? Ja tu już od godziny siedzę, bo mam koncepcję na reportaż zdjęciowy i chciałem sam wyb... Luiza nie żyje?! – Dotarło nagle do niego i zerwał się od biurka. – Nie żyje?! Całkiem?! I ja tu przez godzinę siedziałem z trupem?! Rany boskie, dlaczego nikt mi nie powiedział?! Ja

jestem artysta! Wiecie, jaka to trauma?! Boże, godzinę z trupem...

– Przestań sklamrzeć! – zdenerwowała się Kamila. – Luka, dzwoń! A ty, niedojdo, przypomnij sobie dokładnie, o której przyszedłeś i co tu zastałeś! Bo głowę dam, że policja cię o to zapyta! Jesteś pierwszym podejrzanym. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Ja bym cię od razu zamknęła. Na wszelki wypadek. Podobno tak można.

Filip spojrzał na nią baranim wzrokiem i wzdrygnął się.

– Ja jej nic nie zrobiłem! – wyjęczał z rozpaczą. – Jak przyszedłem, już tak leżała! Po co miałbym zabijać Luizę?

– Może cię molestowała? – podsunął Konrad życzliwie i dodał pocieszająco: – Teraz to traktują jako okoliczność łagodzącą. Gdybyś jeszcze trafił na jakąś młodą sędzinę, dostałbyś najwyżej parę lat.

– O Jezu! Co mnie podkusiło, żeby akurat dziś przyjść wcześniej! – biadał Filip, ciężko przerażony Konradowymi przypuszczeniami. – Ja jestem artysta! Nie wytrzymam w pudle! Nie zabiłem jej! Nie mogą mnie zamknąć za niewinność!

– Statystycznie rzecz biorąc – powiedziała Kamila radośnie – w pudle siedzą głównie niewinni ludzie. Bandyty i złodzieje łążą po ulicach.

– Przestańcie – zganiła ich Luka, odkładając komórkę. – Łukasz zaraz przyjedzie. Weźmie ze sobą Krzysia Jerczyka. Prokuratora. Żeby nie było, że nepotyzm i konflikt interesów... Chodźmy stąd. Poczekamy na zewnątrz.

Cała czwórka opuściła lokal redakcji i wyległa na korytarz. Luka i Kama usiadły na szerokim parapecie okna, a Konrad i Filip ulokowali się na schodach.

– Rany, szef jest w delegacji! – przypomniała sobie Kamila. – Jak myślicie? Powinniśmy go ściągnąć?

– Wyjechał przedwczoraj – zastanowiła się

Luka. – W dodatku aż na Węgry. Nie wydaje mi się, żeby miał coś do powiedzenia w sprawie śmierci Luizy. Dajmy mu spokój. Może dzięki temu przetrwa na stołku, bo nikt się nie będzie czepiał, że jest w coś brzydkiego umoczony. Nie wiem jak wy, ale ja się boję, że z nadania wiceburmistrza możemy dostać na szefa jakiegoś służalczego padalca.

– Nie lubię służalczych padalców – powiedział Konrad stanowczo. – Wolę już tego naszego wyliniałego zaskrońca. Przyzwyczałem się do niego.

– Ja też – mruknęła Kama. – Dobra. Szefowi dajemy spokój. Teraz uwaga: kto ostatni widział Luizę żywą? Bądźmy miłosierni i ułatwmy pracę policji... No? Kondziu? Zaczynaj.

Redaktor Błoński podrapał się zafrasowany po głowie i wzruszył ramionami.

– Wczoraj ją widziałem. Tak jak wy. Przecież razem wychodziliśmy. Która to była godzina?

– Tuż przed osiemną, bo jeszcze kłóciliśmy się z Filipem o zdjęcia burmistrza – włączyła się Luka.

– To jest gazeta, a nie osobisty folwark! – warknęła natychmiast Kama. – Ma stronę w Internecie, niech się lansuje!

– Zazdrościcie mi, bo umiem się wkręcić na szczyty – nadał się Filip. – A wystarczyło wybrać jedno zdjęcie, dać pod nim krótki biogram i mielibyśmy spokój na jakiś czas! Trzeba myśleć perspektywicznie!

– Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy kadzić burmistrzowi – powiedziała twardo Kama. – Jeśli myślisz perspektywicznie, to się skup i przypomnij sobie, kiedy widziałeś żywą Luizę!

– Byłem pewien, że dzisiaj, jak przyszedłem – burknął Filip z goryczą. – A wy mi mówicie... Zaraz! – Popatrzył podejrzliwie na pozostałą trójkę. – A może... Wy macie jakieś porąbane poczucie humoru... To kawał?

Umówiliście się z Luizą, żeby mnie nastraszyć?

Kama zerwała się z parapetu i stanęła przed nim, biorąc się pod boki.

– Ty cholerny dupku! Myślisz, że jesteś najważniejszy na świecie? Usiadłbyś na trupie i nawet by ci przez łeb nie przeszło, że to trup! Oprzytomnij! Luiza nie żyje! Na czole mam ci napisać?

– Trupy są zimne z natury – zastanowił się Konrad. – Palant to on jest, ale ciepło i zimno chyba rozróżnia... Wiesz, Kama, jakoś nam nie wychodzi to pomaganie policji. Może dajmy spokój.

– Zaraz. – Luka uniosła dłoń. – Nie kłóćmy się. Luizie to już nie pomoże. Jaka była, taka była, ale musimy wyjaśnić, kto ją... Jezu! Przecież trzeba zawiadomić jej matkę i syna! Tomaszek sierotą został!

– Ojca ma! I dwie babki! I macochę! – oburzyła się Kama. – Matka i tak go olewała, dużo mu się nie zmieni... Ja nie zawiadamiam. Policja jest od tego. Co mam powiedzieć rodzinie? Że ktoś nie wytrzymał i trzasnął Luizę?

– No właśnie – powiedział powoli Konrad. – Ja tego nie rozumiem. Dlaczego akurat Luizę? Nie lubi dziennikarzy? Ona dużo kłapała, ale wiele nie mogła, bo ją trzymałaś na krótkiej smyczy...

– Wolałbyś, żeby ciebie trzasnął? – zainteresowała się zgryźliwie Kama.

– Ja też niewiele mogę bez twojej zgody. Właściwie to prędzej bym zrozumiał, gdyby ciebie zabili...

– Zacznijmy wreszcie myśleć! – zniecierpliwiała się Luka. – Luiza wczoraj wyszła z nami, ale na dole zawróciła. Powiedziała, że zostawiła w redakcji komórkę i żeby na nią nie czekać. Może już w ogóle nie wyszła... Filip, kiedy przyszedłeś rano, drzwi były otwarte?

– Otwarte. Okno też. Nawet się zdziwiłem, że Luiza tak się wietrzy,

bo zimno było jak w psiarni. Zamknąłem po cichutku, żeby się na mnie nie darła.

– Może ktoś wlaźł przez okno? – Kama zaczęła chodzić po korytarzu, bo lepiej jej się myślało, kiedy była w ruchu. – Niedobrze. Zostawiłeś swoje odciski. Coś mi się zdaje, że masz przechlapane, Filip.

– Coś się akurat do mnie przyczepiła?! – zdenerwował się fotograf. – Mnie Luiza nie przeszkadzała! To już prędeżj tobie, bo wiecznie się kłóciłyście! Może to ty ją zabiłaś, a teraz mnie chcesz zrobić!

– Zaraz dam ci w dziób – powiedziała złowieszczo Kama, zatrzymując się przed nim. – Ze mną Luiza nie sypiała. Może sobie przygruchałeś inną panienkę i chciałeś się jej pozbyć, co? A może... może machnąłeś jej dzidziusia?

Filip spojrział na nią ogłupiałym wzrokiem. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, bo hipoteza Kamili wprawiła go w przerażenie.

– Rany boskie... Co ty... – wykrztusił ze ściśniętego strachem gardła. – Luiza nie znosiła dzieci! Czy ja wyglądam na głupiego? Wiem, skąd się biorą bachory i stać mnie na prezerwatywy! A Luiza brała pigułki!

– Może tylko tak ci powiedziała. – Kamie idea pogrążenia Filipa bardzo przypadła do gustu. – Może jej zależało na dzieciątku o włoskim kolorycie, podobnym do tatusia? Może chciała cię złapać na męża? – zapalała się coraz bardziej. – Albo żądała alimentów? A ty nie życzyłeś sobie problemów i w końcu ją trzasnąłeś...

– Przestańcie! – Zniechęcona i przygnębiona Luka popatrzyła na nich karcąco. – Luiza nie żyje, a wy...

– Płakać po niej nie będę – oznajmiła stanowczo Kama. – Przykro mi, że nie żyje, bo nikomu nie życzę śmierci, ale to wszystko, na co mnie stać. I coś wam powiem: my jej nie lubiliśmy i nie ma co szklić, że było inaczej, bo

to traci hipokryzją. Coś mi się jednak wydaje, że ktoś nie lubił jej jeszcze bardziej. Nie wierzę, że ubił ją ktoś z nas. Ale nie mam pojęcia, gdzie szukać mordercy poza redakcją. W zasadzie nie wiemy nic konkretnego o jej życiu prywatnym. Poza tym – uściśliła, nie zwracając uwagi na pojękującego Filipa – że znamy jej byłego męża, obecnego amanta, no i jej rodzinę.

– No to trochę wiemy. – Luka westchnęła. – Czemu oni tak długo nie przyjeżdżają?

Kiedy z redakcji wyniesiono owinięte w plastikowy worek ciało Luizy, siedzący na schodkach Konrad poderwał się raptownie i powiedział rzewnie:

– Świeć, Panie, nad jej duszą...

– Kondziu, bo cię trzasnę! – Kamila zazgrzytała zębami.

– To straszne, że nikt jej nie żałuje – stwierdziła cicho Luka.

– Uczciwie sobie na to zapracowała – burknęła Kama.

– Ale dziennikarką była niezłą – zauważył Konrad łagodząco. – Miała pazur.

– I wyobraźnię mitomanki... Gdybym puszczała wszystko, co jej przyszło do głowy, gazeta już dawno poszłaby z torbami. Powinna była załapać się do jakiegoś dużego brukowca, a nie do nas.

– Chyba właśnie zamierzała – ożywił się Filip. – Bo słyszałem jej rozmowę z kimś z Krakowa...

– Skąd wiesz, że z Krakowa? – zainteresowała się Kama. – Chwaliła ci się?

– Nie, ale podsłuchałem, jak ciągle mówiła: u was w Krakowie i że reportaże kryminalne to dla niej betka. Może chciała wyjechać?

– A Tomaszek? – przejęła się Luka. – I matka? Dla dzieciaka w tym wieku takie zmiany to trauma. Zostawia szkołę, przyjaciół, wszystko musi zacząć...

– Możesz być pewna, że matkę i Tomaszka bez skrupułów zostawiłaby w Kraśniku – przerwała Kamila, wzruszając ramionami. – Pawełek i tak na niego płaci, matka ma rentę... O, wychodzą. – Zahaczyła wzrokiem o dwóch policjantów opuszczających miejsce zbrodni. – No to teraz pewnie wezmą się za nas...

Jak na zawołanie w drzwiach redakcji stanął Łukasz Szczęsny z bardzo służbową miną, co u Lukrecji wywołało nerwowe drgnięcie.

– Chyba mamy kłopoty – mruknęła do Kamy.

Na zapraszający gest cała czwórka potencjalnych zabójców (bo tak się właśnie poczuli) weszła do środka i popatrzyła pytająco na obu przedstawicieli władzy.

– Luiza Lisiec została zamordowana – zagaił oficjalnym tonem Szczęsny – ale to już wiecie. Nie mamy ochoty, żeby ktoś się czepiał, że śledztwo jest nierzetelnie prowadzone, więc postanowiliśmy podzielić się zadaniami. Prokurator Jerczyk zostaje, a ja jadę do Pawła Łęckiego.

– Pawełek jej na pewno nie zabił! – wyrwało się Kamili z oburzeniem.

– Też tak sądzę, ale musimy z nim porozmawiać – powiedział spokojnie Jerczyk. – Proszę, niech państwo zajmą swoje zwykłe miejsca. Jedź, Łukasz. Ja tu sobie poradzę.

Szczęsny rzucił mu nieco sceptyczne spojrzenie, ale skinął głową. Wychodząc z pokoju zerknął współczująco na małżonkę, co Lukrecję ostatecznie sparaliżowało.

– No to sobie porozmawiamy – zaczął pogodnie prokurator. – Kto z państwa znalazł denatkę?

– On tak o naszej Luizie? – upewnił się Konrad głośnym szeptem. – Denatka... Rany, jaki ona by reportaż o tym napisała...

– Kondziu, bo naprawdę cię trzasnę! – wysyczała Kamila i zwróciła

się do przedstawiciela władzy: – W zasadzie, panie prokuratorze, to można powiedzieć, że Filip...

– Ja?! – jęknął przerażony fotograf. – Przecież ja...

– ... W zasadzie, mówię – ciągnęła bezlitośnie Kama – bo ta łajza przysłała najwcześniej, co już się pewnie nigdy w życiu nie powtórzy...

– Nigdy! – zapewnił Filip z mocą.

– ... i przez godzinę siedziała z trupem w jednym pokoju, nie mając pojęcia, że Luiza nie żyje...

– Wyglądała, jakby spała! Naprawdę!

– ... Było już po dziesiątej, kiedy przyszedliśmy we trójkę. Jakoś tak wyszło, że się spóźniliśmy...

– A dlaczego tak wyszło? – chciał wiedzieć prokurator.

– A dlatego, że mój... konkubent jest obłożnie chory i zasnęłam. Kondzio ma chorego syna i musiał negocjować z młodym, żeby go z domu wypuścić. A Luka...

– Samochód mi nie chciał zapalić – wyjaśniła Lukrecja, którą już opuściło dziwne otępienie umysłowe. – Znowu coś się zepsuło. Próbowałam go uruchomić, ale w końcu przyleciałam na piechotę i dlatego się spóźniłam. W drzwiach na dole się spotkaliśmy i weszliśmy razem. Filip był już w środku.

Nieszczęsny fotograf zazgrzytał zębami i rzucił jej rozżalone spojrzenie.

– Od razu po wejściu rzuciła mi się w oczy Luiza z tym rudym skalpem na biurku, ale myślałam, że śpi – podjęła Kama. – Zdziwiło mnie tylko, że węzeł na apaszce ma z tyłu, bo zawsze wiązała z przodu. Próbowałam ją obudzić...

– Ryknęłaś na nią – odezwał się Filip z urazą.

– Bo próbowałam ją obudzić – powtórzyła z naciskiem Kamila. – Opanowałam procesy myślenia i nie ryczę na nieboszczyków, bo wiem, że i tak nie słyszą...

– Podobno słyszą – wtrącił z przejęciem Konrad. – Jeszcze przez parę...

– Kondziu! – ryknęła Kamila pełną piersią i prokurator natychmiast zrozumiał, że Luiza z pewnością musiała być już martwa, jeśli taki ryk nie poderwał jej na równe nogi. – Przepraszam pana – dokończyła normalnym głosem. – Trochę jesteście... – zastanowiła się nad doborem odpowiedniego słowa – ... rozstrojeni. Nie spodziewaliśmy się zastać w redakcji znajomego trupa...

– Żadnego się nie spodziewaliśmy! – wyjęczał Filip. – Obcego też nie! To jest kulturalne miejsce, a nie pospolita mordownia!

Prokurator westchnął mimowolnie, bo dopiero teraz zrozumiał, co oznaczało to sceptyczne spojrzenie Łukasza na pożegnanie. Przysiadł na pustym biurku obok stanowiska Luizy i zapytał surowo:

– Więc kiedy się państwo zorientowali, że redaktor Lisiec nie żyje?

– Chciałam ją jakoś delikatnie obudzić – powiedziała Luka, która szczerze współczuła Krzysztofowi (a znała go prywatnie, podobnie jak jego żonę) i wiedziała, że jej redakcyjnych przyjaciół trudno mu będzie okiełznać. – Dotknęłam jej policzka i stwierdziłam, że jest okropnie zimny. Więc zaczęłam szukać pulsu na szyi i wtedy Kama zobaczyła to wytrzeszczone oko. – Wzdrygnęła się. – No i zadzwoniłam do Łukasza...

– Rozumiem. – Krzysztof Jerczyk popatrzył na nią z wyraźną ulgą i wdzięcznością, że choć z jedną przedstawicielką zespołu redakcyjnego da się normalnie rozmawiać. – Dotykali państwo czegoś?

– Luka tylko Luizy i od razu powiedziała, żeby niczego nie ruszać –

odparła Kama i dodała ze złośliwą satysfakcją: – Filip jeszcze okna. Otwarte było, kiedy przyszedł i zamknął, bo w pokoju było zimno.

– Dlaczego państwo od razu tego nie powiedzieli? – Prokurator zazgrzytał zębami i sięgnął po komórkę. – Wracajcie. Musicie sprawdzić okno i teren pod nim na zewnątrz.

– Bo nikt nas nie pytał. – Kamila uśmiechnęła się niewinnie. – Od razu panu powiem, że nie wierzę, żeby zabił ją ktoś z nas. Nawet ta łajza. – Machnęła pogardliwie dłonią w stronę wystraszonego Filipa. – Luiza wczoraj nie wyszła z nami z pracy. Powiedziała, że wraca, bo zostawiła komórkę. Może miała się z kimś spotkać? Choć właściwie mamy zasadę, że informatorów trzymamy z dala od redakcji...

– Jakich informatorów? – zainteresował się Jerczyk.

– Kapusiów. Donosicieli... Przeważnie dzwonią do nas, żeby donieść na sąsiada, który opływa w dobrobyt nieznanego pochodzenia i sugerują różne lewe interesy. Czasem ktoś chce się spotkać i pogadać w cztery oczy albo coś pokazać w terenie. Zajmowała się tym Luiza, a kiedy trzeba było, brała ze sobą Filipa, żeby zrobił zdjęcia.

– Mogła trafić na jakiś niebezpieczny temat?

– W Kraśniku? – Kama przewróciła oczami. – Jakie tu mogą być niebezpieczne tematy? Najwyżej ktoś pod kimś ryje, ale nikt z tego powodu nie zabija. Kraśnickie przekręty nadają się ewentualnie dla skarbówki. Delikwent zapłaci, co trzeba, donosiciela wyleje z roboty i kombinuje dalej, ale już ostrożniej.

Do pokoju weszła ze sprzętem policyjna ekipa i prokurator wolał usunąć potencjalnych podejrzanych na teren neutralny.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy przejść, żeby im nie przeszkadzać? – Spojrzał na Kamilę.

– Gabinet szefa. Pusty, bo szef jest w delegacji od paru dni. – Kama podniosła się z krzesła i wyjęła klucz z torebki. – Chodźmy.

– Chłopcy, kiedy skończycie, to jeszcze poczekajcie – poprosił Jerczyk. Wolał się zabezpieczyć, nie mając pojęcia, jakie jeszcze rewelacje usłyszy od tych denerwujących redaktorów.

Irytująca czwórka plus prokurator przeszła do gabinetu nieobecnego naczelnego. Jerczyk usiadł przy biurku, bo to miejsce wskazała mu Kama, a pozostali rozgościli się naprzeciwko przy sporych rozmiarów ławie i zawiesili na nim oczekujące spojrzenia.

– Przy biurku denatki znaleźliśmy torebkę. – Krzysztof sięgnął do teczki i wyjął z niej zapakowany w przezroczysty worek przedmiot. – To jej własność?

– Jej – potwierdziła Kama. – W środku powinna być taka jarzeniowa kosmetyczka, komórka, notes w czarnej oprawie, dyktafon i pendrive. Co więcej, nie wiem, ale bez tego Luiza nie umiała egzystować.

– Jarzeniowa? To znaczy jaka?

– Luiza twierdziła, że złocista. – Kama skrzywiła usta. – Pozostańmy przy tym. Nieboszczki nie będę szkalować.

– Rozumiem. – Prokurator zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym oznajmił: – W torebce nie znaleźliśmy dyktafonu i pendrive'a. Mają państwo jakieś sugestie na ten temat?

– Ja mam – odezwała się cicho Luka, której przypomniało się dziwne zachowanie Luizy w ostatnich dniach. – Dyktafon i pendrive to były podstawowe narzędzia pracy Luizy. Nagrywała rozmowy, które mogły jej się przydać do artykułu, przepisywała do komputera, a potem zgrywała na pendrive'a. Żeby mieć podpórkę, na wypadek gdyby Kama miała zastrzeżenia.

– Czyli komputer też musimy przejrzeć – mruknął prokurator i wyszedł do ekipy śledczej.

– Myślisz, że naprawdę na coś trafiła? – zapytała cicho Kama, kiedy zostali sami. – I ktoś ją trzasnął, a potem zwinął dowody przeciwko sobie?

– A widziałaś, żeby Luiza kiedykolwiek nie miała przy sobie dyktafonu i pendrive'a? – Konrad podrapał się po głowie. – Luka może mieć rację. Nasza rudowłosa primadonna strasznie była ostatnio tajemnicza.

– Cholera, w ogóle nie mówiła, nad czym pracuje – mruknęła Kama ze złością. – W co ona mogła wdepnąć? Jazda, zarządzam burzę mózgów! Przychodzi wam coś do głowy? Jakiś przekręt, dla którego warto zabić? Filip, przestań się nad sobą użalać i myśl! Byłeś z Luizą najbliżej. Może coś jej się wyrwało do ciebie?

– No to przecież mówiłem, co jej się wyrwało – burknął Filip nieprzyjaźnie. – O tym Krakowie. Mało ostatnio gadaliśmy, bo ona była jakoś strasznie ruchliwa... A, czekaj! – przypomniał sobie. – Parę dni temu wpadłem na nią przypadkiem koło Music Cafe. Nawet przyglądałem się jej przez chwilę, zanim podszedłem, bo dziwnie się zachowywała.

– To znaczy jak? – Kama wbiła w niego wzrok.

– Najpierw to jej nie poznałem – wyznał Filip i wydał usta. – Chustkę miała na głowie. Tę apaszkę, co to dzisiaj... No, tę samą... Jakby nie chciała, żeby ktoś ją rozpoznał czy co. I nie szła normalnie, tylko powoli. Wyraźnie się starała, żeby ją ktoś z przodu zasłaniał. Dziwnie to wyglądało, bo tak trochę zygzakiem szła. Nawet sobie pomyślałem, że może wypięła o jednego za dużo.

– Śledziła kogoś? – Konrad uniósł brwi. – Kogo? Widziałeś?

– Nie wiem kogo! – rozzłościł się Filip. – Zacząłem do niej machać, to najpierw stanęła jak wryta, potem zrobiła minę, jakby mnie chciała zabić i

nagle rozdarła się na pół ulicy: No, nareszcie jesteście! Zglupiałem od tego, bo wcale się nie umawialiśmy.

– Ale ty jesteś palant – westchnęła Kamila z ubolewaniem. – I co było dalej?

Fotograf wzruszył ramionami.

– Nic. Podeszła, poklepała mnie po ramieniu i poleciała do swojego samochodu. Był zaparkowany niedaleko. I tyle.

– Czyli rzeczywiście kogoś śledziła – stwierdził Konrad z satysfakcją.

– Nie ciesz się tak, Kondziu – mruknęła Luka, marszcząc brwi. – Wciąż nie mamy pojęcia kogo.

– To myślmę – rozkazała Kama. – Jak na razie, nieźle nam idzie.

W drzwiach od dłuższego czasu stał prokurator, z zainteresowaniem przysłuchując się rozmowie podejrzanych, ale żadne z nich go nie zauważyło.

– Czym ta Luiza mogła się zajmować... Ostatnio prawie z nikim się nie kłóciła, wszystkie zlecenia wykonywała może bez zapału, ale w terminie... Luka, za co byłabyś w stanie zabić... Inaczej zapytam: co ktoś musiałby zrobić, żebyś miała ochotę go zabić?

– Podejrzewam, że w przypadku Luizy to chyba był bardziej mus niż ochota – powiedziała Luka, ale zaczęła się zastanawiać. – Jakoś nie widzę siebie w roli zabójcy. Ja o wszystkim rozmawiam z Łukaszem. Gdybym miała jakiś problem, pewnie też bym mu powiedziała.

– Nie nadajesz się do życia w społeczeństwie – zganiała ją Kamila i przeniosła spojrzenie na redaktora Błońskiego. – Kondziu? Co by cię skłoniło do morderstwa?

Konrad westchnął ciężko.

– Nie wiem, moje serce. Ja mam filozoficzne usposobienie. I jestem

pacyfistą z natury. Nie żywię specjalnej urazy nawet do głupców. Ale – uniósł ostrzegawczo palec – gdyby mojej rodzinie ktoś chciał zrobić krzywdę, mógłbym się zdenerwować.

– Jak bardzo?

– Nie wiem. Jeszcze tego nie sprawdziłem.

– Jesteście beznadziejni – stwierdziła Kama z naganą. – Filip? Zabiłbyś?

– Jestem artystą, nie socjopatą – obraził się fotograf.

– I tchórzem – dodała Kamila bezlitośnie. – To wiem. A ja bym zabiła.

Pozostała trójka spojrzała na nią z popłochem.

– No co? Gdybym miała jakąś tajemnicę, a ktoś próbował mnie nią szantażować i poczułabym się przyparta do muru... Sytuacja bez wyjścia czasem wymaga ofiar. Mam dość inteligencji, żeby tak obmyślić morderstwo, by nikt mnie o nic nie podejrzewał.

– Myślisz, że Luiza kogoś szantażowała? – zdziwiła się Luka.

– Myślę, że trafiła na jakąś aferę i próbowała dowiedzieć się jak najwięcej, żeby napisać sensacyjny artykuł, który jej pozwoli dostać się do tej krakowskiej gazety, o czym wspominał Filip. I musiało to być coś potężnego, jeśli nawet napad na kraśnicki bank nie zrobił na niej wrażenia.

– No właśnie – przypomniała sobie Luka. – To mnie wciąż zastanawia. Nie mogę uwierzyć, że Luizy w ogóle nie zainteresował ten napad. Łukasz mi mówił, że tylko raz rozmawiała z komendantem na ten temat, nagrała na dyktafon oficjalny komunikat Dziadzia i więcej się u nich nie pokazała. A przecież Luiza była jak sęp – wczepiała się pazurami i nie popuściła, aż wydarła wszystko. Gdyby teraz miała zakaz ze strony policji, to i tak zbierałaby informacje, żeby napisać reportaż stulecia po zakończeniu

śledztwa. A ona nawet w banku nie była, żeby porozmawiać z kasjerkami!

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Kama.

– Bo ja z nimi rozmawiałam – przyznała się Luka. – Nie dlatego że chciałam zrobić na złość Luizie, ale Łukasz mnie prosił, żebym z nimi pogadała. Bo czasem do prasy świadkom więcej się wyrwie.

– Jasne. A jeszcze jak kobieta z kobietą rozmawia... – zgodziła się Kamila.

– To jest dziwne – oznajmił Konrad z przekonaniem. – Niepodobne do Luizy. Luka ma rację. Nawet, gdyby miała na oku ciekawszy temat, nie odpuściłaby tego napadu. Uznałaby, że dwa sensacyjne reportaże po kolei będą lepszą kartą przetargową na nową posadę... Gdybyśmy mieli tego pendrive'a albo dyktafon, to już byśmy wiedzieli, gdzie szukać zabójcy.

– Ale nie mamy – ucięła Kama. – Coś mi się zdaje, że będziemy musieli porządnie się spać. Nie kochałam Luizy, ale nie widzę powodu, dla którego jej zabójca ma się cieszyć wolnością i popadać w samouwielbienie, bo go nie złapali...

– Paweł się przejął? – zapytał Jerczyk, ledwo Szczęsny zdążył zasiąść w fotelu.

– Owszem. Ale mam wrażenie, że bardziej koniecznością powiadomienia rodziny o śmierci eks – małżonki niż samą śmiercią. – Łukasz z przyjemnością powąchał unoszący się znad filiżanki aromat.

Sekretarka Krzysztofa parzyła znakomitą kawę. – Rany, ależ ta kobieta się napracowała, żeby być tak nielubianą... Będziemy musieli pogadać z jej matką i przeszukać dom. Może gdzieś wetknęła tego pendrive'a, o którym mówiłeś... Cholera! Mamy na głowie ten napad, a komendant mi jeszcze zabójstwo wetknął – powiedział wzdychając.

– Lukrecja do ciebie dzwoniła, to pewnie uznał, że będzie szybciej –

podsunął Jerczyk.

– Nic nie będzie szybciej. – Łukasz upił łyk gorącej kawy. – Mnie się zdaje, że on to specjalnie zrobił. Żebym się zanadto nie wychylał na przyszłość. Pewnie ma nadzieję, że wreszcie polegnę i będzie miał mnie z głowy.

– Nie polegniesz, bo ja nie mam zamiaru się poddać – pocieszył go Krzysztof. – Chcę złapać tych cwaniaczków, co potraktowali bank jak prywatną skarbonkę i chcę znaleźć mordercę Luizy Lisiec. Na razie potraktujemy to jako dwa odrębne śledztwa, ale po drodze może coś nam się zazębi. – Streścił koledze przypuszczenia snute przez zespół „Echa Kraśnika”.

– Straszni są w kupie, co? – Łukasz uśmiechnął się współczująco. – Ale ogólnie są niegłupi. Konrad myśli wolno, lecz logicznie. Kama szybko wyciąga wnioski. I jest spostrzegawcza. Moja Luka za to jest ostrożna, ale cierpliwa i pozornie nieistotne przesłanki umie ze sobą powiązać.

Prokurator zerknął do swoich zapisków.

– Konrad Błoński, Kamila Jarczewska – zamruczał pod nosem i spojrzał na Szczęsnego. – A Tracz? Co o nim wiesz? Bo oni twierdzą, że siedział przez godzinę w jednym pokoju z tą Lisiec i nawet mu nie zagrzmiało, że ona nie żyje. W głowie mi się to nie mieści.

– Masz skrzywienie zawodowe. Mnie tam się mieści. Filip Tracz to narcyz. Nikt go nie obchodzi. Od Luki wiem, że z denatką łączył go romans. Teraz już chyba w fazie schyłkowej. Mieli podobne charakterki.

– Może chciał się jej pozbyć – podsunął Krzysztof z nadzieją.

– To tchórz i histeryk. – Łukasz pokręcił głową. – Mógł się jej pozbyć bez zabijania. Najprędzej po prostu unikałby kontaktu...

– Pracowali razem!

– Po pracy. Filip świetnie potrafi się wymigać od czegoś, co mu nie pasuje... Naprawdę myślisz, że Luiza trafiła na coś, co ma związek z tym napadem?

– To nie ja. Oni to wymyślili. Ale jakiś pomysł to jest... Przemaglowałeś już tych strażników z banku?

– Owszem i pozwól, że nie będę tego komentował, bo nie chcę się wyrażać – skrzywił się Szczęsny. – Siedzą w tym banku jak u Pana Boga za piecem. Takie spaślaki, że nawet gdyby wtedy byli w pracy, nie mieliby szans. Oczywiście z nikim na temat zabezpieczeń nie rozmawiali i nie mają pojęcia, komu taki sprytny napad przyszedł do głowy.

– Wierzysz im?

– Nie. To znaczy, wierzę, że nie mają pojęcia, ale nie wierzę, że z nikim nie rozmawiali o pracy.

– A co z tym motorem?

– A tu mam pewien ślad – ożywił się Łukasz. – Wyobraź sobie, poszedłem do tego komisju z komórkami, przejrzałem z panienką wszystkie kwity, przypasowałem czas i trafiłem na przytomnego świadka. W dodatku takiego, który ma bzika na punkcie motocykli.

– Nazywa się jakoś? – Krzysztof pochylił się ku niemu niecierpliwie.

– Świadek? Czekał... – Szczęsny przewertował notes i znalazł właściwą stronę. – Jakub Karpiuk, mieszka przy Mickiewicza... Rozpoznał markę i opisał wygląd. Na rejestrację, niestety, nie zwrócił uwagi. Według niego to był kawasaki vulkan pomalowany na czarno. Obejrzałem sobie w Internecie i już mam pojęcie, jak wygląda. Zobacz! – Podał koledze wydruk z komputera.

– To w zasadzie dalej nic nie mamy. – Jerczyk westchnął.

– Powolutku. Pogadam wieczorem z żoną. Może rzeczywiście śmierć

Luizy ma coś wspólnego z tym napadem. Gdyby tak było, to może popełnili jakiś błąd... Masz już raport od patologa?

– Została uduszona. Prawdopodobnie apaszką. Poprzedniego dnia między dziewiętnastą a dwudziestą. Ciec mi powiedział, że zadzwoniła do niego na dół, powiedziała, że zostaje po godzinach i że nie życzy sobie, żeby ktoś jej przeszkadzał...

– Mogła czekać na ważny telefon...

– Miała komórkę. Czekać mogła gdziekolwiek, nie musiała w redakcji – zaproponował Krzysztof. – Wychodzi na to, że naprawdę była z kimś umówiona. Ciec przysięga, że nikt na górę nie wchodził.

– Czyli gość wlaźł przez okno, załatwił ją i wylaźł – myślał głośno Łukasz. – Gazeciarze mogą mieć rację. Coś kombinowała... Ślady jakiegoś znaleźliście?

– Owszem. Drobinę z lateksowych rękawiczek. Nic nam z nich nie przyjdzie. Jeśli nawet były jakieś inne, to ten gamoń Tracz dokładnie je zatarł. Tyle że pod oknem były mocno odcisnięte ślady butów. Chłopcy zrobili odlewy, ale nie mamy z czym porównać.

– Butów, powiadasz. – Szczęsny zafrasowany podrapał się po brodzie. – Mocno odcisnięte... Pamiętam z innego śledztwa, że tam wysoki parter. Jeśli było ich dwóch, to jeden drugiego mógł podsadzić... Czekać! Buty! Mówiłeś, że ta fryzjerka zapamiętała szczegóły! Sprawdziłeś, że do biegania! Pokaż to zdjęcie! Może trzeba...

– Wiesz co? – Jerczykowi rozbłysły oczy. – Chyba pojedę do sklepu i kupię sobie buty do biegania. Koniecznie numer czterdzieści siedem. Odżałuję te cztery stowy. A jak uda nam się rozwiązać tę sprawę, postawię je w gabinecie na honorowym miejscu!

– Wiecie, że dziś musiałam zamknąć na chwilę zakład? – Anusia szła

pomiędzy dwoma dorodnymi męskimi okazami, czując się trochę jak bufor między dwoma wagonami. Obaj panowie bowiem reprezentowali względem siebie dziwny antagonizm. – Ten prokurator, co mnie przesłuchiwał, zabrał mnie na zakupy.

– Ciebie? – zdziwił się Misiek. – Po co? Bo sam nie lubi?

– To były bardzo szczególne zakupy – wyjaśniła Anusia. – Objechaliśmy kilka sklepów obuwniczych, zanim kupił to, co chciał. Byłam mu potrzebna, bo chciał mieć pewność, że to właśnie takie buty, jakie widziałam u tego bandziora od napadu... Dziwne. Zawsze myślałam, że śledztwo wygląda inaczej.

– To podobno bardzo skuteczny prokurator. – Misiek potknął się i z trudem utrzymał równowagę. – Lala mi mówiła. Nieważne, jakich sposobów używa. Ważne, żeby złapali tych bandziorów i żebyś przestała się bać.

– No nie wiem. – Patryk, idący z drugiej strony, pokręcił sceptycznie głową. – Ktoś w Kraśniku chyba oglądał w dzieciństwie za dużo westernów i pomyliło mu się z Dzikim Zachodem. Albo dba, żeby policja miała co robić... Podobno ktoś zabił dziennikarkę z naszej gazety. Moja matka ją знаła, bo kiedy zakładała tę swoją szkołę językową, zamawiała u nich reklamę.

– Którą? – W głosie Anusi był niepokój. – Nie reklamę, tylko dziennikarkę.

– Taką rudą. – Minat nie chciał być gorszy. – Luizę Jakąstam. Lala mi mówiła, bo u Maminki pacjenci plotkują jak w maglu.

– O mamusiu! – Anusia aż przystanąła z wrażenia. – Przecież ja ją znałam! Zawsze do mnie przychodziła! Niedawno robiłam jej kolor! Pani Luiza! Kto ją zabił?

– Nie mam pojęcia, nawet nie znałem niewiasty. – Patryk wzruszył

ramionami.

– Lala mówiła, że wersji jest kilka – dodał natychmiast Misiek. – Jedna baba się upierała, że to były mąż ją zabił, bo miał dość płacenia alimentów. Druga mówiła, że to nieprawda, bo kochanek. Podobno w ciąży z nim była. Trzecia – że wiceburmistrz wynajął płatnego zabójcę z zemsty za jakiś artykuł, w którym go obsmarowała. Tyle wersji, ile plotkarek. Prawie sobie do oczu skoczyły i Maminka o mało ich za drzwi nie wyprosiła. Ona nie znosi plotek. Szczególnie takich rodem z magła.

– A jak zginęła? – zapytała niespokojnie Anusia, czując dreszcz strachu na plecach.

– To pewnie też zależy od tego, kto opowiada – mruknął Patryk kpiąco.

– Chyba tak – zgodził się Misiek. – Bo Lala słyszała, że – primo: samochód ją rozmazał na przejściu; secundo: zastrzelili ją, kiedy wychodziła z redakcji; tertio: ktoś ją pobił w ciemnym zaułku na śmierć. A tak naprawdę to nie wiem.

– Boże, co tu się dzieje? – jęknęła Anusia. – Napady, morderstwa... Misiu, ja chyba naprawdę zapiszę się do ciebie na kurs.

Dochodzili już do bloku, w którym mieszkała i z ulgą pomyślała, że za chwilę znajdzie się w bezpiecznym domowym zaciszu, kiedy wpadło jej w oczy coś dziwnego. Przed samą klatką, w pobliżu ławki, biegało z wielkim samozaparciem niewielkich gabarytów stworzenie w znajomej czapeczce na głowie.

Anusia najpierw stanęła jak wryta, a chwilę potem porzuciła bezpieczną przystań męskich ramion i rzuciła się ku biegającemu wytrwale skrzatowi.

– Ewuniu! – Prawie płakała, łapiąc dziecko i przygarniając

konwulsyjnie do siebie. – Co się stało, skarbie? Dlaczego nie jesteś w domu? Gdzie dziadek?! O mamusiu, coś mu się stało?! Zimno jest, a ty... Matko Boska, dlaczego ty jesteś przywiązana do ławki?! Kto ci to zrobił?! Zabiję go! – zerwała się z kolan i rozejrzała wokół z morderczym błyskiem w oku.

Misiek cofnął się trochę na wszelki wypadek, a Karwicz uniósł brwi w zdumieniu.

– No tak – mruknął. – Coś opętało tutejszy narodek. Sama widzisz, jak łatwo od słów przejść do czynów... Ale akurat po tobie bym się tego nie spodziewał.

– KTOŚ PRZYWIĄZAŁ MOJE DZIECKO DO ŁAWKI! – wyskandowała Anusia z furją. – Z przyjemnością zrobiłabym mu to samo!

– Mami. – Ewunia pociągnęła ją za kapotę i uśmiechnęła się uspokajająco. – Nie ksysc, bo dziadek usłysy. Cypek mnie psywiązał, bo chciałam.

Misiek zbaraniał, a Patryk zarechotał pod nosem. Anusi nie było stać na żadną reakcję, bo ją замуrowało.

– Rozumiem, Blondie, że nie preferujesz stanu wolnego – odezwał się Karwicz, usiłując zachować powagę. – Lubisz być uwiązana?

– Do dzieci się tak nie mówi – powiadomiła go Ewunia z urazą. – Jesce nie wszystkie słowa lozumiem... Chciałam wyjść po mami, ale dziadek coś lobił w kuchni i powiedział, że nie tseba. Pocekać ze mną psed blokiem tez nie chciał. Powiedział, żebym się psywiązała do jednego miejsca, to nie będzie ze mną tyle kłopotu...

– Ubrałaś się i sama wyszłaś – powiedziała surowo Anusia, której głos już wrócił.

– Cypek sedł do domu i miał snulek. Poplosiłam go i mnie psywiązał.

Zeby się dziadek nie maltwił.

– A czemu tak kłusowałaś w tę i z powrotem? – zainteresował się Patryk i natychmiast się poprawił: – Czemu tak biegałaś?

– Bo zimno – wyjaśniła Ewunia z prostotą. – Mami też nie chciałam lobić kłopotu. Od zimna człowiek się może lozcholować, wiesz?

– Wyjaśnijmy to sobie. – Anusia wzięła głęboki oddech i policzyła w duchu do pięciu. – Chciałaś na mnie poczekać przed blokiem, ale dziadek się nie zgodził. Więc po kryjomu, bez jego wiedzy, wyszłaś z domu i kazałaś Cypkowi przywiązać się do ławki, tak?

Zanim winowajczyni zdążyła odpowiedzieć, z klatki wybiegł dziarskim truchtem zasapany protoplasta rodziny Orzechowskich, bez odpowiedniego na tę porę roku ciepłego okrycia, za to w fantazyjnym fartuszku ozdobionym napisem: GOTUJ MNIE. Na widok walnego zgromadzenia przed sobą struchlał na moment, ale zaraz dojrzał pośród nich małą figurkę i doznał niebotycznej ulgi.

– Uff, myślałem... – Opadł na zimną ławkę. – Tfu, nie powiem, co myślałem... Anusiu, skarbie, przepraszam. Nie zauważyłem, kiedy się wymknęła. Przysięgam ci, że jutro kupię najmocniejszą smycz, jaką znajdę w sklepie!

– Coś mi się wydaje, że narozrabiałaś, Blondie. – Patryk współczująco uścisnął małą rączkę.

Ewa Patrycja rzuciła mu spojrzenie doświadczonego w bojach frontowca i stanęła przed dziadkiem z miną skrzywdzonego niewinnie dziecięcia.

– Psecies się psywiązałam do miejsca! – chlipnęła żałośnie. – Powiedziałaś, że wtedy się nie maltwis!

Wiktor osłupiał, więc Anusia pokazała mu sznurek, którym jego

wnuczka bardzo solidnie została przytwierdzona do stabilnej, wmurowanej w ziemię ławki.

– Co jej powiedziałaś, tato? – zapytała z westchnieniem.

– Nikomu nie kazałem do niczego się przywiązywać! – Wiktor w popłochu usiłował sobie przypomnieć, jaki przebieg miała rozmowa z wnuczką. – Powiedziałem tylko, że byłbym szczęśliwy, gdyby kiedyś udało jej się dłużej posiedzieć w jednym miejscu! Nie potrafię się rozdzielić! Chciałem zrobić gorącą kolację, bo wiedziałem, że wrócisz zmarznięta!

– Odsupłaj mnie od tego. – Ewunia pociągnęła Patryka za spodnie i pokazała na sznurek, który ją oplątywał w pasie. – Juz mogę włacać. Zimno i głodna jestem.

– Dużo zrobiłeś tej kolacji, tato? Bo chyba powinnam ich zaprosić po tych emocjach na górę...

– Wystarczy dla wszystkich. – Wiktor wiedział, że nie minie go rozmowa z córką na temat komunikacji na linii dziecko – dorosły, ale był szczęśliwy, że odwlecze się w czasie. – Chodźcie, chłopcy!

– Dziewcynki też – przypomniała zazdrośnie Ewunia i pierwsza wpadła na klatkę schodową.

– Dobra, teraz mamy trochę luzu. – Kamila zasiadła przy pustym biurku Luizy i popatrzyła wyczekująco na swoich współpracowników. – Luka, Łukasz coś mówił o śledztwie w sprawie zabójstwa Luizy?

Lukrecja Szczęsna miała dość nieszczęśliwą minę.

– No, mówił, ale...

– Nie będziemy kłapać – przyrzekła Kama uspokajająco. – Filip też nie. – Spojrzała groźnie na potulnego, jak nigdy, fotografa. – Bo mu zrobię kęsim – kęsim. Jak powiedziałam, jestem zdolna do zabójstwa. Zresztą, to by było w afekcie, mniej za to dają... Możesz mówić.

– Już nie jesteśmy na pierwszym miejscu listy podejrzanych. – Luka odetchnęła z wyraźną ulgą. – Powiązali zabójstwo Luizy z tym napadem na bank...

– Jakim cudem? – zdumiała się Kamila.

– Znaleźli pod naszym oknem odciski butów. Świadek w banku wcześniej opisał obuwie jednego z napastników i przyszło im do głowy, żeby porównać...

– Z czym? – zdziwił się Konrad.

– Krzyś Jerczyk kupił takie same i dał chłopakom do zbadania. Powiedzieli, że to na pewno odciski takich podeszew...

– Mówiłam, że Luiza dziwnie się zachowuje! – W głosie Kamy dzwięczał tryumf. – Coś musiała wywęszyć i dlatego ją skasowali!

– A mnie tu się coś nie zgadza. – Zamyślony Konrad skubnął się w brodę i popatrzył na pozostałą trójkę skupionym wzrokiem. – Pamiętam, jak powiedziałaś Luizie o tym skoku na bank. Akurat na nią patrzyłem. Przez chwilę wyglądała, jakby właśnie wygrała milion na loterii, a potem nagle z niej opadło. Normalnie w takiej sytuacji łapałaby Filipa za łeb i od razu jechała na miejsce przestępstwa. Albo wyzebrałaby zdjęcia od policji. A ona nic. Pojechała na komendę, wzięła oświadczenie od rzecznika, a do banku nawet nie zajrzała. Nie dziwi was to? Przecież zawsze umiała wydusić szczegóły nawet z najgłupszego świadka!

– A jak nie wydusiła, to sobie dośpiewała sama – mruknęła Kama. – Masz rację, Kondziu. Dziwi. Tyle że, nawet zdziwiona, nie potrafię nic wymyślić na ten temat. Poza jednym. Wygląda na to, że ten skok nie zrobił na niej wrażenia. To jaki bardziej sensacyjny temat musiała dorwać? Prawie żałuję, że nie żyje, bo może by się przyznała... A może zorganizujemy seans spirytystyczny, co? – zaproponowała z nadzieją.

– Kama, zwykle jesteś bystrzejsza – zganiła ją Luka, której słowa kolegi dały do myślenia, bo przed oczami stanął jej tamten dzień, gdy Luiza dowiedziała się o napadzie na bank i jej nietypowa reakcja. – Jeśli policja dopuszcza hipotezę, że śmierć Luizy i ten skok na...

– Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych – przerwała jej Kamila i ziewnęła jak żubrzyca na puszczy. – Już drugą noc nie śpię. Ile trwa ten cholerny katar? Bo na moje oko facetowi, którego kocham, nic innego nie dolega. Znacie jakiś domowy sposób na to świństwo? Jeśli Kamilowi szybko nie przejdzie, to może być następny po Luizie. Nie umiem egzystować bez snu.

– Zróbcie jej kawy – zażądał Konrad. – Niech zacznie myśleć. Czuję się jak śledczy i podoba mi się ten stan. Dalej, myśl...

Nie dokończył, bo w drzwiach redakcji stanął prokurator Jerczyk.

– Witam państwa. Chciałbym obejrzeć obuwie, którego państwo używają – oznajmił grzecznie. – Tu jest nakaz.

Przez chwilę w pokoju panowała martwa cisza. Lukrecja w duchu błagała niebiosy, by nikt nie wyskoczył z jakimś nieostrożnym słówkiem na temat tego, czego się właśnie od niej dowiedzieli.

– Wszystkie buty mamy pokazać? – zapytała wreszcie Kama. – To będzie trudne, bo do pracy zakładamy tylko jedną parę na raz. Więcej byłoby pewną przesadą.

– Z tym sobie poradzimy. – Prokurator nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Mam ekipę, rozejrzemy się po państwa mieszkaniach. Z wyjątkiem pani – dodał oficjalnie, patrząc na Lukę. – To już Łukasz załatwił.

– Ale nie wszyscy razem! – sprzeciwiła się ostro Kama. – Może pan nas zabierać po kawałku! Filip, ty możesz być pierwszy. – Machnęła ręką na

fotografa. – Rusz się!

Prokurator zawahał się wyraźnie, więc dodała już spokojniej:

– Może pan tu jakiegoś cerbera postawić, żebyśmy nie spiskowali. My jednak pracujemy czasami i terminy nas gonią.

Przedstawiciel władzy spojrział na nią ciężkim wzrokiem, ale dał za wygraną. Zabrał ze sobą milczącego i lekko przerażonego Filipa, wydał krótkie polecenie niewidocznemu policjantowi i zniknął.

– Kazał mu stać za drzwiami. Miło z jego strony – skomentowała Kama. – Możemy rozmawiać. Nawet lepiej, że bez Filipa. Jestem pewna, że nie zabił Luizy, ale może mu się coś wyrwać na salonach. On lubi udawać, że wie więcej niż inni... Miałaś rację, Luka. Rzeczywiście szukają butów. No, u mnie będą mieli co oglądać. Mam trzy pary do samego biegania...

Konrad nagle zerwał się od biurka, otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

– Odbiło ci, Kondziu? Chcesz nas przewietrzyć aż do kości? Zimno jest! Zamknij to natychmiast!

– Nie krzycz, serce moje. Ciekaw jestem, czy to możliwe, że morderca Luizy naprawdę dostał się do środka przez to okno. Tu wysoko dosyć.

– W banku było ich dwóch – przypomniała Luka. – Może tutaj też.

Temat Kameę zainteresował. Podeszła do Konrada i wyjrzała przez okno. Zmarszczyła brwi.

– Masz rację. Za wysoko dla jednego. Albo miał drabinę, albo rzeczywiście było ich dwóch i jeden drugiego podsadził. Ale w takim razie okno musiało być otwarte!

– I pewnie było – zgodził się Konrad. – Luiza paliła, a jak była zła, albo zniecierpliwiona, to jednego za drugim... Patrzcie, mamy idealne warunki na eksperyment! Za drzwiami cerber jak nasz cieć... Może

sprawdzimy, czy morderca Luizy mógł wejść bez hałasu. Musiał ją zaskoczyć, bo siedziała przy biurku, a śladów walki nie było widać... Sprawdzimy?

– Dobra! – Kamie pomysł przypadł do gustu. – Tylko jak? Ten cerber nas stąd nie wypuści, a czapkę – niewidką nie dysponujemy.

Luka milczała, przyglądając się im z dość mieszanymi uczuciami, ale redaktor Błoński nie zamierzał się poddawać.

– Zrobimy eksperyment odwrotny – zaproponował. – Jedno z nas wylezie przez okno i zobaczymy, czy ktoś zauważy.

– Jest dzień – zauważyła Luka ostrzegawczo. – Ludzie tędy chodzą. Na pewno zauważą.

– Iii tam, taki dzień. Szarówka już się robi... Dobra, Kondziu, możemy spróbować, tylko musimy to zrobić z głową, bo się pozabijamy i powiększymy niechcący statystykę krańskich nieboszczyków. Ja jestem najbardziej wysportowana. Gdybyś ty wyskoczył, cała okolica byłaby pewna, że to trzęsienie ziemi, a Luki nie będziemy w to mieszać, bo Łukasz się wkurzy i wyschnie nam źródło informacji... Jak to zrobimy? Uprzedzam, że skakać nie będę, bo jestem niewyspana i boję się, że mi nie wyjdzie.

– Spuszczę cię na linie! – ogłosił Konrad w natchnieniu.

– A skąd ją weźmiesz? Nie przypominam sobie, żeby naczelny zainwestował w wyposażenie wspinaczkowe – zważyła Kama.

Redaktor Błoński jednym susem dopadł swojego biurka i zaczął grzebać w jego czeluściach jak rasowy norowiec. Po chwili na blacie zaczęła rosnać sterta dziwnych przedmiotów i Kama, zaciekawiona, podeszła.

– Co ty tu masz? Spodziewasz się obłączenia? – spytała, obracając w rękę słoik z podejrzaną zawartością. – To było jadalne? Już chyba przestało. Wyrzuć, zanim wyjdzie samodzielnie... O, kasztany! Podobno dobre na

reumatyzm... Metrówka, jakieś przedpotopowe dyskietki – mamrotała, przeglądając dorzucane przez kolegę rekwizyty – zupki chińskie, kostka brukowa... Po co ci ta kostka? Do obrony czy do ataku? A może to ta historyczna? Ta proletariacka?

– Rąbnąłem jedną, kiedy kładli tu obok chodniki. Chciałem sobie zrobić przycisk na biurko, ale zapomniałem – wyjaśnił Konrad i z najgłębszej czeluści szuflady wyciągnął coś z tryumfalnym sapnięciem. – Mówiłem! Jestem jak MacGyver! Oto nasza lina!

– Kondziu, to nie wygląda jak lina – powiedziała sceptycznie Kama. – Prędeż jak żyłka wędkarska.

– To jest linka z nylonu i czegoś tam jeszcze – odparł dobrodusznie redaktor Błoński. – Mocna jak cholera. Wieloryba utrzyma.

– Wieloryby to raczej harpunami...

– Dajcie spokój – nie wytrzymała Luka, patrząc z przerażeniem na cieniutką linkę. – Nawet jeśli po tym zejdziesz na dół, to co wam to da? Oni nie włązili po żadnych linach, tylko jeden drugiego podsadził! Co chcecie udowodnić?

– Chcemy sprawdzić, czy da się wejść na górę i cicho podejść do biurka Luizy – wyjaśniła Kamila niecierpliwie.

– Spadniesz! Połamiesz sobie coś!

– Nic sobie nie połamie. W razie czego zeskoczę. Nie rozpraszaaj mnie teraz. – Kama podała nawiniętą na szpulę linkę Konradowi i chwyciła jej koniec. – Kondziu! To się wbija w ręce! Nie dam rady się utrzymać! Przetnie mnie cholerstwo!

Zafrasowany Konrad poczochnął się po głowie.

– Może rękawiczki założysz?

– Dobra myśl! – ucieszyła się Kamila i wyciągnęła z torebki skórzane

rękawiczki.

Po namyśle założyła jeszcze sweter, bo na zewnątrz rzeczywiście było zimno, wciągnęła rękawice i weszła na parapet.

– Masz mocno trzymać! I powoli puszczaj, żebyś nie zjechała zniecka, jak ci komandosi na filmach! Nie chcę sobie uszkodzić tyłka!

– Okej. – Konrad podał jej koniec linki, a sam cofnął się do swojego biurka i stanął przed nim, zapierając się całym ciężarem o masywny mebel.

– Ruszaj, partnerko! Trzymam!

Luka w popłochu przyglądała się, jak koleżanka powoli znika za oknem. Nie miała pojęcia, dlaczego oboje z Konradem tak się uparli na ten eksperyment. Wedle jej wiedzy, wspartej wiadomościami od Łukasza, morderca Luizy z pewnością wszedł oknem, zaszedł ją od tyłu i udusił apaszką, którą miała na sobie.

Łukasz i Krzysztof byli przekonani, że przyszedł z zamiarem usunięcia niewygodnej pani redaktor, a apaszka ułatwiła mu zadanie. Co tu udowodnić?

– Jesteś już na dole? – wysapał Konrad, który nagle stwierdził, że eksperyment nie przebiega tak łatwo, jak mu się wydawało i stracił do niego ochotę.

– Jestem! Zaraz, czekaj... – Kama zdjęła rękawiczki, obejrzała z uwagą swoje obolałe dłonie, spojrzała w górę i westchnęła. – Głupie to było. Teraz muszę szybko wrócić, żeby ten cerber niczego nie zauważył i nie nakablował prokuratorowi... Luka niech siądzie na miejscu Luizy! A ty masz być cicho, Kondziu, żeby nie słyszała, jak wejdem! Spróbuję ją udusić!

– Wygłosiwszy tę przerażającą obietnicę, naciągnęła z powrotem rękawiczki, złapała linkę i ruszyła w drogę powrotną, nie zwracając uwagi na przyglądającego jej się z lekkim wytrzeszczem staruszek, który akurat

przechodził w pobliżu Domu Kultury. – Ej! Ciągnij trochę, Kondziu, bo będę tak włąziła do końca świata!

W pokoju Luka posłuszna wydanemu z dołu rozkazowi zasiadła na miejscu Luizy, nasłuchując odgłosów zza okna. Na czoło wybijało się sapanie Konrada, który z dużym samozaparciem próbował wykonać polecenie, ciągnąc linkę ku sobie. Namacalnie przy tym stwierdził, że wykazał się konkursową tępota, sam nie zakładając czegoś na dłonie, bo linka wrzynała się w nie boleśnie. Gdyby nie Kama, wisząca na jej końcu, pewnie by sobie odpuścił dalszy ciąg eksperymentu, jednakże ewentualne konsekwencje zmobilizowały go do działania. Obracał z wysiłkiem szpulę, starając się uniknąć kontaktu z uciążliwym słońcem.

– Daleko jesteś? – wystękał, cofając się od biurka ku wejściu do pokoju.

– Już prawie – sapnęła Kamila, łapiąc jedną ręką za parapet.

W tej samej chwili, ucieszony, że za chwilę męcząca rozrywka dobiegnie końca, Konrad poluzował trochę i Kama poczuła, że zaraz zjedzie w dół.

– Kondziu!!! – ryknęła pełną piersią, aż Luka podskoczyła. – Trzymaj, do cholery! Bo spadnę!

Ostatkiem sił, dzięki swojemu sportowemu refleksowi, podciągnęła się do góry i zawisła malowniczo na parapecie. Na szczęście głowa i kawałek tułowia znajdowały się już w pokoju, linkę puściła, trzymając się kurczowo krawędzi parapetu, więc nie doszło do tragedii, gdy zaskoczony Konrad gibnął się odruchowo do tyłu i szpula wypadła mu z rąk.

Kamila rzuciła mu złe spojrzenie i wycedziła:

– Wciągnij mnie! Nogi mi zostały na zewnątrz, a nie chcę polecieć na pysk!

Redaktor Błoński, przerażony własnym niedbalstwem, popędził ku niej, a siedząca przy biurku Luiza powiedziała z westchnieniem:

– Słyszę was. I pewnie cała okolica też. Dziwię się, że ten cerber jeszcze tu nie wszedł... Gdyby coś takiego działo się za moimi plecami, z pewnością nie siedziałabym spokojnie, tylko od razu sprawdziła. Nie bardzo wam wyszedł ten eksperyment.

– Udawaj, że nic nie słyszałaś – wysapała Kamila i odepchnąwszy Konrada, ściągnęła rękawiczki. – No, głupie to było, masz rację. Powinnam była od razu zacząć cię dusić, zamiast uprawiać taternictwo.

– A czemu ty właściwie tak się upierasz przy duszeniu Luki? – zapytał Konrad, padając na swoje krzesło i z urazą łypiąc na poniewierającą się na podłodze szpulę.

– Bo mnie dziwi, że Luiza w ogóle się nie broniła. Gdyby mnie ktoś złapał od tyłu i zaczął dusić, próbowałabym go przynajmniej odepchnąć... Chyba że... Wiecie, miałam kiedyś chłopaka, który był kulturystą.

Powiedział mi, że jest takie miejsce w człowieku, gdzie przyciskasz i delikwent traci przytomność. Od razu. Tlenu mu brakuje, czy coś tam podobnego.

– Gdzie? – zainteresował się Konrad.

– No właśnie nie wiem – zakłopotana się Kama. – Ten palant chciał przeprowadzić demonstrację na mnie. Wolałam nie ryzykować... Luka, usiądź wygodnie, a ja spróbuję jakoś... O! Pan prokurator! Właśnie chce...

– Proszę usiąść na swoich miejscach – polecił Jerczyk, który od dłuższej chwili obserwował wszystko, stojąc w drzwiach. – Zadam teraz głupie pytanie, ale mimo wszystko oczekuję odpowiedzi: CO PAŃSTWO ROBIĄ? – wyskandował dobitnie, oddzielając starannie poszczególne wyrazy.

Luka siedziała jak trusia, natomiast Kama i Konrad popatrzyli na siebie skonsternowani.

– Eksperyment naukowy – wykrztusił wreszcie redaktor Błoński i westchnął. – Ale chyba nam nie wyszedł.

– A na czym miał polegać ten eksperyment? – zapytał Krzysztof przez zęby. – Bo właśnie dostałem od policji dwa zgłoszenia. Jeden świadek twierdzi, że ktoś się do was włamuje, a drugi – że za oknem wisi kobieta. Co państwo na to?

– My nic na to! – zdenerwowała się Kamila. – Bałwany jakież ci świadkowie! Nas to od razu zobaczyli, a jak Luizę mordowali, to nikogo nie było! Chcieliśmy osobiście sprawdzić, czy morderca mógł wleźć przez okno. I już wiemy, że tak... Niestety, przerwał nam pan i nie zdążyłam sprawdzić, czy mógł ją udusić tak, żeby się nie broniła – dodała z urazą i nagle oprzytomniała. – Gdzie Filip?! Wsadził go pan?!

– Nikogo nie wsadziłem. – Krzysztof poczuł, że kontaktów z dziennikarzami ma dość do końca życia. – Pan Tracz dostał histerii przy rewizji i stwierdził, że nie jest w stanie wracać do pracy. Został w domu. A teraz pani pojedzie ze mną, a pan – wskazał na Konrada – z drugim zespołem. Nie będę ryzykował, bo może państwo wymyślą kolejny eksperyment... Proszę za mną!

– Luka, pozamykasz wszystko, dobrze? – Kama ubierała się potulnie. – Bo już nie ma sensu, żebyśmy dziś wracali. Jutro pogadamy.

Łukasz wrócił do domu koło dwudziestej. Luka natychmiast rzuciła się do kuchni, bo uznała, że w ramach ekspiacji za koleżeńskie eksperymenty powinna go nakarmić szczególnie solidnie. Dopiero gdy postawiła przed nim talerz z gorącą zupą, przysiadła na chwilę i zagadnęła niepewnie:

– Krzysztof był na nich bardzo zły?

– Trochę był – przyznał małżonek, ale zaraz ją pocieszył: – Przeszło mu. Szczególnie, że po tych oględzinach obuwniczych może z czystym sumieniem wykluczyć was wszystkich.

– A jeśli ktoś był sprytny i wyrzucił te buty?

– Nie bardzo wierzę, żeby jakiś tubylec wyrzucał buty za cztery stówy, ale nawet gdyby... Żadne z was nie nosi takiego dużego rozmiaru. To przesądza sprawę... Boże, jaki jestem głodny! Grzej drugie, bo konia z kopytami bym zjadł. Jak skończę, pogadamy. Przecież wiem, że ci w redakcji żyć nie dają.

Kiedy następnego dnia Lukrecja przyszła do redakcji, Kama i Konrad już na nią czekali. Przed obojgiem stały kubki z parującą kawą i oboje ziewali tak samo szeroko.

– Znowu nie spałaś? Zobacz, zaraziłaś tym ziewaniem Kondzia. – Luka rozebrała się pośpiesznie i pobiegła do ekspresu z nadzieją, że załapie się jeszcze na wrzątek.

– Ja też nie spałem. – Redaktor Błoński ziewnął jak hipopotam. – Mariuszek jest chory i marudził przez pół nocy. Basieńka była zmęczona, więc ja przy nim siedziałem. Wiecie, kiedy usnął? Gdy już mi się skończyły pomysły na bajki i zacząłem liczyć barany. Na głos. Mnie też uspiło i jestem cały połamany, bo przysnąłem na podłodze koło jego łóżka.

– Filipa jeszcze nie ma? Dalej tak przeżywa tę rewizję? – Luka zasiadła przy biurku z kubkiem prawie gorącej kawy.

– Przecież wam mówiłam, że już nigdy więcej nie pokaże się w pracy na czas. – Kama usiłowała powstrzymać ziewnięcie, ale jej się nie udało. – Aaa... Cholera! Ta ewolucja zostawiła same nedoróbki! Nawet chorować faceci nie potrafią normalnie! Kamil wczoraj zasmarkał wszystkie chusteczki i musiałam wieczorem jechać do supermarketu po zapas. Miałam

ochotę podetknąć mu obrus!... No, dobra. Spróbuję się jakoś zebrać do kupy... Masz nowe wiadomości? – Upiła łyk kawy i zerknęła pytająco na koleżankę. – Co tam Filip wczoraj wyprawiał, że tak wkurzył prokuratora?

– Podobno przez całą drogę milczał jak zaklęty, ale kiedy weszli do mieszkania i zażądali pokazania sportowego obuwia, dostał szału i zaczął wrzeszczeć, że go dyskryminują, bo jest artystą – Luka prychnęła. – I że nie każdy od razu musi być mięśniakiem. Chyba ma jakieś kompleksy na ten temat... A najśmieszniejsze jest to, że przez cały czas miał na nogach adidas. I tylko tę jedną parę znaleźli.

– Filip został w jednych butach? – zatroskał się Konrad. – Zima idzie.

– Jedną sportową – uściśliła Luka. – Poza tym miał kilka par eleganckich pantofli... Kama, prokurator był bardziej zły na was niż na Filipa. Co wam strzeliło do głowy z tymi eksperymentami? Naprawdę mogłaś zrobić sobie krzywdę.

– No i dobrze! – rozzłościła się nagle Kamila. – Leżałabym w domu połamana i ten mój zasmarkany Romeo musiałby mnie obsługiwać z ciekącym nosem!... Miałam wczoraj dzień bez inteligencji. Jak człowiek jest ciągle niedospany, to ma prawo do tępoty.

– Jak myślisz, Luka? Już nas nie podejrzewają? Łukasz coś mówił na ten temat? – dopytywał się Konrad niespokojnie.

– Morderca Luizy, albo przynajmniej jego kompan, ma strasznie dużą nogę – powiedziała Lukrecja uspokajająco. – Nie pasujemy.

– Jak to miło z jego strony. – Konrad odetchnął z ulgą. – Bo moja ukochana teściowa miała przez chwilę obawy, czy aby nie wydała córki za kryminalistę.

– Ty?! – Kamila parsknęła na cały głos. – Kryminalista? Nie rozśmieszaj mnie... Luka, a co z tym pendrive'em i dyktafonem? Znaleźli?

– Nie. – Lukrecja potrząsnęła głową i westchnęła. – Przetrzęsneli dom Luizy, wypyтали jej matkę, nawet Tomaszka i nic. Łukasz uważa, że morderca zabrał jedno i drugie, bo było na nich coś, co go obciążało. Teraz przeszukują komputer. Próbują odzyskać wszystko, co Luiza wykasowała.

– Wiecie co? Podobno nieboszczyków nie należy szkalować, ale coraz bardziej mi się wydaje, że nasza ruda lisiczka bawiła się w szantaż – stwierdziła Kama w zadumie. – Bo inaczej, skąd oni by wiedzieli, że coś na nich ma? Cholera, skąd ona... Przecież nie było jej wtedy w banku...

– Może gdzieś podsłuchiwała – zasugerował Konrad. – Może nagrała na dyktafon...

– A może tylko ktoś myślał, że nagrała – przerwała Luka. – I zabrał na wszelki wypadek. Przecież tego nie wiemy. Ale z tym szantażem to możecie mieć rację... Rany boskie, co jej strzeliło do głowy? Co ona chciała przez to osiągnąć? Bombowy artykuł, który przedrukuje duża gazeta?

– Pawełek jej mocno przykręcił kurek z forsą – powiedziała wolno Kama. – Zostały tylko alimenty, bo Iza pilnuje. A matce Pawła założyli długoterminową lokatę, żeby jej ręka nie swędziała, bo ona też lubi być hojna. Może Luiza miała nadzieję na jakiś odsyp od złodziei?

– Ale to jest karalne! – Konrad spojrzał na nią z popłochem.

– Jest – zgodziła się Kamila. – No i, jak sam widziałeś, Luiza została ukarana. Bardziej już chyba się nie da.

Patryk Karwicz gapił się tępo na ekran swojego laptopa, ale zamiast zająć się drukowaniem francuskiego testu, o co prosiła go matka, rozmyślał nad sprytem Miśka Minata. No proszę, taka ciamajda, a ni z tego, ni z owego wyskoczył z zaproszeniem do kina. I Anusia dała się wziąć na lep, bo skoro jej podetknął bilety pod nos, to jakie miała wyjście?

Od drażniących myśli oderwał go dzwonek do drzwi. Podniósł się i

pokłusował do przedpokoju.

– *Patrick, chérie*, weź to ode mnie. – Matka podała mu ciężkie siatki, a sama zaczęła zdejmować płaszcz.

– Ten *supemarket* jest sthaszny. Pół godziny stałam w kolejce do kasy.

Nicole Karwicz, matka Patryka i małżonka Macieja, urodziła się i wychowała we Francji. Jej ojciec był Francuzem, ale matka Polką. W domu porozumiewano się po francusku i angielsku (ojciec często miewał wykłady w krajach anglojęzycznych), a polskiego zaczęła się porządnie uczyć, kiedy skończyła szesnaście lat i sama się na to zdecydowała. Po prawie trzydziestu latach pobytu w Polsce nie miała żadnych problemów z komunikacją w tym języku, zostało jej jednakże charakterystyczne francuskie „r”, które zdaniem przyjaciół dodawało jej wdzięku.

– Ojciec i tak musiał zostać w Lublinie, bo jutho ma wykłady dla zaocznych i postanowił wybhać się ze znajomymi na hyby – powiedziała, odbierając od syna kolejne produkty i utykała je w lodówce. – Naphawdę o tej porze hoku, w taki ziąb, coś można złowić?

– Oj mammo, posiedzą nad jakimś bajorkiem, pomarzną, wypiją na rozgrzewkę, pogadają i pomoczą patyki – zaśmiał się Patryk. – Ile razy już był na takich rybach? Przywiózł kiedyś jakiś łup?

– Haz! – Nicole też się roześmiała. – Mhożonego mintaja! I phóbował mi wmówić, że sam go złowił! Więcej już nie oszukiwał... Piątkowy wieczóh, a ty w domu? Co się stało? Znowu nahozrabiałeś? – Westchnęła. – Oj, Pathyk, Pathyk... Kiedy ty...

– Spoko. Nic nie zrobiłem. – Syn pocieszająco poklepał ją po ramieniu. – Sama mnie prosiłaś, żebym ci wydrukował te testy na zajęcia... Już mi tak nie wytykaj, że nic nie robię! – Rozzłościł się nagle. – W tym

roku tyle zarobiłem w winnicy Maurice'a, że mogę leżeć tyłkiem do góry do następnego winobrania!

Matka przyjrzała mu się z uwagą, nastawiła wodę, nasypała do kubeczka ulubionej herbaty i przysiadła na taborecie.

– *Bien*. Co się stało, Pathyk? Jest piątek, a ty siedzisz w domu i jesteś zły. Dostałeś koszyk... kosza – poprawiła się po namyśle – od panny? Niemożliwe. – Zaśmiała się z własnych przypuszczeń. – Jak do tej pohy tylko Nela Ahtymowiczówna się na tobie poznała...

– Nicińska – burknął Patryk. – Może nie zauważyłaś, ale jakiś czas temu wyszła za Daniela.

– Byłam na weselu! – Nicole kuksnęła go w bok. – I nie pyskuj matce, smahkaczu! Przestań się nadymać i powiedz, czemu jesteś taki zły na cały świat.

– Masz pojęcie, że ta łajza poderwała dziewczynę? – nie wytrzymał Patryk.

– Któż ją łajzę masz na myśli? Bo odnoszę wrażenie, że całą płec męską, poza sobą, uważasz za łajzy...

– Misiek! – Syn zaczął chodzić po kuchni, wymachując rękami. – Oferma tysiąclecia! Pannę z dzieckiem do kina zaprosił!

– Jak panna z dzieckiem, to gohsza od heszty świata? – zainteresowała się Nicole. – Już jej się nic od życia nie należy? *Mon Dieu*, ugodziłam potwoha bez sehca! – Zamilkła i przyjrzała się synowi z nagłą podejrzliwością. – A cóż ciebie tak zaczęła obchodzić mochalność młodego Minata? Może... Panna ładna?

Patryk z największą przyjemnością powiedziałby matce, że panna paskudna jak stara wiedźma, ale stanęła mu przed oczami twarz Anusi i ugryzł się w język. Orzechowe oczy, w których nie było grama obłudy,

nieprawdopodobnej długości rzęsy, złociste włosy wydzielające kwietny zapach przy każdym energicznym ruchu kształtnej główki... Psiakrew, nic temu Orzeszkowi nie brakowało. Poza jednym. Gdyby Anusia traktowała go jak powietrze, od razu by wiedział, że tylko udaje, by zamaskować niezbitą prawdę, że śni o nim po nocach. Jednakowoż panna Orzechowska okazywała mu tę szczególną uwagę, która niosła niewerbalnie ujęte przesłanie typu: przychodzisz, więc jestem wdzięczna i toleruję twoją obecność, ale na więcej nie licz. Z takim zachowaniem istoty płci odmiennej spotkał się po raz pierwszy w życiu i nie mógł tego pojąć. Zupełnie wyleciało mu z głowy zakodowane niegdyś przeświadczenie, że towarzystwo Anusi może kolidować z bezpieczeństwem jednostki ludzkiej obecnej w pobliżu. Cholera, każda kobieta, bez względu na wiek, była uszczęśliwiona, że raczył na nią zwrócić uwagę, a ta impregnowana, czy co?

– Kto to jest? – zapytała Nicole od niechcienia. – Znam ją?

– Nie sądzę. Ma zakład fryzjerski na...

– Uważasz, że nie dbam o siebie? – obraziła się matka i przejechała palcami po modnie ostrzyżonych włosach. – Akuhat pahe tygodni temu byłam u Anusi Orzechowskiej...

– Cały Kraśnik do niej chodzi? – zdziwił się Patryk. – No to właśnie o niej mówię. Misiek do niej startuje. Zabrał ją dziś do kina.

Matka przyjrzała mu się ukradkiem, ukryła przytomnie radosny błysk w oczach i rozbawienie, po czym wzruszyła ramionami i stwierdziła stanowczo:

– To nie dla ciebie dziewczyna. Najpieh w ją zostawiła matka, a potem – jak w ciążę zaszła – chłopak. Dobrze, że ojciec jej pomaga. Bahdzo porządny mężczyzna. A ta mała Ewunia jest po phostu uhocza – rozrzewniła się, ale zaraz dodała rzeczowo: – Zostaw ją w spokoju. Niech sobie Misiek

stahtuje. Ty i tak się nie nadajesz. Ona potrzebuje solidnej podpohy, a nie takiego latawca. Jeden taki wystahczy na całe życie.

– Co wy jesteście za rodzice?! – wkurzył się Patryk. – Ojciec też... Uważasz, że zostawiłbym dziewczynę, gdyby zaciążyła?! Własnego syna masz za taką świnię?

– A co byś zhobił? Dał pieniądze na zabieg, czy płacił alimenty?

– Nigdy nie miałem takich problemów, bo jestem odpowiedzialny i myślę głową, a nie... Cholera! Naprawdę uważasz, że Misiek może być podporą? Miałaby drugiego dzieciaka do pilnowania! To już ta mała Blondie jest bardziej samodzielna niż on!

Matka przymrużyła ciemne oczy i powściągnęła uśmiech.

– Blondie? Ładnie... Moim zdaniem Anusia tehz inaczej ocenia kandydatów. Przede wszystkim będzie jej zależało, żeby znaleźć dobhego ojca dla dziecka. Jeśli mała polubi Miśka, to kto wie...

Patryk zatrzymał się na środku kuchni i oczy mu się zaświeciły. Francuskie testy wywietrzały mu z głowy.

– Muszę coś załatwić – oznajmił, patrząc na zegarek. – Nie mam pojęcia, o której wrócę. Klucz mam, jakby co.

Nicole siedziała nieporuszona do chwili, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Wtedy zatarła radośnie ręce, wygrzebała z torebki komórkę i zadzwoniła do wieloletniej przyjaciółki.

– Mahta? Miałaś hację, jak zawsze, a ja chyba jestem whedna suka – oznajmiła z chichotem, którego nie potrafiła powstrzymać.

– Ja przeważnie mam rację, Nicole – powiedziała nieskromnie Marta Artymowicz i zażądała: – Rozwiń to jakoś. Dlaczego uważasz, że jesteś wredna suka? Dokopałaś Maćkowi? Co zrobił?

– Synowi dokopałam! Trzymaj kciuki albo zrób jakieś czahy – mahy,

bo chyba mój Pathyczek właśnie się pogąza!

– Znamy ją? – Marta nie miała wątpliwości, o co przyjaciółce chodzi.

– Ty znasz wszystkich w tym mieście. Ale ja też ją znam. Anusia Orzechowska.

– Ojoj – Marta wyraźnie się zaniepokoiła. – Uważaj, Nicole. Dziewczyna już swoje przeszła...

– Nie dam jej zhobić krzywdy! – zapewniła Nicole z mocą. – Mówię, że jestem whedna suka, bo podpuściłam własnego syna! Wyhodna matka jestem! Upiohna upiorzyca! – Nicole uwielbiała brzmienie polskich słów i zawsze czujnie wylapywała w każdej lekturze ciekawe dla ucha zbitki.

– Straszna strzyga jesteś – uzupełniła Marta z chichotem. – Jak go podpuściłaś?

– Jest obhażony, bo Misiek Minat zaphosił ją do kina – raportowała radośnie Nicole. – Wnioskuje z tego, że na Pathyka ona nie zwhóciła dostatecznej uwagi...

– Olała go, powiedzmy wprost. – Marta sprawiała wrażenie równie zadowolonej.

– Powiedzmy. Więc zasugehowałam, żeby zaintehesował się dzieckiem. Nie wphost, oczywiście, tylko... Ja to mówiłam... oghódkiem... oghódkami? Tak się mówi?

– Mówi się przeważnie: bez ogródek, ale chyba co innego masz na myśli – zachichotała Marta. – Rozumiem. Między wierszami dałaś mu do zrozumienia, że jeśli chce zrobić wrażenie na matce, powinien zająć się dzieckiem. Co na to Patryk?

– Chyba się złapał, bo od hazu wyleciał z domu – powiedziała tryumfalnie Nicole. – Mówię ci, Mahta, ta mała jest czahująca! Miałabym gotową wnuczkę! Akuhat thafiłam na nią, jak poszłam się ostrzyc, bo

Anusia nie miała jej z kim zostawić. Nie masz pojęcia, jakie to małe sphytne i wyszczekane. Buzia jej się nie zamyka. Owinie sobie Pathyka wokół małego paluszka, zobaczysz!

– Zobaczę z przyjemnością. A teraz się odmeldowuję, bo muszę nakarmić wygłodniałego Byka. Trzymaj się, upiorzyco, i dzwoń, żebym była na bieżąco. Pa!

Na dworze była szarówka, którą rozjaśniały światła latami. Wieczorny chłód przejmował dreszczem, ale Karwicz nawet tego nie zauważył, bo zastanawiał się, w jakie rekwizyty powinien się zaopatrzyć, by zrobić odpowiednie wrażenie. Miał doskonałe rozeznanie w preferencjach płci odmiennej, ale zwykle interesowały go nieco starsze roczniki. Nic nie wiedział o dzieciach, a już na pewno nie o małych, sprytnych, uroczych dziewczynkach. Jak zarazy unikał znajomych z potomstwem, bo z reguły żądali od niego okazywania zachwyty i opowiadali o ząbkach, kupkach i innych obrzydliwościach. Cóż, na Boga, mogło być zachwycającego w zaślinionym, czerwonym od wrzasku noworodku? Jedyne dziecko, które nie wywoływało w nim odrazy, było własnością siostry i szwagra. Zostało mu zaprezentowane na chrzcinach i, dzięki Bogu, nie musiał niczego okazywać, bo natychmiast do wyłącznego użytku zaanektowała je cała czwórka dziadków i kuzynek Pierre'a.

Patryk wszedł do Luxa, wziął koszyk i zaczął przechadzkę między półkami, zastanawiając się, co powinien kupić, by złotowłosej Blondie zrobić przyjemność, a nie narazić się jej matce i dziadkowi. Mijając stoisko z jogurtami, uśmiechnął się mimowolnie. No, proszę, jakie mądre dziecko. Wiedziała, kogo zaczepić... Pewnie czekolada by ją ucieszyła.

Z doświadczenia wiedział, że wszystkie kobiety w wieku dowolnym przepadają za słodkościami. No chyba, że akurat się odchudzają, ale Blondie

jeszcze nie musi... Cholera, ale tego jest. Jeśli kupi taką, której Ewa Patrycja nie lubi, schrzani sprawę już na starcie. Może bombonierka będzie lepsza. Jej zawartość jest przeważnie różnorodna, większa szansa, że coś jej przypadnie do gustu. Swoją drogą, trzeba będzie zrobić dokładne rozeznanie. Dobry wywiad to pierwszy krok do zwycięstwa...

Patryk przestudiował z uwagą napisy na kilku pudełkach, wybrał jedno, po czym ruszył dalej. Z kolejnej półki zgarnął paczkę ciastek, bo miały formę małych zwierzątek i uznał, że będą dla dziecka atrakcyjne. Szedł z łupem do kasy, gdy oko mu poleciało na stoisko z zabawkami. Na samym przodku rozpierał się roześmiany krasnal w błękitnym kubraczku i takiejże czapeczce. Patryk przyjrzał mu się podejrzliwie, pomacał zabawkę i stwierdził, że jest przyjemnie mięciutka. Krasnal gabarytami nie powalał, więc nadawał się na przytulankę dla równie małego skrzata. Bez namysłu wetknął go do koszyka i pomaszerował do kasy.

Wiktor Orzechowski stał pośrodku kuchni i zastanawiał się, jak przekonać oporną wnuczkę do wypicia kwiatu lipy. Ewie Patrycji nie wyszło na zdrowie zbratanie z ławką. Bieganie nie pomogło i teraz siedziała przy stole, okutana w ulubioną piżamkę i ciepły szlafroczek, pokaszując i pociągając nosem.

I bardzo rozżalona, bo matka zlekceważyła jej chorobę i poszła do tego wstrętnego kina. Zapewniana w dodatku przez podłego dziadka, że wszystkiego dopilnuje i zajmie się wnuczką należycie. Obrażona wnuczka zamierzała mu to utrudnić. Przy okazji Michał Minat stracił właśnie ewentualnego sojusznika, zyskał natomiast potężnego nieprzyjaciela.

Dzwonek do drzwi przerwał rozmyślenia Wiktora i dał mu nadzieję na odwołanie w czasie nieprzyjemnej konfrontacji na linii dziadek – wnuczka. Pośpiesznie wyszedł do przedpokoju.

– Dobry wieczór... – zaczął Patryk z anielskim uśmiechem.

– Anusi nie ma – przerwał mu pan domu, trochę niezadowolony, bo miał nadzieję, że za drzwiami tkwi jakaś sąsiadka w nagłej potrzebie, która odchowala już własne dzieci i podpowie mu sprytny sposób na okiełznanie małej terrorystki. – Poszła do kina z...

– Wiem. – Patryk zaprezentował jeszcze szerszy uśmiech. – Z Miśkiem. Ja nie do niej, tylko do Blondie.

W oku Wiktora błysnęło ożywienie. Przyjrzał się młodzianowi z lekkim niedowierzaniem, ale i nadzieją.

– Ewunia jest przeziębiona. – Obejrzał się za siebie i zniżył głos. – Wejdz, chłopcze. Może we dwóch damy radę. Anusia kazała podać jej kwiat lipowy z miodem, ale obawiam się, że mogą być kłopoty. Ewunia jest marudna i obrażona na cały świat. Nie podoba jej się, że matka wyszła. Wcale nie chciała, ale ją namówiłem, bo w końcu należy jej się odrobina wytchnienia.

– Pewnie – zgodził się potulnie Patryk, choć akurat wytchnienie z Miśkiem mu się nie kojarzyło, i poszedł za gospodarzem do kuchni. – Cześć, Blondie. Widzę, że przyjmujesz dziś gości w negliżu?

Ewa Patrycja łypnęła na niego złym okiem i na wszelki wypadek nadęła się urazą.

– Cokolwiek porobierana – poprawił się natychmiast. – Dziadek mi mówił, że ci to bieganie nie pomogło. Bardzo źle się czujesz? Może coś na to poradzimy?

Złotowłosey aniołek przyjrzał mu się podejrzliwie, zmarszczył brwi w zadumie i wreszcie oznajmił niechętnie:

– Mami nie ma. Posła sobie do kina.

– Wiem. Przyszedłem, żebyś się bez niej nie nudziła.

– Kazała ci?

– Sam sobie kazałem. – Patryk się uśmiechnął. – Coś ci przyniosłem, ale jeszcze nie wiem, czy ci dam. Zależy, czy zasłużysz.

– Wszyscy dolośli lobią to samo – nadęła się jeszcze bardziej Ewunia.
– Mami mnie stlasy, dziadek mnie stlasy, a telaz ty. Na wsystko musę zasłuzywać. Cuję się jak służąca.

– Masz rację – Patryk natychmiast zmienił front, tłumiąc śmiech. – Zrobimy inaczej. Mam dla ciebie prezent i dostaniesz go bez żadnych warunków. – W tej chwili przypomniało mu się, jak Maminka opowiadała, że chore dzieci często miewają problemy z żołądkiem i uznał, że słodczy nie są najlepszym pomysłem. Postanowił w tej sprawie decyzję pozostawić doświadczonemu protoplaście panienki. – Proszę. – Wyjął krasnala i podał dziecku, a torbę z pozostałą zawartością wręczył Orzechowskiemu. – Byłem akurat w sklepie, kiedy ten miły skrzat mnie zawołał i powiedział, że bardzo tęskni za małą jasnowłosą dziewczynką. Od razu pomyślałem o tobie. Tylko nie chciał mi powiedzieć, jak ma na imię.

Na widok zabawki coś błysnęło w orzechowych oczach. Ewunia ochoczo wyciągnęła ręce po maskotkę, a poczuwszy jej miękkość, przytuliła ją do siebie serdecznie. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby czegoś nadśluchiwała, a potem oznajmiła tryumfalnie:

– A mnie powiedział! Nazywa się Lazulek! Plosto z nieba go wysłali!

– Lazurek – przetłumaczył na wszelki wypadek Wiktor, który z zainteresowaniem obserwował gościa i wnuczkę. – Coś się mówi, Ewuniu, kiedy dostaje się prezent.

– Będę na niego wołała Lazuś. Powiedział, że mogę. I wiem, że się mówi. – Ewa Patrycja zsunęła się z taboretu, przyciskając krasnala do szlafrocza, uczyniła pełen gracji dyg i powiedziała uroczyście: – Dziękuję

z całego selca. – Po czym pociągnęła ofiarodawcę za spodnie, a kiedy się schylił, zaserwowała mu serdecznego całusa w policzek.

Zaskoczony Patryk poczuł gdzieś w środku dziwne sensacje. Pozbierał się szybko i stwierdził:

– Od razu wiedziałem, że się dogadacie. – Zrobił tajemniczą minę. – Nie chciał mi powiedzieć, jak się nazywa, ale za to opowiedział mi pewną historię. Ale mogę ją powtórzyć tylko grzecznemu dziecku.

– Zawse musi być jakiś hacyk. – Ewa Patrycja westchnęła. – Psestańcie już lobić ze mnie głupa...

– Ewuniu! – zaktywizował się natychmiast Wiktor. – W naszym domu tak się nie mówi! Od kogo to usłyszałaś?

– Cypek tak mówi – odparła wnuczka z doskonale niewinną miną. – No dobrze – poddała się. – Nie będę. Wiem, że plóbujecie mnie zmusić, żebym wypła to gozkie.

Patryk nie wytrzymał i parsknął śmiechem, patrząc na zrezygnowanego dziadka małej spryciary, który wzniosł oczy ku sufitowi. Przypomniały mu się z dzieciństwa podchody matki, która – zarażona przez Maminę – zawsze próbowała najpierw leczyć dziecięce choroby ziołami. Oboje z siostrą tak się do tych ziół przyzwyczaili, że później przechodziły im przez gardła bez problemów.

– Blondie, chyba coś ci się pomyliło. – Poprawił się na stołku i pochylił ku małej. – Wąchałaś kiedyś kwiaty lipy? Nie? A, widzisz. To nie masz pojęcia, jak słodko pachną. Kiedyś ci pokażę. Co roku zrywaliśmy kwiatki leśnej lipy do suszenia. Pszczoły też bardzo je lubią. Robią z nich pyszny miód. Chcesz, to najpierw ja spróbuję? Żebyś uwierzyła, że to wcale nie jest gorzkie. Chcesz?

Wiktor podał mu łyżeczkę, a Ewunia z natężoną uwagą obserwowała

jego twarz, kiedy przelykał ciepły wywar.

– No już dobrze – z niechęcią przysunęła kubek ku sobie, ale doleciał ją miodowy zapach i trochę się rozjaśniła. – Wypiję. Ale musis mi opowiedzieć tę histolię od Lazusia. Obiecałeś.

– Luka, wiesz może, kiedy oddadzą rodzinie ciało Luizy? – zapytała Kamila, wchodząc do pokoju. – Iza mnie pytała, a przez nią jej teściowa, a przez teściową matka Luizy...

– Chyba na dniach – odparła Lukrecja niepewnie. – Łukasz mówił, że patolog już przekazał raport Krzysztofowi. Dowiem się, jeśli chcesz. Powiem, że rodzina pytała.

– Powiedz, bo ja też jestem zainteresowana. Może trzeba będzie pomóc rodzinie przy załatwianiu pogrzebowych formalności. Jestem w tym niezła – pochwaliła się z zadowoleniem Kama. – Każdej biurowej żółcie dam radę. Nawet tym choleroom z ZUS – u... Gdzie Filip? – Rozejrzała się po pokoju.

– Przysłał SMS – a, że ma L – 4 – mruknął Konrad.

– A co mu jest? – Kama wydeła usta z lekceważeniem.

– Napisał tylko, że źle się czuje, potrzebuje spokoju, a zwolnienie podrzuci mojej Basieńce do Avalonu, bo ma po drodze z apteki...

– Długo mu ten spokój potrzebny?

– Do końca tygodnia podobno.

– Cholera, zbajerował pewnie jakąś lekarke – mruknęła Kama i wzruszyła ramionami. – A, pies go trącał. Przynajmniej nie będzie wtykał nosa w nasze prywatne śledztwo.

– To my prowadzimy prywatne śledztwo? – Konrad zamrugął oczami, a Luka wyraźnie się przestraszyła.

– Kama, za utrudnianie...

– Nie będziemy utrudniać, tylko pomagać! Każde z nas słyszy różne rzeczy. Teraz będziemy słuchać z większym natężeniem i wylapywać to, co może się tyczyć napadu albo Luizy. Może ktoś coś chlapnie.

– Oraz zadawać pytania – dodał redaktor Błoński, któremu pomysł się spodobał.

– Oraz – zgodziła się Kamila i przysiadła na miejscu Luizy. – Masz jakieś nowe wiadomości? – Popatrzyła na Lukę.

Ta pokręciła głową, westchnęła dość bezradnie i powiedziała:

– Łukasz sprawdza motory, bo kasjerka widziała, czym odjechali...

– Nie żebym był szowinistą, ale naprawdę kobitka zna się na motorach? – zdziwił się Konrad.

– Nie ona. Świadka znaleźli. Jakiś małolat, wielbiciel motocykli... Krzysio grzebie w sklepowych paragonach i szuka butów...

– Ze wszystkich sklepów obuwniczych w obu dzielnicach?! – Kama zagwizdała. – Ma zajęcie do późnej starości.

– Nie ze wszystkich – sprostowała Luka. – Tylko dwa mają w sprzedaży takie buty. Krzysio szuka na kwitach konkretnej kwoty, bo ustalił, w jakiej cenie je sprzedają. Potem porówna ze sklepowym zestawieniem i może ktoś sobie przypomni klienta...

– To i tak ma co robić. – Kama radośnie zatarła ręce. – Bardzo dobrze. Mamy czyste pole. Tylko... Psiakrew! – Spojrzała na nich z wahaniem. – Nie za bardzo wiem, w jakim środowisku powinniśmy się rozglądać. Meneli? Nie znam żadnego.

– Menele nie chodzą w butach za cztery stówy. – Luka pokręciła głową. – Łukasz mówi, że napad był precyzyjnie zorganizowany. Ten, który sterroryzował kasjerkę, był prawdopodobnie przed trzydziestką...

– Rozczarowany pracownik, który szybko chciał się dorobić –

podsunął Konrad z nadzieją.

– W to już prędzej uwierzę... Policja sprawdziła obecnych i byłych pracowników tego banku, więc ten rozczarowany musiał się rozczarować w innej firmie. – Luka westchnęła. – To nie takie łatwe, Kama. To może być każdy w tym mieście.

– A są pewni, że nie spoza?

– Raczej tak. Łukasz mówi, że prawdopodobnie dzień wcześniej nafaszerowali czymś strażników, żeby nie mogli pojawić się w pracy i żeby było za późno na ewentualne zastępstwo...

– A w ogóle zastępstwo było przewidziane? – zaciekała się Kama.

– Pierwszy raz obaj strażnicy nie przyszli. Pracownikom nawet nie wpadło do głowy, żeby powiadomić centralę. Uznały, że następnego dnia wszystko będzie normalnie... Słuchaj, Kama. – Luka nagle się ożywiła. – Ty znasz dobrze Pawła Łęckiego. Pogadaj z nim. Luiza czasem przecież do niego zaglądała. Może coś sobie przypomni.

– Z Pawełkiem, odkąd ją przestał dotować, była na noże – myślała głośno Kamila. – Może coś jej się niechcący w złości wyrwało. Kto wie... Dobra, porozmawiam. Masz jeszcze jakiś pomysł?

– Może by Kondzio zajrzał do tego banku? – zastanowiła się Luka. – Może by pogadał z tymi strażnikami? Bo Łukasz jest pewien, że ktoś znajomy wywlókł z nich szczegóły na temat organizacji pracy w banku, ale policji na pewno się do tego nie przyznają.

– Zaprzyjaźnię się z nimi – zaproponował ochoczo redaktor Błoński.

– Zaprzyjaźnij się – zgodziła się Kamila i spojrzała na koleżankę. – A ty? Z kim się będziesz zaprzyjaźniać?

– Spróbuję z Anusią Orzechowską. Była świadkiem napadu. Tylko muszę się zastanowić, czy przyznać się, że jestem z gazety, czy lepiej nie...

– Przyznaj się. Powinna kojarzyć Luizę, bo ona przeważnie do jej zakładu latała, żeby kolor poprawić. Możesz powiedzieć – o ile ci to przejdzie przez usta – że byłaś przyjaciółką Luizy.

– Ale ja chcę z nią pogadać o napadzie, nie o Luizie!

– O Luizie możesz przy okazji. Może coś jej się wyrwało w trakcie poprawiania urody...

Pawełek Łęcki był właśnie w trakcie odnawiania prześlizanej, acz nieco zaniedbanej przez kolejnych właścicieli, secesyjnej serwantki, gdy dzwonek u drzwi warsztatu zaanonsował klienta. Uniósł głowę znad mebla i zdziwił się lekko, bo owym klientem okazała się Kamila Jarczewska, przełożona jego byłej żony i przyjaciółka obecnej. Sam znał ją od lat, ale jakoś nie zauważył, by interesowała ją renowacja czegokolwiek.

– Cześć, Paweł – powitała go Kama radośnie i bystro rozejrzała się po zagraconym przeraźliwie warsztacie. – Masz chwilę? Pogadać chciałam. Możesz dalej pracować, mnie nie przeszkadza. Można tu gdzieś usiąść?

Cokolwiek rozkojarzony Pawełek machnął trzymanym w dłoni pędzelkiem w kierunku jako tako uporządkowanego biurka i wrócił do swojej roboty.

– Mam nadzieję, że śmierć Luizy bardzo ci nie dokopała psychicznie?

– Kama obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem i ostrożnie usiadła na krześle, usuwając z niego przedtem jakieś narzędzie. – Bo specjalnie rozmowny nie jesteś?

Pawełek zastanowił się uczciwie, nie przestając delikatnie pociągać pędzelkiem po wyczyszczonym drewnie i odparł:

– Przykro mi to mówić, ale rzeczywiście nie. Najgorsze jest to, że Tomaszkowi też specjalnie nie dokopała. Chyba tylko moja była teściowa naprawdę się przejęła, no, ale to w końcu była jej córka... Ustaliliśmy z Izą,

że oboje się zaangażujemy w wychowanie Tomaszka...

– Zabieracie go do siebie? – zapytała Kama, w głębi serca już współczując Izie.

– Nie. Chce zostać z babcią. Moja matka za to przeniesie się do nich, a swoje mieszkanie wynajmie. Będzie im rażniej we trójkę. A w weekendy my zajmiemy się Tomaszkiem, żeby one mogły odpocząć. Iza to wymyśliła.

– Szczerze ją podziwiam – mruknęła Kama pod nosem, a głośno zapytała: – Podobno Luiza zaglądała do ciebie przed śmiercią? Co ją tak nagle sparło na kontakty rodzinne?

Pawełek zastanowił się chwilę, po czym odłożył pędzelek, przysiadł na podłodze i westchnął.

– Już mnie policja o to pytała. Właściwie to nie mam pojęcia, czego chciała. Wpadła znienacka, pokręciła się po warsztacie jakaś taka... Nie wiem, jak to określić... Tryumfująca? Pamiętam jeszcze z małżeństwa, że zawsze tak się zachowywała, kiedy udało jej się trafić na coś, co uważała za ważne dla swojej kariery. Nawet coś jej się wyrwało na ten temat. – Pawełek zmarszczył brwi. – Co to było...

– Przypomnij sobie! – zażądała Kama. – To może być ważne! Policja podejrzewa, że śmierć Luizy może mieć związek z tym napadem na bank!

Pawełek popatrzył na nią z niedowierzaniem i rozpaczliwym gestem zmierzwił włosy.

– Co ona, na litość boską, mogła... – urwał nagle i jęknął. – O Jezu, no i co ja się tak głupio dziwię po tylu latach? Luiza mogła wszystko! Jak sobie coś wbiła do głowy...

– Paweł! Skup się! – Kama rzuciła mu karcące spojrzenie. – Później będziesz biadał nad swoim nieudanym małżeństwem! Teraz się skup! Co jej się wyrwało? Jazda! Przypomnij sobie!

Pawełek posłusznie porzucił rozważania na temat przeraźliwego uporu byłej małżonki i wrócił myślą do tamtego popołudnia, kiedy złożyła mu kolejną denerwującą wizytę po raz ostatni.

– To było dwa dni przed jej śmiercią – powiedział powoli. – Akurat kończyłem zestaw kuchenny dla klienta. Luiza przyszła tak gdzieś koło... – zastanawiał się przez chwilę – ... dwunastej, bo w radiu hejnał grali. Od razu mi się wszystko w środku przewróciło, bo byłem pewien, że znowu zacznie mnie męczyć o pieniądze i nawet chciałem poszukać dyktafonu, ale to musiałbym podejść do biurka, bo w szufladzie...

– Paweł! – syknęła Kama niecierpliwie.

– Próbuję sobie przypomnieć – oświadczył Pawełek z urazą w głosie i kontynuował: – Oczywiście wypomniała mi, że na samochód Izy to mi nie było szkoda pieniędzy, a jej skoda już ledwo zipie...

– Iza kupiła samochód za swoje! – nie wytrzymała Kama.

– No właśnie – przytaknął Pawełek. – Też jej to powiedziałem. Latała po warsztacie w tę i nazad, jakby ją coś nosiło. Nawet mi przygadała, że taki mam bajzel, że pewnie wszystko można tu wcisnąć, a i tak się nie połapię. Nic nie powiedziałem, ale przyznaję, że mnie wkurzyła. Sama w domu palcem nie kiwnęła, na matkę zwałała sprzątanie, a mnie... Przecież to warsztat! Ważne, że ja wiem, gdzie co leży!

Kama poczuła tajemnicze piknięcie gdzieś w sobie, ale Pawełek mówił dalej i wrażenie, że właśnie usłyszała coś niezmiernie ważnego, zniknęło.

– A! Już wiem, co jej się wyrwało. Powiedziała, że jeszcze trochę i tak się ustawi, że do końca życia będę żałował, że mnie zostawiła... Rany, ja każdego dnia Bogu za to dziękuję!

– To by potwierdzało naszą hipotezę – mruknęła Kama.

– Jaką? – Pawełek zamrugnął oczami.

– Podejrzewamy, że Luiza kogoś szantażowała. Bardzo możliwe, że udało jej się wpaść na ślad w sprawie napadu na bank...

– Złodziei?! – Łęcki złapał się za głowę i popatrzył na Kamilę baranim wzrokiem. – Złodziei szantażowała?! Zamiast policji o wszystkim powiedzieć?! Odbiło jej?! Przecież to niebezpieczne!

– Teraz to już chyba o tym wie – podsumowała filozoficznie Kama i wstała z biurka. – Dzięki, Paweł. Jakbyś sobie coś jeszcze przypomniał, dzwoń do mnie. Chcemy znaleźć mordercę Luizy...

Anusia siedziała na fryzjerskim fotelu i tępo patrzyła w lustro. Dzięki Bogu, do zamknięcia zakładu zostało już tylko dwadzieścia minut, bo chciała jak najprędzej zamknąć drzwi i być już w domu. Rozmowa z tą dziennikarką znowu przypomniła jej dzień napadu i wrócił trochę już oswojony strach. W dodatku wiedziała, że dzisiaj Miś nie będzie mógł jej odprowadzić, bo kiedy wyszli z kina, uprzedził ją, że jedzie na zgrupowanie i przez następne trzy dni nie będzie go w Kraśniku.

Teraz Anusia czuła się przeraźliwie samotna i lekko przerażona na myśl, że sama będzie musiała wracać do domu. Przez chwilę miała ochotę poprosić o przysługę Lalę Minatówną, ale przypomniła sobie, że – w przeciwieństwie do niej – Lala ma tak zwane życie prywatne i z pewnością będzie wolała towarzystwo swojego chłopaka niż jej.

– Dobry wieczór. – Nieznajomy męski głos przerwał jej smętne rozmyślenia i poderwał z fotela. – Przytnie mnie pani trochę? Nie za późno przyszedłem?

Anusia obrzuciła klienta niespokojnym spojrzeniem i zerknęła na zegarek.

– Proszę siadać. – Wskazała opuszczony przed chwilą fotel. – Dużo tu do cięcia nie ma. Zdążę. Chyba że chce pan całkiem na łyso...

– Całkiem nie. – Nieznajomy roześmiał się i przyglądał krótką fryzurę. – Z tyłu mi trochę przeszkadzają. Może pani podgoli albo...

– Cześć, Orzeszek! – Do salonu zamaszystym krokiem wtargnął Patryk Karwicz. – Miśka jeszcze nie ma?

– Wyjechał. – Anusia poczuła dziwną ulgę, widząc znajomą twarz. – Dziś nie przyjdzie.

– Tak? W takim razie pozwól, że go zastąpię. Poczekam.

Usiadł na jednym ze stołeczków pod oknem i wziął pierwszą z brzegu kolorową gazetę.

Anusia sięgnęła po podgalarkę, przyjrzała się z uwagą karkowi klienta, który – jej zdaniem – nie wyglądał na wymagający szybkiej interwencji i przystąpiła do pracy. Trwało to raptem trzy minuty. Zdążyła w tym czasie złożyć serdeczne podziękowanie wszystkim dobrym mocom, które akurat dziś przywiodły do jej zakładu Patryka, bo klient nie budził jej zaufania. Ile razy zerknęła w lustro, napotykała utkwiony w siebie jego przenikliwy wzrok. Nawet kiedy się uśmiechał, ten uśmiech nie sięgał oczu.

– Czy my się przypadkiem nie zna... Nie spotkaliśmy się już gdzieś? – zapytał nagle.

Anusi ulżyło. Facet po prostu ją z kimś pomylił, a ona od razu dorabia do tego teorię spiskową... Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Na pewno nie – oświadczyła głosem, w którym dźwięczało granitowe przekonanie. – Raczej bym pana zapamiętała. Przeważnie kojarzę klientów po fryzurach. Pomylił mnie pan z kimś.

– Chyba tak. – Jeszcze raz przyjrzał się jej z uwagą i tym razem uśmiechnął się naprawdę. – Dziękuję. Ile płacę?

– Naprawdę go nie znasz? – zainteresował się Patryk, kiedy

denerwujący klient opuścił zakład, a właścicielka przystąpiła do porządkowania akcesoriów.

– A powinnam? – Anusia na wszelki wypadek przejechała po podłodze mokrą szczotką. – W tym mieście jest jeszcze parę innych zakładów. Nie ma nakazu, że wszyscy muszą przychodzić akurat do mnie.

– Nie to miałem na myśli. – Patryk rzucił gazetę na stertę innych i zapatrzył się przed siebie. – Znam go z widzenia. To kierowca wiceburmistrza. Przywoził jego córkę do szkoły mojej matki. Panienka trenuje języki, bo ma nadzieję zostać obywatelką świata... Ciekawe... Wygląda na to, że mnie nie poznał. Co prawda, gapił się głównie na ciebie...

– Nie odpowiadam za to, kto się na mnie gapi! – warknęła Anusia nieprzyjaźnie, ale zaraz przypomniała sobie, że tylko on został do jej dyspozycji jako ewentualna eskorta i złagodniała. – Przepraszam. Była dziś u mnie dziennikarka z gazety, w której pracowała pani Luiza. Wypytywała o ten napad i wszystko mi wróciło.

– Boisz się? – Patryk pokiwał głową. – Masz prawo. Nie co dzień jest się świadkiem napadu z bronią... Co tam słyhać u mojej Blondie? – zmienił temat. – Wydobrzała trochę?

Anusia rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

– Co ty kombinujesz? Zmieniłeś kategorie wiekowe i przerzuciłeś się na dzieci? Wiesz, że to karalne?

– To znaczy, że udało mi się podbić twoją córkę swoim urokiem osobistym? – Patryk wyraźnie się ucieszył, zamiast przejąć się groźbą. – Nie wiem, jak tego dokonałaś, ale nigdy jeszcze nie spotkałem tak bystrego dzieciaka. Kiedy podrośnie, faceci będą pokotem leżeć u jej stóp, zobaczysz.

Anusia się skrzywiła.

– Nie muszą. Wystarczy, żeby trafiła na jednego, który będzie umiał

ją docenić... Chodź, bo muszę zamknąć.

Kiedy przecinali szeroką ulicę przy parku, Karwicz zapytał tonem towarzyskiej pogawędki:

– Jak było w kinie? Film ci się podobał?

Anusia milczała przez długą chwilę, drepcząc u boku swojej eskorty. W końcu stwierdziła z żalem:

– Nie bardzo. Miś wystrzelił z tym kinem zniecka, a ja nie miałam czasu, żeby się porządnie zastanowić. No i tata mnie namawiał. Nie lubię takich filmów. Przez cały czas się tłukli, a Misiek komentował poszczególne ciosy...

Patryk z wysiłkiem powstrzymał uśmiech satysfakcji, który cisnął mu się na usta.

– W dodatku na seansie byli głównie nastoletni fani mordobicia – ciągnęła Anusia – więc możesz sobie wyobrazić te głupie odzywki. A Misiowi udało się wysypać opakowanie popcornu i od tego momentu bałam się poruszyć, bo jak mi weszło pod obcas, to cała sala słyszała trzask... Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, ale wydaje mi się, że w domu miałabym przyjemniejszy relaks niż w tym kinie. A kiedy wracaliśmy, Miś tak się rozgadał na temat wszystkich błędów, jakie popełnili scenarzyści przy kręceniu scen walki, że przestał zwracać uwagę na otoczenie i musiałam go pilnować, bo o mało nie rozbił się o słup ogłoszeniowy, a potem prawie wpadł pod samochód.

– Cały Misiek – westchnął Karwicz z ubolewaniem. – Lalka mówi, że przydałaby mu się specjalna opiekunka.

– Ma trochę racji – przyznała Anusia niechętnie. – To już moja Ewunia jest bardziej samodzielna... Lubię Misia. Jest bardzo chętny do pomocy, miły, uczciwy i pewnie rzeczywiście zna się na sztukach walki, ale

do kina z nim więcej nie pójdę. Po powrocie do domu byłam bardziej zmęczona, niż kiedy wychodziłam.

– O, twoja córka jest nie tylko samodzielna, ale i wygadana. – Patryk pominął wprawnie Miśkowe zalety i zajął się przyjemniejszym tematem. – Spędziliśmy razem bardzo przyjemny wieczór. Naprawdę nie miałem pojęcia, że dzieci mogą być tak interesujące – wyznał szczerze. – Z żadną dziewczyną tak fajnie mi się nie gadało.

– Ewunia też cię polubiła. – Anusia westchnęła potężnie. – Nie przyzwyczajaj jej do siebie za bardzo, dobrze? Ostatnio wymyśliła sobie, że sama poszuka odpowiedniego tatusia i zaczepia obcych ludzi. Już oboje z tatą nie wiemy co robić. Próbowaliśmy jej tłumaczyć, że tatusiów nie znajduje się na ulicy, ale to, jak kamienie tłuc.

– A właściwie jak to się stało, że... – Patryk zawiesił głos, nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie, by jej nie urazić.

– Jak? – Anusia od razu zrozumiała, o co pyta i wzruszyła ramionami. – Głupia byłam i tyle. Przed samą maturą matka dała znać, że ma zamiar od nowa ułożyć sobie życie i nie jesteśmy jej do tego potrzebni z tatą. Cud, że w ogóle tę maturę zdałam. I tak w każde wakacje pomagałam tacie w zakładzie, ale zaraz po maturze wyrobiłam papiery i razem pracowaliśmy. Sławek przyszedł się ostrzyć, potem zaprosił do kawiarni, do kina... Szybko mu poszło, bo uwierzyłam, głupia, że żyć beze mnie nie może. Większość dziewczyn się na to nabiera, prawda? Kto jak kto, ale ty powinieneś to znać z autopsji – stwierdziła z goryczą i Patryk po raz pierwszy w życiu poczuł wyrzuty sumienia, bo rzeczywiście tak było. – No, ze mną mu łatwo poszło, bo tak strasznie chciałam wierzyć, że ktoś mnie kocha, więc nawet nie musiał się bardzo wysilać. Kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, powiedział, że nie jest gotowy na dziecko i tyle go widziałam. A jak tata

poszedł do jego rodziców, to go wyśmiali. Sławuś już siedział zagranicą, a oni powiedzieli, że nie mam żadnych dowodów, że to jego dziecko...

– Jezu, co za kmioty durne! – nie wytrzymał Patryk. – Gdybym ja zrobił coś podobnego, a moi starzy się o tym dowiedzieli, przywlekliby mnie do panienki za łeb!

– Nawet gdybyś się wyparł przed nimi w żywe oczy? – spytała Anusia sceptycznie.

– Nawet. Mój ojciec od razu zażądałby badań DNA, żeby raz na zawsze sprawę wyjaśnić... Chrzań to. Po co ci taki palant i tacy teściowie. Masz Blondie i fajnego ojca, a oni g... guzik. I dobrze im tak, bo nie zasłużyli...

Zamilkli oboje, ale żadnemu to milczenie nie przeszkadzało, bo każde zajęte było własnymi myślami. Anusia czuła w głowie lekki zamęt. Zdażyła już sobie wyrobić zdanie na temat Patryka. Jego sercowe podboje i popularność wśród płci odmiennej pamiętała jeszcze ze szkoły. Bawił się dziewczynami jak wytrawny zongler i żadna nie cieszyła się jego względami zbyt długo. Choć i Anusia się w nim durzyła, nie było to uczucie na tyle poważne, by złamało jej serce. Takie sobie dziewczęce rojenia przed snem o pięknym królewiczu, który wybierze właśnie ją. Królewicz miał twarz Patryka, dopóki nie poznała Sławka. Teraz już wiedziała, że w dzisiejszych czasach na królewiczów panuje straszliwy nieurodzaj i wołała nie ryzykować. Zresztą Lala, która dobrze Patryka знаła, wpadając czasami do jej zakładu, podrzucała świeże wiadomości i nie były one dla młodego Karwicza pochlebne. W umyśle Anusi zakodował się obraz typowego donżuana. Obraz który skutecznie ją powstrzymywał od zacieśnienia znajomości.

I oto okazało się, że donżuan ujawnił przyjemniejsze oblicze, co ją

zdumiało. Podobno dzieci to najlepsze na świecie wariografy – wyłapują każdy fałsz i kłamstwo. A Ewunia dziś przez cały ranek wygłaszała peany na cześć nowego przyjaciela. Jak to pogodzić?

Patryk milczał, bo nagle dotarło do niego, że idąca obok dziewczyna jest rok młodsza od niego, a od kilku lat zмага się z problemami, do których musiała gwałtownie dorosnąć. Podczas gdy on wiódł „bezthoskie życie konika polnego”, jak mawiała jego matka. Był panem samego siebie, a – zdopingowany przez przerażoną jego beztroską rodzinę – od kilku lat również własnego portfela. Anusia takiej szansy nie dostała. Nie zdążyła poznać świata, zabawić się. Jej życie to dom i zakład. Codzienna harówka, żeby utrzymać dziecko.

Patryk zerknął ukradkiem na zadumaną dziewczynę i uczył coś w rodzaju podziwu. Cholera, imponowała mu. Miała tyle siły, żeby się pozbierać i nie przenosić swojego żalu na dziecko. Ciekawe, czy choć jedna z tych pięknotek – idiotek, które lgnęły do niego jak do miodu, byłaby do tego zdolna? Szczerze wątpił.

– Filip cierpi w domowych pieleszach, robotę na dziś z grubsza odwaliliśmy, zarządzam naradę wojenną – oświadczyła Kama i zasiadła przy pustym biurku Luizy. – Dowiedzieliście się czegoś ciekawego? Bo ja rozmawiałam z Pawłem. Luiza rzeczywiście złożyła mu wizytę, ale jakby bez specjalnego powodu. Wkurzyła go, pokręciła się po warsztacie i wyszła. Dwa dni przed śmiercią.

– Wkurzyła go? Czym? – zdziwił się Konrad. – To on umie się wkurzać? Zdawało mi się, że nie.

Kamila streściła przebieg rozmowy z Pawelkiem i znowu coś tajemniczego piknęło jej w środku.

– Teraz uwaga: będę głośno myślała – uprzedziła. – Coś mi lata po głowie i nie mogę tego złapać...

– A jesteś pewna, że to nie żaden insekt? – zaniepokoił się Konrad, patrząc na nią podejrzliwie i bezwiednie drapiąc się po obfitej czuprynie.

– Żaden insekt! Co ty mi tu impu... Cholera, jak Paweł opowiadał o wizycie Luizy, coś mi błysnęło i przeleciało jak meteor. Nie zdążyłam porządnie pomyśleć. Pomóżcie mi! – zażądała gwałtownie. – Może wam też coś zaświta!

Redaktor Błoński zrobił minę, jakby za chwilę miał dokonać odkrycia godnego Nagrody Nobla, ale jego zagubione nieco spojrzenie przeczyło tej możliwości. Lukrecja Szczęsna skupiony wzrok utkwiała w jednym punkcie i poprosiła:

– Powtórz jeszcze raz, co Luiza mówiła do Pawełka. Tylko dokładnie.

Kamila wbiła w nią wyczekujące spojrzenie i po raz kolejny przytoczyła słowa Łęckiego. Nagle w jej umyśle odblokowała się jakaś klapka. Z błyskiem w oczach popatrzyła na Lukę, która odwzajemniła się tym samym.

– Bajzel ją zafascynował – powiedziała powoli.

– Bo nikt się nie połapie, że coś przybyło – dopowiedziała Luka. – Luiza była sprytna. Jeśli miała coś, co pozwalało jej na szantaż, musiała się jakoś zabezpieczyć.

– Jasne. – Kama kiwała głową jak chiński Budda. – Zniknął pendrive i dyktafon. Coś z tych rzeczy mogła zostawić u Pawła. Na wszelki wypadek... Co obstawiacie?

– Ja bym schowała dyktafon – stwierdziła Luka po namyśle. – Jeśli coś rzeczywiście nagrała, to musiała na nim. Pendrive był wtórny. Jako dowód dyktafon był ważniejszy.

– Ja też – zgodziła się Kama i spojrzała na milczącego Konrada. – Co tak patrzysz?

– Właśnie do mnie dotarło, że gdybyście obie zawiązały spółkę, żeby kogoś zabić, to policja miałaby twarde orzech do zgryzienia. – Redaktor Błoński wyglądał na wstrząśniętego. – Teraz myślicie dokładnie tak, jak szantażysta!

– Myślimy jak Luiza, bo trochę ją znałyśmy – odparła niecierpliwie Kamila. – Zadzwoń do Pawła. Niech szuka!

– Może lepiej od razu na policję? – zawahała się Luka.

– Narobią mu tam kłopotu, a sama widziałam, że ma jakąś pilną robotę. Bądź człowiekiem! Niech sobie chłopina skończy i zarobi te parę groszy, w końcu ma teraz syna na utrzymaniu!

– No dobrze, ale...

– Damy mu czas do jutra – obiecała Kama. – Jak nie znajdzie, powiadomimy policję. Może być?

Lukrecja westchnęła ciężko i skinęła głową.

– Teraz wy. Konrad, wyciągnąłeś coś z tych strażników?

– Okazało się, że jednego znam z widzenia. Udawałem, że chcę napisać artykuł o pracy w banku. Trochę musiałem poczekać, aż będą mieli przerwę. Tam niedaleko jest taki... – zawahał się – ... sklep – barek. Można kupić albo zjeść na miejscu. Podobno oni zawsze tam... A, Luka! To sklep twojej matki! – skojarzył. – No! To oni zawsze tam jedzą. Jezu, jakie to gaduły! – Skrzywił się. – Dowiedziałem się, że mało im płacą, że gotówkę przywozi i odbiera stała ekipa, a oni tylko banku pilnują, że szefostwo ma węża w kieszeni i oszczędza nawet na monitoringu, takie tam pierdoły...

– Nie takie pierdoły – zastanowiła się Kama. – Jak ty się dowiedziałeś, to i inni mogli. Gdybym chciała obrobić bank, bardzo by mnie

ucieszyła wiadomość, że kamery nie zrobią mi kuku. Jeden problem miałabym z głowy.

– Niby tak, ale niczego konkretnego z nich nie wydusiłem – wyznał Konrad smętnie. – W końcu wpadłem na pomysł, żeby ich zapytać, czy ktoś znajomy towarzyszył im w tych posiłkach. Przyznali, że owszem. Jeden ich nawet podwoził służbową bryką.

– Służbową? – zainteresowała się Luka. – Kto to był? Powiedzieli?

– Też go znam z widzenia. Taki młody cwaniaczek. Za kierowcę robi w Urzędzie Miasta. Przeważnie wozi wiceburmistrza i załatwia mu różne sprawy.

– Na przykład jakie? – chciała wiedzieć Kama.

– Na przykład przelewy, bo wice ma konto w tym właśnie banku. Oczywiście kasy do łapy nie dostaje, tylko papiery wypełnione dostarcza... *Sorry*. Chyba niewiele zdziałalem.

– Trochę się dowiedziałeś – pocieszyła go Kamila. – Przynajmniej możemy się domyślać, jakim cudem te bandziory były tak dobrze poinformowane... Luka, a ty?

– Rozmawiałam z tą fryzjerką. Teraz mam wyrzuty sumienia, bo widać było, że trudno jej do tego wracać. Powiedziała, że wszystkie szczegóły podała prokuratorowi i nic więcej nie wymyśli, a nie chce o tym mówić, bo się boi, że jak w gazecie o niej napiszą, to ten bandzior wróci i zrobi jej krzywdę. I powiedziała, że poznałaby go tylko wtedy, gdyby się odezwał. Ale nie byle jak, tylko musiałyby ją zelżyć...

– Co?! – Kama i Konrad osłupieli.

– Jak uciekał, to się o nią potknął i o mały włos nie przewrócił – wyjaśniła Luka. – Coś obelżywego mu się wyrwało, ale ta fryzjerka twierdzi, że sama do końca życia sobie nie przypomni co. Musiałaby to

znowu usłyszeć.

– Ciekawe... Może zorganizujemy w gazecie konkurs na najbardziej oryginalne przekleństwo? – zaproponował Konrad. – Z nagrodami, to może się skusi?

– Jak ma do dyspozycji tyle szmalu, to mu wiszą nagrody! – prychnęła wzgardliwie Kama i poderwała się z krzesła. – Dobra. Dzwonię do Pawła, a jutro zaczniemy od nowa. Może coś jeszcze...

– Poczekaj! Rozmawialiśmy też o Luizie, bo ta fryzjerka ją знаła. Powiedziała, że kiedy ostatni raz podcinała u niej włosy...

– Kiedy to było?

– Kilka dni przed śmiercią. Przypominam sobie, że wyskoczyła w ciągu dnia niby to w sprawie wywiadu. Ale wyleciała ze zdjęciem, które sobie wycięła z jakiegoś tygodnika i, rzeczywiście, ta Anusia mówiła, że koniecznie chciała mieć przycięte jak na tym zdjęciu... No więc, ostatnio powiedziała, że od tej pory będzie się czesać w renomowanych salonach, bo zmienia pracę i wyjeżdża. Wspomniała o Krakowie.

– Wiemy coraz więcej. – Kama z zadowoleniem zatarła rękę. – Dobrze się spisaliśmy. Dzwonię do Pawła, żeby szukał dyktafonu...

Patryk Karwicz siedział na pufie obok tapczaniku, który zajmowała Ewa Patrycja i czuł się cokolwiek niepewnie. Po raz pierwszy w życiu z własnej, nieprzymuszonej woli został niańką. Gdyby parę tygodni temu ktoś zasugerował mu coś podobnego, zostałby niechybnie wyśmiany. A tymczasem on sam przed chwilą namówił Wiktora Orzechowskiego, by zostawił wnuczkę pod jego opieką i spokojnie zrobił niezbędne zakupy.

– Lubis chodzić do lekaza? – zapytała Ewunia, która tę wizytę miała już za sobą i w jej efekcie została zmuszona do leżenia w łóżku.

– Nie bardzo – wyznał Patryk ostrożnie. – W ogóle nie lubię chorować. A ty?

– Cholować casem lubię, ale nie lubię lekaczy. Wpychają człowiekowi jakieś świństwo do gardła. Bardzo niepsyjemne ucucie.

– No wiesz, pewnie musiał sprawdzić, czy nie jest zaczerwienione – powiedział Patryk dyplomatycznie.

– I tak nie lubię – uparła się Ewunia, po czym zażądała: – Opowiedz mi bajkę.

– A może poczytamy książeczkę? – zaproponował spłoszony Patryk.

– Od książeczek to jest mama – pouczyła go Ewunia. – Od ciebie chcę bajkę.

Patryk popatrzył na jasnowłosą drobinkę, która przytulała policzek do pluszowego krasnala i poczuł, jak jego, zrelaksowane do tej pory, sumienie pisnęło ostrzegawczo. W opowiadaniu bajek był mistrzem, tyle że one robiły furorę wśród starszych roczników.

O czym miał opowiadać małej dziewczynce, która wierzyła, że sama potrafi znaleźć sobie odpowiedniego ojca?

– Mas mamę?

– Mam.

– A tatę?

– Też. I siostrę, ale ona mieszka we Francji – usiłował przedłużyć rozmowę z nadzieją, że dziecko zapomni o bajce. – Wyszła tam za męża i już ma dziecko.

– No widzisz, jak ci dobrze. – Ewunia westchnęła żałośnie. – A ja mam tylko mamę i dziadka.

Patryk nigdy się specjalnie nie zastanawiał, czy mu dobrze. Rodziny sobie nie wybierał. Ot, taka mu się trafiła. Po słowach Ewuni doszedł do

wniosku, że istotnie mu dobrze. Mimo wiecznych pretensji o jego bez troskę, rodzice byli oparciem, na które zawsze mógł liczyć. Zrobiło mu się głupio, że uświadomiła mu to pięciolatka.

– Ułóż się wygodnie, to opowiem ci bajkę – uznał, że musi szybko zmienić temat, bo orzechowe oczy zaszklily się podejrzenie. – Za siedmioma górami, za siedmioma lasami – zaczął niepewnie i nagle słowa same przyfrunęły – był sobie księżę. Jego rodzice rządili królestwem i księżę miał wszystko, o czym tylko zamarzył...

– Całkiem wszystko? – przerwała Ewunia z wyraźną zazdrością w głosie.

– Całkiem. Kiedy był mały, dostawał każdą zabawkę, która mu się spodobała, a potem, gdy dorósł, rodzice starali się spełniać wszystkie jego zachcianki. Od niego żądali tylko jednego – żeby skończył studia, bo chcieli mieć mądrego syna. Księżę więc wyjechał do pobliskiego m... królestwa, ale uczyć mu się nie chciało. Nie miał przy sobie nikogo, kto by go zmuszał do nauki, a studenckie życie wydawało mu się bez troskie i wesołe. Nie wiadomo kiedy przyszła pora egzaminów i okazało się, że księżę nic nie umie. Został skreślony z listy studentów i przestraszył się, bo w takim przypadku – Patryk zastanawiał się przez chwilę – musiałby podjąć karierę wojskową, a on wcale wojska nie lubił. Wpadł na pomysł, żeby rozkochać w sobie znajomą księżniczkę i powiedzieć rodzicom, że miłość mu przeszkadza w nauce i woli się ożenić...

– Bzydki kłamcuch! – zawyrokowała Ewunia z obrzydzeniem.

– Brzydki – zgodził się Patryk i kontynuował: – Księżniczka chyba wyczuła, że on tak naprawdę wcale jej kocha i dała mu kosza. A rodzice dowiedzieli się o wszystkim i stary król postanowił zmusić leniwego syna do pracy. Wysłał go do zaprzyjaźnionego królestwa, gdzie były wielkie

winnice...

– Co to są winnice? – chciała wiedzieć Ewunia.

– Zamknij oczy. Wyobraź sobie ogromne pole, a na nim długie rzędy krzewów. Każdy z nich obsypany jest kiściami winogron, pachnących, rozgrzanych słońcem... Idziesz pośród tych rzędów, ścinasz je i wkładasz do kosza, który robi się coraz cięższy. Opróżniasz kosz, kiedy jest pełny, i znów idziesz między krzewy...

– Bardzo cięższy? To księżę się namęczył.

– O, tak – przyznał Patryk. – Bardzo się namęczył. Z początku był bardzo obrażony na rodziców. Musiał wstawać rano i jeść to, co inni. Plecy go bolały od ciężkiego kosza, głowa od palącego słońca. Przerzucano go z jednej winnicy do drugiej, bo król i królowa mieli wielu znajomych właścicieli winnic, a księżę pracował, pracował, pracował, aż...

– Az co? – ponagliła go Ewunia, kiedy nagle urwał. – Umarł od tej placy?

– Nie. – Patryk pokręcił głową i powiedział powoli: – Nie umarł. Przeciwnie. Poczł się, jakby po raz drugi się urodził, bo ta praca zaczęła mu sprawiać przyjemność. Nauczył się przy niej wielu ciekawych rzeczy. Dowiedział się, jak pachnie poranne rzeńskie powietrze, jak smakuje jedzenie, kiedy jest się zmęczonym. Wcześniej nie miał o tym pojęcia. Co roku jeździł do... tego królestwa i za każdym razem bardziej mu się to podobało.

– A klólewnę sobie znalazł?

– Księżniczkę – poprawił Patryk. – Chyba jednak tak całkiem nie zmądrzał, bo wcale nie szukał. Tyle ich było wokół, że nie musiał się wysilać. Szybko go nudziły, bo wszystkie były takie same. I pewnie tak by zostało, gdyby księżę nie spotkał któregoś dnia małej dziewczynki...

Ewunia znieruchomiała i wbiła w niego oczy.

– ... dzięki której zrozumiał, że czas przecieka mu pomiędzy palcami, a on wciąż nie znalazł najważniejszej rzeczy. A nie znalazł, bo nawet mu nie przyszło do głowy, żeby szukać. Zawsze mu się wydawało, że ona mu się należy. Zapomniał, że na wszystko trzeba sobie zapracować.

– Jak psy tych winogronach?

– Jak przy tych winogronach... Podobała ci się bajka?

– To już koniec? – rozczarowała się Ewunia. – W bajkach mówi się: i żyli długo i szczęśliwie.

– To jeszcze nie koniec, Blondie. – Patryk pogłaskał zarumieniony od gorączki policzek. – Resztę opowiem ci kiedy indziej. Na razie nie mam pojęcia, jakie będzie zakończenie.

– Lubię cię, wiesz? Lazulek też. Mówił mi, że stłasn timer mu się nudziło w sklepie beze mnie.

– No pewnie, że mu się nudziło – zaśmiał się Patryk. – Ja też cię lubię, Blondie. Bardzo. A teraz zamknij oczka i spróbuj zasnąć. Sen to najlepsze lekarstwo na chorobę.

– Pysplowadziś dziś mam do domu?

– Przyprowadzę.

– To będę spała. – Ewa Patrycja posłusznie zamknęła oczy, zwinęła się w kłębuszek, przytulając do siebie krasnalę i po chwili usłyszała jej spokojny, równy oddech.

W drzwiach dzieciennego pokoju pojawił się Wiktor Orzechowski i gestem zaprosił go do kuchni. Wstał ostrożnie, by nie obudzić małej i wyszedł.

– Ja bym się przyjrzał jednemu gośtkowi – powiedział Łukasz, siedząc

w gabinecie Jerczyka. – Właściwie nic na niego nie mam, ale...

– Jakiemu gostkowi? – Krzysztof popatrzył na niego z nagłą uwagą.

– Jest taki jeden. Wiekowo mi pasuje. Kierowca wiceburmistrza. Często bywał w tym banku, bo załatwiał szefowi różne sprawy...

– Masz jakiś cynk na jego temat?

– Niby nic podejrzanego. – Szczęsny wzruszył ramionami. – Konto ma czyste, jeden mandat ledwie, ale pewnie szefa wiozł... Tak mi jakoś coś w środku pika... Gazeciarze się zawzięli, żeby osobiście wykryć mordercę tej Lisiec...

– Rany boskie! – Jerczyk spojrział na niego z paniką w oczach. – To nie są normalni ludzie! Wiesz, jakie mają pomysły?! Najpierw miałem przejścia z Traczem, bo awanturował się przy rewizji, że policja go nęka! Z powodu braku sportowego obuwia! Masz pojęcie?! A potem trafiłem w sam środek eksperymentu, bo wymyślili sobie, że muszą sprawdzić osobiście, jak morderca dostał się do pokoju! Zdążyłem w samą porę! Akurat przymierzali się do duszenia twojej żony! Cholera, mam ich zamknąć?!

– Daj im spokój – poradził Łukasz. – Niech sobie eksperymentują. Póki co, żony mi nie udusili, za to popytali trochę tu i ówdzie, a Luka mi powtórzyła, czego się dowiedzieli.

– A czego się dowiedzieli? – prychnął Krzysztof z powątpiewaniem.

– Konrad rozmawiał z tymi, pożał się Boże, strażnikami. Okazało się, że często biesiadowali ze znajomkami w lokalu mojej teściowej. Jednym z tych znajomków jest właśnie niejaki Adam Gargul, nasz kierowca. Bardzo ostrożnie, żeby nikogo nie płoszyć, porozmawiałem sobie z kasjerką. Wychwalała Adasia pod niebiosa. Uczynny wielce...

– W jakim sensie uczynny?

– Tylne drzwi im się kiedyś zablokowały. Strażnicy się męczyli i nic,

dopiero Adaś pomógł – wyjaśnił Łukasz.

– Przepisy pozwalają wpuszczać osoby nieuprawnione? – zainteresował się złowieszczo prokurator. – To jakby sami się prosili o kradzież!

– Dla nich to nie jest osoba nieuprawniona, tylko znajomy. W dodatku taki, który ociera się o władzę. – Łukasz wzruszył ramionami. – Co chcesz? Małomiasteczkowa mentalność – wszyscy wszystkich znają... Uczynny wielce, powiadam, bo dzień przed napadem strażnicy nie mogli się dożywić poza miejscem pracy.

– Dlaczego?

– Bo klient przyszedł z grubszą gotówką i, zgodnie z procedurą, musieli być przy przeliczaniu i wpłacie – wyjaśnił Szczęsny i ciągnął: – Uczynny, bo akurat zajrzał, uznał, że to potrwa i postanowił przywieźć strażnikom żarcie, żeby z głodu nie padli. Kiedy wrócił z zamówieniem, po tamym kliencie nie było już śladu, a ochroniarze narzekali, że tyle gotówki będzie w oddziale aż do następnego popołudnia, bo centrali nie opłaca się wysyłać konwojentów do jednego punktu.

– Czyli wiedział? – Jerczykowi zaświeciły się oczy. – Wiesz co? Mnie też zaczyna pikać! Wiemy coś więcej o tym Gargulcu?

– Gargulu – poprawił Łukasz. – Trochę się rozejrzałem. Bardzo trochę, żeby się nie domyślił, że ktoś się nim interesuje. Mieszka z młodszym bratem przy Granicznej w takim domu na uboczu. Pomogłem jednej babci po sąsiedzku kurę złapać i zatkałem dziurę w płocie, żeby więcej nie wyłaźła na szosę. Kura, nie babcia. No i babcia co nieco mi opowiedziała.

– Byłeś jako policjant?

– Co ty! Jako przejezdny byłem! Babcia ma w ogrodzie bardzo

dorodną lipę, zapatrzyłem się, a i tak hamowałem, bo mi ta cholerna kura laźła pod koła... Zacząłem od przeprosin, że stworzenie zestresowałem i babci od razu ulżyło, bo się bała awantury. Pomogłem przy tym płocie, pogadałem o drzewie i poszło. Babcia się rozżaliła, że żadna inna kura nie wyłazi, tylko ta jedna świat lubi zwiedzać, a ona najbardziej nośna i trzeba jej specjalnie pilnować, bo chłopak od sąsiadów często koło domu na motorze piratuje...

– Dlaczego koło domu? – zdziwił się Krzysztof.

– Pewnie prawka nie ma. Uważa, że koło domu go nie złapią. Tam akurat jest prosty kawałek i szeroko. Pewnie jeździ dla wprawy w tę i z powrotem... Użaliłem się nad babcią i kobiecie nie się ułało. Chłopak od sąsiadów to młodszy Gargul. Niejaki Zdzisio. Zawodówkę skończył, ale do roboty się nie rwie. Podobno z przyjemnością świat by pozwiedzał, tylko nie ma kasy. Do mamusi chce jechać, bo mamusia w Stanach nowe życie zaczęła. Ojciec nie żyje, na budowie zginął, więc wdowa zostawiła dorosłych synków i prysnęła szczęścia szukać. Zdzisio jest święcie przekonany, że w Stanach sny się spełniają i, przy niewielkiej pomocy mamusi, zostanie milionerem. Na razie utrzymuje go brat, który podobno nieźle zarabia, ale babcia mówiła, że też by chętnie wyjechał, bo – cytuję – panie, tym na górze to już się w głowach przewracało i ludzi traktują jak bydło. Znając wiceburmistrza, jestem skłonny się z tym zgodzić...

– Coś jeszcze babcia mówiła?

– Owszem. Słyszała, jak Zdzisio się chwalił kumplowi, że dzwonił do matki i ta obiecała, że przyśle zaproszenie, a wtedy obaj z Adasiem się stąd zwijają. Dopytywał też ponoć, jak napisać ogłoszenie o sprzedaży domu – powiedział Łukasz. – Słuchaj, Krzysiu. Stary przydzielił mi do pomocy bardzo bystrego chłopaczka...

– A co mu się stało? – zdziwił się Jerczyk. – Sumienie go ruszyło?

– Gdzieś ty widział szefa, który ma sumienie? – prychnął Szczęsny. – Młody mu przeszkadza, bo kurs mu namieszał w łepetynie i usiłuje wymierzać sprawiedliwość. W efekcie spisał radnego, który zaparkował na miejscu dla inwalidów i udzielił mu pouczenia, a kiedy ten zaczął się awanturować, wypisał mandat. Radny napyszczył do starego i młody dostał ochrzan. Innym razem dostali wezwanie do awantury domowej. Młody pojechał z patrolem – bo się strasznie rwie do akcji – zastał pobitą małżonkę i na – prutego pana domu, któremu wizyta się nie spodobała, więc usiłował pozbyć się intruzów za pomocą widelca...

– Czego?! – parsknął rozśmieszony prokurator.

– Kiedy weszli, akurat spożywał kolację i w łapie miał widelec. Zaczął nim wymachiwać, mało brakowało, żeby go wetknął w oko dzielnicowemu, więc młody się wkurzył, rzucił faceta na glebę i zabrał na dołek. A potem się okazało, że ten damski bokser to rodzimy biznesmen i szef wszystko wyciszył, a młodego podrzucił mnie z nadzieją, że sam usiądzie na tyłku, albo ja go wychowam. No i, rozumiesz, teraz mam Tadzia do pomocy. Tadzio wygląda jak napa – kowany młody gniewny i aż się rwie, żeby go trochę spuścić ze smyczy, więc mu kazałem powęszyć wokół tych Gargulów, ale tak, żeby się nie zorientowali i żeby nigdzie nie wyciekło, że mamy na nich oko. Poradzi sobie.

– Oby to był dobry trop – westchnął z nadzieją Jerczyk i dodał niechętnie: – Może i ci gazeciarze rzeczywiście się starają pomóc, ale normalni to oni nie są... A w sprawie zabójstwa też się czegoś dowiedzieli?

– Kama rozmawiała z Łęckim i podsunęła mu myśl, żeby dobrze przetrząsnął warsztat. Była małżonka odwiedziła go przed śmiercią i nasi pomocnicy mają nadzieję, że może mu coś podrzuciła. Wyznaczyli mu czas

do jutra. Jeśli niczego nie znajdzie, powiadomią nas o swoich przypuszczeniach i będziemy mogli zrobić przeszukanie.

– No, dobra. To niech szuka. Jeśli coś u niego zostawiła, to do jutra samo nie wyjdzie – zgodził się Krzysztof niechętnie. – Cholera, jak nam się uda to rozwiązać, chyba się upiję ze szczęścia. Albo wezmę urlop i zabiorę Amę w jakieś ciepłe miejsce...

Kaplica tuż przy osiedlu domków od lat służąca części mieszkańców Kraśnika za kościół pełna była wiernych, a ci, którzy nie zmieścili się w środku, stali na zewnątrz mimo przenikliwego zimna. Publiczność dopisała. Ostatecznie nie co dzień odbywa się pogrzeb ofiary morderstwa. Jeszcze przed wyprowadzeniem ciała w kaplicy pogrzebowej kłębił się tłum, bo kraśnickie plotkarki koniecznie chciały na własne oczy zobaczyć ową ofiarę, by potem błyszczeć wiedzą wśród kumoszek. Kama wraz ze współpracownikami stała po drugiej stronie trumny, naprzeciwko rodziny. Na widok tych wścibskich babsztyli, których oblicza ozdabiała drapieżna ciekawość pomieszana z fałszywą pobożnością, miała ochotę złapać coś odpowiednio ciężkiego i rozpędzić towarzystwo na cztery wiatry. Poskromiona przez przyjaciół, ograniczyła się do mamrotania pod nosem bardzo zjadliwych komentarzy. I przysięgła sobie w duchu na wszystkie świętości, że spisze testament i zażyczy sobie kremacji. Bez względu na koszty.

Teraz redakcyjni koledzy nieboszczki siedzieli w nawie niedaleko spoczywającej na katafalku trumny, dygotali z zimna – bo kaplica nie była ogrzewana – i z uwagą słuchali proboszcza, który rozwodził się nad zaletami zmarłej tragicznie parafianki.

– Jesteście pewni, że bierzemy udział we właściwym pogrzebie? – Konrad miał dziwną minę. – Może mu się kartki pomyliły i mówi o kimś

innym?

– Nic mu się nie pomyliło – syknęła niecierpliwie Luka. – To pogrzeb, Kondziu. Nieboszczyków nie wypada oczerniać, bo już nie mogą się bronić.

Filip milczał kamiennie i wyglądał na niezadowolonego. Kama trąciła go w bok.

– Przeżywasz? Dopiero do ciebie dotarło?

– Daj mi spokój! – zdenerwował się szeptem. – Zimno tu jak cholera! Długo jeszcze? Przeziębę się!

– Jak zemrzesz, urządzimy ci taki sam! – nie wytrzymała Kamila. – Tylko wtedy będzie ci jeszcze bardziej zimno! Palant!

Redaktor Błoński zadarł nagle głowę do góry i wpatrzył się wyczekująco w wiszący nad trumną wielki żyrandol.

– A tobie co? – Kama przeniosła swoje zainteresowanie na niego. – Objawienia doznałeś? Co się tak gapisz?

– Ciszej, serce moje – wyszeptał Konrad i westchnął. – Nawet nie drgnął... Księża mają rację. Pan Bóg dysponuje niezmierną cierpliwością i pobłażliwością wobec swojej trzódki. Ja na Jego miejscu bym nie wytrzymał i spuścił ten żyrandol, żeby przerwać to epitafium.

– Kondziu, przestań! – skarciła go Luka szeptem. – Przynajmniej jej matce jest przyjemnie!

– Myślisz? – Kama uniosła sceptycznie brwi. – No nie wiem. Ostatecznie znała ją dłużej i lepiej niż my. Może też się dziwi.

Po skończonych egzekwiach trumnę ulokowano na karawanie i część publiczności rozeszła się do domów. Rodzinę Paweł Łęcki ulokował w swojej furgonetce, do której na tę okoliczność zamontował siedzenia. Kama zagnała swoje stadko do redakcyjnego mikrobusu i natychmiast włączyła ogrzewanie.

– Luka! Patrz! Tam jest twój luby i prokurator! – Wypatrzyła eleganckie audi, do którego wsiadali obaj panowie. – Służbowo? Mają nadzieję, że morderca przyszedł sobie popatrzeć?

– No pewnie, że służbowo. Nie wiem, na co mają nadzieję, ale przy morderstwie chyba zawsze policja przychodzi na pogrzeb... O, ta fryzjerka też przyszła!

– Gdzie? – Kama przesunęła wzrokiem za ruchem jej ręki. – A ten przy niej, to kto? Znasz go? Ale ciacho! Szkoda, że dla mnie za młody... Patrz, razem wsiadają... Pewnie jej chłopak... Dobra. Trzymajcie się, dzieci! Zaraz ruszamy.

Ponieważ sposób prowadzenia Kamili był powszechnie znany wśród jej znajomych i przyjaciół, wszyscy pośpiesznie pozapinali pasy i nastawili się na stres. Kama odczekała, aż ruszą dwa pełne autokary zamówione przez rodzinę dla chętnych, wyjechała z kościelnego dziedzińca, błyskawicznie jakimś cudem przepchnęła się do przodu, wyprzedziła karawan i pognąła przed siebie. Pasażerowie jęknęli zgodnie, gdy przejechała skrzyżowanie już prawie na czerwonym świetle, a potem – kiedy wyminęła śmieciarkę i gwałtownie skręciła tuż przed nadjeżdżającym z naprzeciwka busem,

Obejrzała się na nich i uśmiechnęła szeroko.

– Ma się ten refleks, co? – stwierdziła z satysfakcją. – Niech sobie ci szowiniści za kółkiem nie myślą, że jak baba, to gorsza!

Potem było jeszcze gorzej, bo Kama minęła wioskę dziecięcą, i – widząc przed sobą pustą szosę – przyśpieszyła. Zakręt przy lesie pokonała z piskiem opon, zwolniła przed cmentarzem i zjechała na pusty parking.

Z ust pozostałej trójki wyrwało się westchnienie ulgi.

– Chciałaś nas dołożyć do Luizy, żeby jej nie było smutno samej leżeć? – zapytał Konrad z wyrzutem.

– Nie przesadzaj, Kondziu. Jeszcze nigdy nie miałam wypadku. Za to jesteśmy pierwsi i, zanim reszta przyjedzie, zdążymy się trochę zagrać... Luiza pewnie byłaby zachwycona swoją popularnością. Przyszło pół miasta... Gdybym w tej kaplicy miała splotę, tobym strzelała... „W strasznych mieszkaniach strasznie mieszkają straszni mieszczanie... ”

– Mieszczki – przerwał jej Konrad. – Same baby się pchały do trumny.

– Bo z natury ciekawe – burknął Filip. – Już Ewa...

– Bo cię trzasnę w dziób i zbrzydniesz – warknęła natychmiast Kama.

– Adam też był dupek. Musiał zjeść to jabłko?

– Przestańcie się kłócić – zganiała ich Luka. – Jak już wejdziemy na cmentarz, stańmy gdzieś z boku i obserwujmy. Może zobaczymy coś...

– A może Luiza wytknie palec z trumny i pokaże mordercę? – podsunął Konrad z nadzieją. – Wieść gminna niesie, że podobno bywały takie sytuacje. A jeszcze jak nieboszczyk taki mściwy jak ona...

– Jasne! – prychnęła Kama. – Wytknie palec i poda kajdanki, żeby go skuć od razu... Widzieliście Tomaszka? To dopiero mała cholera po mamusi. Obie babcie rzetelnie płakały, a młody się wiercił, oczkami łypał na wszystkie strony i widać było, że cholernie go nudzi ta impreza.

– Może mu się siku chciało – podsunął dobrodusznie Konrad. – Czepiasz się, serce moje... Luka, kogo my właściwie mamy obserwować? Pograżoną w żalu rodzinę czy publiczność?

– Przecież rodzina jej nie zabiła! – warknął Filip. – My też nie! Policja jest od tego! Nie mam zamiaru nikogo obserwować! Płacę podatki, niech robią swoje!

– Panisko się odezwało – mruknęła Kama, patrząc na niego z obrzydzeniem. – Płacisz podatki, bo sam masz nieźle za uszami, ty

erotomanie!

– Przestańcie! – Luka szturchnęła ją w bok. – Zobacz! Podjeżdżają! Mignął mi w kościele ten kierowca wiceburmistrza, o którym mówił Kondzio. Trochę dziwne, że przyszedł na pogrzeb. Luiza raczej nie zadawała się z pospólstwem. Na wszelki wypadek nie spuszczejmy go z oka.

– Szef go pewnie wysłał – powiedział Konrad, wzruszając ramionami. – Widziałem, jak taszczył wieniec od władz miasta. Na szarfie było napisane.

– Chodźmy. – Kamila niechętnie szarpnęła za klamkę. – Najbardziej mnie zawsze wkurza ten pochód do kościoła i przejście do grobu.

– Czemu? – zdziwiła się Luka. – Akurat nasz organista ma piękny głos.

– Do organisty nic nie mam – mruknęła Kama, zamykając mikrobus. – Ale jak mu zaczynają wtórować pobożne uczestniczki, sama mam ochotę wleźć do trumny i zatrzasać wieko. One mają nadzieję, że Pan Bóg jest głuchy?

– Trochę to rzeczywiście smętne – przyznał Konrad.

– Smętne? Zawodzą, jakby je ze skóry obdzierali!

Przyłączyli się do formującego się konduktu, starannie wybierając miejsce pośrodku, by im nie wetknięto ciężkiego wieńca i w milczeniu czekali, aż orszak ruszy za trumną.

Na szarym końcu szła Anusia Orzechowska z bukietem chryzantem, wsparłszy się na ramieniu Patryka Karwicza, który zaoferował samochód matki i swoje towarzystwo. Nie przepadał za uczestnictwem w uroczystościach tego typu, ale uznał, że obstawa może się dziewczynie przydać i nie chciał ryzykować, że Misiek pierwszy złoży ofertę. Gdy

dowiedział się, że młody Minat dopiero wczoraj wrócił ze zgrupowania i Anusia nie ma sumienia absorbować go swoimi sprawami, było już za późno, by się wycofać. Zresztą, wcale nie chciał. Towarzystwo Anusi zaczynało sprawiać mu coraz większą przyjemność.

– Dużo ludzi przyszło – zauważył półgłosem. – Nie wiedziałem, że była taka znana w Kraśniku.

– Chyba żartujesz? – Anusia rzuciła mu spod rzęs kpiące spojrzenie. – Połowa przyszła tylko dlatego, że chowają ofiarę morderstwa. Nie widziałeś, jak niektórzy pchali się do kaplicy, żeby zobaczyć ciało? Nawet ten napad przestał być taki atrakcyjny. U mnie w zakładzie, jak czekają na swoją kolejkę, tylko o tym mówią. Nie uwierzyłbyś, ile wersji już słyszałam. Ludzie kochają takie sensacje!

– Jak szakale – mruknął Patryk.

– Jak ludzie. – Anusia westchnęła. – Tak to już jest i nic nie poradzisz. W naszym bloku plotkarą numer jeden jest stara Majewska. Na pogrzeb też przyleciała. Idzie gdzieś z przodu.

– A, słyszałem – ucieszył się Patryk. – Twoja córka zdążyła mi już przekazać kilka mądrości życiowych zasłyszanych od starej Majewskiej.

– Uciekam, kiedy tylko ją widzę – wyznała Anusia, krocząc powoli cmentarną alejką. – Dokopała mi, gdy byłam w ciąży. Koniecznie chciała się dowiedzieć, kto jest ojcem Ewuni. Niby to z życzliwości sąsiedzkiej.

– Poszłaby do niego z siekierą, żeby go zmusić do uznania potomstwa? Musiało ci być ciężko. Nie myślałaś, żeby usunąć?

– Ani przez chwilę! Tata od razu powiedział, że damy sobie radę. Ale masz rację. Ciężko było. Źle znosiłam i ciążę i ludzkie gadanie... Daleko jeszcze? Strasznie dziś zimno...

– Już skręcają – pocieszył ją Patryk i podtrzymał, bo się potknęła. –

Zaraz się skończy i odwiozę cię do domu, a potem odstawię matce samochód, zanim zaczniesz panikować.

– Do pracy – poprawiła Anusia. – Mam umówioną klientkę po południu... Dlaczego: panikować? Nie powiedziałaś jej, że pożyczasz?

– Powiedziałem – uspokoił ją Patryk. – Ale ona tak ma. Od razu sobie wyobraża najgorsze.

– Może ma powody? – wyrwało się Anusi uszczypliwie.

– Może ma. Był taki czas, że rzeczywiście dostawałem za kierownicą małego rozumu. Przeszło mi. Teraz traktuję samochód jak coś, co pozwala się wygodnie przemieszczać. Chyba już doszedłem do tego punktu, gdzie zaczyna się myśleć o własnym. W przyszłym roku pojechałbym na winobranie, zamiast lecieć. Wkurzają mnie te szopki na lotniskach.

– Przez całe życie masz zamiar... – zaczęła Anusia i urwała, bo kondukt się zatrzymał i ksiądz zaczął odprawiać końcowe egzekwie. – Potem pogadamy.

Tłum tkwił ściśnięty, bo w bocznych alejkach mało było miejsca. Patryk z niedowierzaniem, a Anusia ze zgrozą przyglądali się, jak co niektóre przedsiębiorcze niewiasty, nie bacząc na swój wiek i kondycję zdrowotną, przeskakują ręczo groby, by znaleźć sobie lepsze miejsce widokowe.

Wreszcie trumnę spuszczone do grobu, a uczestnicy pogrzebu czekali niecierpliwie na moment, gdy będą mogli podejść i położyć wiązanki oraz zapalić znicze.

– No i po naszej drogiej Luizie – westchnęła Kamila, przyglądając się grabarzom, którzy pośpiesznie zamurowywali grób. – A tyle razy jej mówiłam, że pazerność nie popłaca... Ciekawe, czy w ogóle zdążyła zrozumieć, co się dzieje, zanim umarła...

– Mam nadzieję, że nie. – Lukrecja też westchnęła. – Zaszedł ją od tyłu i od razu udusił. Łukasz mówił, że w ogóle się nie broniła. Nie wierzę, że nie krzyczałaby, gdyby go zobaczyła. Wiedziała przecież, że cieć niedaleko. Usłyszałby.

– Darłaby się jak cholera – przytaknął Konrad i nagle coś mu przyszło do głowy. – Słuchajcie, mówią, że jak człowiek zemrze tak znienacka, to po śmierci straszy. Może Luiza też będzie?

– Nas? – zainteresowała się Kama. – Dlaczego? Nic jej nie zrobiliśmy. To już prędzej powinna straszyć mordercę. Albo Filipa.

– Mnie?! – Fotograf popatrzył na nią okrągłymi ze zgrozy oczami. – Dlaczego mnie? Też jej nic nie zrobiłem!

– Jak to nie? Mało się przez ciebie nadenerwowała, bo dostawałeś ślinotoku na widok każdej ładniejszej panienki? – Kama uśmiechnęła się z satysfakcją. – Teraz ci odplaci, zobaczysz. Zwłaszcza że ciemnia, to wymarzone miejsce do straszenia.

Na Filipie te przypuszczenia zrobiły piorunujące wrażenie. Zbladł i widać było, że prędzej sam odda ducha, niż solo wejdzie do swojej ukochanej ciemni.

Wreszcie grabarze odstąpili od grobu, panowie z profesjonalnej firmy CHARON umieścili na nim ciężkie wieńce, rozpościerając szarfy z napisami i również się odsunęli. Paweł Łęcki wziął od swojej matki duży znicz, zapalił go i postawił pomiędzy wieńcami. Wtedy zaczęli podchodzić pozostali żałobnicy, upychając na mogile swoje wiązanki i stawiając zapalone wcześniej lampki.

Anusia Orzechowska stała skromnie z boku, przeczekując to całe zamieszanie, bo ludzie z trudem przeciskali się pomiędzy sobą. Wreszcie dojrzała lukę i wyrwała się do przodu. Przed sobą zauważyła młodziana,

który pojawił się z nienacka na jej drodze, ale już nie zdołała powstrzymać ruchu. Z całej siły nadepnęła nieznajomemu na nogę, usiłując utrzymać równowagę.

– Kurrrdybanek pospolity! Jak leziesz, kobito?! – syknął młodzian i spojrzenie Anusi, która szybko odskoczyła, powędrowało odruchowo w dół.

Młodzian miał na nogach adidasy z ognistym pomarańczowym, falowanym podeszwą...

Anusia skamieniała. Mogły się wokół niej przewalać tłumy, nie było takiej siły, która by ją wyrwała z drętwoty. Chryzantemy wyleciały jej z ręki. Podniósł je Patryk, z niepokojem przyglądając się pobladłej dziewczynie. Położył kwiaty byle jak wśród innych, złapał pannę Orzechowską pod ramię i, z pewnym wysiłkiem, pociągnął ku głównej alei. Szła za nim jak automat, wciąż w stanie szoku.

– On jej ubliżył czy nie? – chciała wiedzieć Kamila, która z zachłannym zainteresowaniem oglądała tę scenę. Nie umknęło jej uwadze, że młodziana pośpiesznie odciągnął na bok drugi, w którym rozpoznała kierowcę wiceburmistrza. – Według mojej wiedzy kurdybanek to taka roślinka. Bluszcz kurdybanek to się chyba nazywa... Jak uważacie? Zelżył ją czy nie?

– Brzmiał, jakby zelżył – stwierdził Konrad po namyśle.

Filip i Luka nie wyrazili swojego zdania w tej materii, bo fotograf w dalszym ciągu próbował oswoić się z przerażającą hipotezą, że Luiza zechce mu uprzyjemnić egzystencję również po śmierci, a Lukrecja usiłowała ściągnąć na siebie spojrzenie stojącego nieopodal małżonka. Kiedy jej się to udało, nieznacznym ruchem głowy wskazała zmierzających ku wyjściu z cmentarza dwóch młodzieńców i z ulgą zobaczyła, że Łukasz mruga porozumiewawczo, ledwie dostrzegalnie kiwa głową, po czym obaj z

Jerczykiem wycofują się w stronę głównej alei.

– Krzysiu! Zaczekaj! – W cmentarnej ciszy błagalny głos Pawła Łęckiego zabrzmiał jak dźwięk trąby jerychońskiej. Były małżonek Luizy porzucił na chwilę rodzinę i dopadł prokuratora. – Masz! Znalazłem w pudełku z gwoździami! Chyba tego szukaliście. Musiała wtedy zostawić... Dzięki, że przyszedłeś. – Po czym zawrócił ku rodzinie.

– Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie dyktafon Luizy! – wyszeptała podekscytowana Kama, ściskając ramię Luki. – Pamiętaj! Jak ci Łukasz coś powie, to też chcemy wiedzieć! Tylko dla siebie! Nikomu nie powtórzmy!

Anusia oprzytomniała dopiero w samochodzie Karwicza. Wepchnięta do środka, rozejrzała się w panice na wszystkie strony, ale nieznanego nie dostrzegła. Obu młodzianów zasłaniał mikrobus z logo redakcji „Echa Kraśnika”.

– Co się stało? – Patryk przyglądał się jej niespokojnie. – Znasz tego bałwana?

– On jest... Był... Znowu to powiedział i poznałam go! – wykrztusiła Anusia drżącym głosem. – Tak, jak wtedy w banku! Jezu! A jak mnie poznał?! Co ja mam teraz zrobić?!

– Mówisz, że to ten bandzior? Prokurator dał ci wizytówkę – przypomniał sobie Patryk. – Zadzwoń do niego i powiedz, że go rozpoznałaś. Też go sobie obejrzałem. Służę rysopisem w razie czego.

– Ale ja go nie rozpoznałam! Wpadłam na niego, on się odezwał, zobaczyłam buty i przestałam widzieć wszystko inne! – jęknęła Anusia. – Co mam powiedzieć temu prokuratorowi? Wiesz, ilu takich jest w Kraśniku?

– Tym to już oni będą się martwić – uspokoił ją Patryk. – Ja mu się

zdążyłem przyjrzeć. I jestem pewny, że kierowca wiceburmistrza go zna, bo razem wyszli. Może od razu...

– Potem. Muszę się pozbierać, bo głupot nagadam. – Anusia wzięła głęboki oddech i poprosiła: – Podrzucić mnie do zakładu. Jak się czymś zajmę, najszybciej dojdę do siebie. Tylko... – zadygotała.

– Odstawię matce samochód i natychmiast wracam – obiecał Patryk. – Będę u ciebie warował, dopóki nie zamkniesz. Najwyżej posiedzę na zapleczu.

– Dam ci klucze. Mam przy sobie komplet taty. Ten z ząbkami jest od zaplecza. Musisz zejść z tyłu od parkingu. Te brązowe drzwi to moje. Nawet lepiej, bo gdyby cię zobaczyła któraś klientka, od razu by się zaczęło gadanie, że kawalera sobie przygruchałam. Nie chcę.

– Kawalera czy plotek?

– Ani tego, ani tego... Dzięki. Chyba jestem tchórz, ale naprawdę się boję.

W czerwonym audi, które właśnie ruszało z przycmentarnego parkingu, rozmawiali Jerczyk i Szczęsny.

– Chyba mamy przełom. – Łukasz zatarł ręce. – Widziałeś? Zdzisio wpadł na tę fryzjerkę, odezwał się, a ona wyglądała, jakby ducha zobaczyła. Coś mi się wydaje, że obaj braciszkanie brali udział w tym skoku.

– Nie usłyszałem, co powiedział, ale widzi mi się, że go rozpoznała – przyznał prokurator. – W zeznaniach wspominała, że ją zelżył jakoś dziwnie. Może teraz też mu się wyrwało. No i mamy dyktafon. Musiała go ta Lisiec zostawić u Pawła jako zabezpieczenie... Dobra, co robimy? Widziałeś może, czym oni przyjechali na ten pogrzeb?

– Nie motorem. – Szczęsny pokręcił głową. – Służbową bryką z Urzędu Miasta. Widocznie wiceburmistrz wydelegował swojego kierowcę,

bo wieniec był od władz... Co robimy? Ty przesłuchaj, co tam Luiza nagrała, a ja wrócę do siebie i wypytam Tadzia, czego się dowiedział. Wczoraj przez cały dzień kręcił się po Granicznej. A potem wezwiemy tych Gargulców na pogawędkę.

– Gargulów – poprawił Krzysztof i od razu zażądał: – U mnie.

– Jasne, że u ciebie. Na komendzie stary od razu by sprawę rozdmuchał.

Anusia z żalem powiodła wzrokiem za odjeżdżającym Patrykiem, westchnęła i zabrała się do otwierania drzwi. Trochę jej zeszło, bo ręce jej drżały. Scena na cmentarzu kosztowała ją wiele nerwów. Żeby się uspokoić, zaczęła przekładać akcesoria na blacie pod lustrem.

Dzwoneczek u drzwi oznajmił klienta. Odwróciła się i zamarła. Do środka weszli dwaj młodzieńcy. Jednego poznała od razu – to był ten, który życzył sobie zupełnie niepotrzebnych postrzyżyn. Drugi miał na nogach buty z pomarańczowymi podeszwami.

Na widok jej miny, obaj panowie spojrzeli na siebie, a ten, który wyglądał na starszego, stwierdził:

– Widzisz? Mówiłem, że cię poznała. Było się odzywać, gamoniu? Teraz mamy kłopot... Przykro mi, paniusiu, ale musisz pojechać z nami.

– A może tu... – wyrwał się drugi.

– Żadne „tu”. W każdej chwili może ktoś wejść... Zobacz, czy jest wyjście z tyłu. Jeśli jest, przestaw brykę pod same drzwi. Po co ktoś ma nas przyuważać... Nie bój się, paniusiu – powiedział, gdy kumpla wymiotło. – Nic ci nie zrobimy. Przez ciebie musimy przyspieszyć wyjazd, ale to już nasz problem. Ty sobie przez ten czas posiedzisz w darmowym hotelu...

– Ho... hotelu? – Anusia spojrzała na niego z przerażeniem. – Ja mam małe dziecko... Przysięgam, nikomu nic nie powiem!

– Może nie powiesz, a może powiesz. – Młodzian wzruszył ramionami. – Nie będę ryzykował. Posiedzisz, mówię, a jak będziemy się zwijać, zadzwonimy do twoich i małżonek przyjedzie po odbiór... Dobra, młody już pewnie czeka. Idziemy paniusiu! – Popchnął ją w stronę zaplecza.

Anusi nie przeszło przez usta, że żaden małżonek nie przyjedzie, ale gorączkowo zaczęła kombinować, jak opóźnić wyjazd z nadzieją, że Patryk zdąży dojść i przestraszeni napastnicy uciekną.

– Ja... Zdenerwowałam się... – wyjąkała piskliwym ze strachu głosem. – Muszę do łazienki...

Starszy Gargul przyjrzał się jej sceptycznie, ale widocznie widok jej pozieleniałej twarzy przekonał go, bo machnął ręką.

– Idź. Tylko szybko! I nic nie kombinuj – przypomniały mu się oglądane filmy kryminalne, gdy to ofiara zostawiała w pomieszczeniach sanitarnych wiadomość dla potencjalnych zbawców – bo sprawdzę.

Anusia weszła do łazienki, oparła się o drzwi, opanowała dygot i pośpiesznie próbowała zebrać myśli. W kieszeni fartucha natrafiła na wizytówkę, którą dał jej prokurator Jerczyk. Przez chwilę obracała ją bezmyślnie w palcach, potem rzuciła się w kierunku sedesu, spuściła wodę i podeszła do umywalki. Tkwiła przy niej, przyczepiona magnesem, kostka mydła. Złapała ją i wetknęła kartonik między magnes a mydło z nadzieją, że złoczyńca go nie zauważy, a Patryk przeciwnie – wykaże się nadludzką inteligencją i od razu będzie wiedział, gdzie szukać.

Kiedy otwierała drzwi, uderzyła ją myśl, że ona sama właśnie wykazała się konkursową tępotą. Nawet, jeśli Patryk znajdzie wizytówkę, nie przyjdzie mu do głowy, że właścicielka zakładu została porwana. Najwyżej pomyśli, że Anusia jest straszliwie roztargniona i dlatego utyka, gdzie popadnie to, co akurat trzyma w ręku. I zniechęci się jeszcze bardziej

niż wtedy w liceum... Wiadomość! Trzeba mu napisać! Tak, żeby złoczyńca nie zrozumiał, a Patryk od razu załapał!

Ubierając się w towarzystwie starszego bandziora, Anusia zastanawiała się z rozpaczliwym natężeniem, co może spowodować, żeby facetowi włączył się tryb myślenia. Nie miała w tej materii żadnego doświadczenia. Nagle przyszło jej do głowy, że jedynie obraza może wyrwać przedstawiciela płci odmiennej z tego przyjemnego stanu lekceważenia, jaki na co dzień przejawia wobec kobiet.

– Muszę napisać kartkę! – kwiknęła zniecierpliwiona, łapiąc bandziora za rękaw kurtki. – Bo on tu wróci i narobi rabanu! On nie wierzy, że jakaś dziewczyna go nie chce! Będzie się dobijał!

Starszy Gargul popatrzył na nią całkowicie zdezorientowany.

– Kto narobi rabanu? – zapytał nieufnie.

– Patryk! – Anusia przydeptała chwilowo sumienie, które coś tam popiskiwało i zaczęła bez miłosierdzia szkalować Karwicza. – Powiedział, że zaraz wróci! Jak mu nie otworzę, pomyśli, że specjalnie się zamknęłam i polecą na tyły! I będzie się tłukł, aż ktoś nie wytrzyma i wezwie policję!

Złoczyńca w dalszym ciągu przyglądał się jej w milczeniu. Wreszcie coś mu zaświtało.

– To ten lalusz, co cię odwiózł, tak?

Anusia żywo pokiwała głową.

– No dobra. Pisz. Tylko bez głupich pomysłów. Umiem czytać.

Panna Orzechowska wyszarpała nerwowo z szuflady biurka starą fakturę na szampony i na czystej stronie zaczęła pisać wielkimi wołami: **JESTEŚ OKROPNYM KIEROWCĄ. I TEN DRUGI TEŻ. WIĘCEJ NIE PRZYCHODŹ, BO PÓJDE NA POLICJĘ!!!**

– Jaki drugi? – zapytał podejrzliwie starszy Gargul. – Mówiłaś o

jednym?

– Bo on ma kolegę – wyjaśniła Anusia drżącym głosem. – Przeważnie razem wszędzie chodzą.

Złoczyńca przypomniał sobie, że istotnie na ulicy widywał Patryka z jakimś krępyim osiłkiem i kiwnął głową.

– Dobra. Gdzie to powieszisz?

– Na tylnych drzwiach. – Anusia złapała z biurka przezroczystą taśmę klejącą, wzięła głęboki oddech, poprosiła w duchu swojego Anioła Stróża o specjalną ochronę i, u boku złoczyńcy, opuściła zakład.

Patryk musiał jeszcze zdać relację z uroczystości pogrzebowych Luizy Lisiec współpracownicom matki, które obstały go szczerze, korzystając z przerwy w zajęciach, a gdy wreszcie udało mu się wymknąć, otarł pot z czoła. Idąc pośpiesznie do salonu Anusi, zastanawiał się, skąd w ludziach bierze się to niezdrowe zainteresowanie egzystencją i śmiercią bliźnich.

Nie zachodził od strony przystanku (a pewnie by się zdziwił, widząc wywieszkę ZAMKNIĘTE), tylko od razu pomaszerował na parking z tyłu, pogwizdując pod nosem i obracając na palcu kółko z kluczami. Dotarł do brązowych drzwi opisanych przez Anusię, wybrał klucz z ząbkami, o którym mówiła i już miał włożyć go do zamka, gdy rzuciła mu się w oczy duża kartka. Przeczytał ją odruchowo i wytrzeszczył oczy w osłupieniu. Cóż, na litość boską, mogła mu mieć do zarzucenia? Wiózł ją tylko raz i natychmiast uznała, że jest okropnym kierowcą? Może lubi szybką jazdę? No trudno, żeby udawał Kubicę w kondukcje żałobnym.

Uraza przesłoniła Patrykowi cały świat, a pogłębiła ją pogróżka. Odbiło jej? Policją go straszy, kiedy wystarczy powiedzieć, że nie życzy sobie jego wizyt? To po cholere dawała mu klucze?!

Karwicz zrobił gwałtowny zwrot w tył. Bez łaski! Co ten Orzeszek

sobie myśli? Że jest jedyna na świecie? *Sorry*, Blondie, ale matkę to masz porąbaną.

Nic dziwnego, że tatuś wolał się ewakuować... Najpierw daje klucze, a potem głupoty wypisuje, żeby każdy mógł prze...

Patrykowi stanęła nagle przed oczami scena na cmentarzu, przerażenie Anusi i jej wyraźny żal, kiedy zostawiał ją samą przed zakładem. Coś go tknęło. Zapomniał o swoich pretensjach, odwrócił się ku drzwiom, zdarł z nich kartkę i jeszcze raz uważnie przeczytał. Myśl, człowieku – musztrował się w duchu. – Coś ona chciała ci dać do zrozumienia. Myśl, bo cię uzna za debila... Dobra, jestem okropnym kierowcą. Niech jej będzie... I TEN DRUGI TEŻ... Jaki drugi?

Znowu przypomniał sobie scenę na cmentarzu i moment, kiedy znajomy mu kierowca wiceburmistrza łapie za ramię palanta, który wpadł na Anusię, po czym obaj znikają. Zaraz... Rozpoznała palanta jako napastnika z banku. A było ich dwóch... Jezu, oni też mogli ją rozpoznać!

Patryk otworzył drzwi i wpadł do środka jak pershing z nadzieją, że złoczyńcy nie zrobili dziewczynie krzywdy. Przeszukał wszystkie kąty, ale nigdzie nie znalazł ani Anusi, ani żadnych podpowiedzi, gdzie powinien jej szukać. Niby wszystko było w porządku. I pewnie dałby sobie spokój, gdyby nie to, że wspominała o klientce. Tylko dlatego wróciła do zakładu. Poznał ją już trochę i wiedział, że dotrzymuje słowa. Zniknęła, zatem...

Kartka! Musi skupić się na jej treści i zrozumieć, co dziewczyna chciała mu przekazać. OKROPNY KIEROWCA to może być ten palant od wiceburmistrza. TEN DRUGI to chyba ten, co ją zelżył w banku i na cmentarzu. POLICJA... Na pewno chciała, żeby zawiadomić o jej zniknięciu policję... Cholera, że też nie zapisał sobie numeru do tego prokuratora!

Bałwan głupi! W komórce kłębią się kompletnie nieprzydatne numery

do różnej maści panienek, a tego, który właśnie jest mu najbardziej potrzebny, nie ma! Jeśli Anusi coś się stanie, jak on spojrzy w oczy małej Blondie?

Patryk, któremu serce ścisnął strach o dziewczynę, doznał nagłej eksplozji inteligencji i przypomniał sobie, że przecież ma w policji kumpla z podwórka. Tadzio był w porządku, niejedno w szczenięcych latach razem przeszkrobali, ale żaden z nich drugiego nie wydał. No i numer Tadzia miał, dziwnym trafem, w kontaktach, bo niedawno wpadli na siebie przypadkiem i spędzili przyjemny wieczór w knajpie, wymieniając aktualne informacje na swój temat.

Dobra. Zadzwoń do Tadzia. Może podpowie, co dalej. Gdyby zadzwonił na komendę, to go wyśmieją. Co im powie? Że podejrzewa kierowcę wiceburmistrza i tego drugiego pacana o porwanie Anny Orzechowskiej? Nawet nazwiskami nie dysponował. Dowodów też żadnych nie miał.

Usiadł przy biurku Anusi i wypukał numer kumpla.

– Sierżant Tadeusz Skotnicki. Sł...

– Tadzio! Patryk mówi! Karwicz! Musisz mi pomóc! Ale szybko!

– Patyk, to ty? Jakie „pomóc”, człowieku! Ja w pracy jestem! Wytrzymaj do jutra, co?

– Do żadnego jutra! – wrzasnął zdesperowany Patryk. – Dziewczynę mi porwali! Była świadkiem tego skoku na bank! Rozpoznała bandziora, a teraz zniknęła! Pomóż mi, cholera, bo nie wiem, co zrobić! Pojadę do Urzędu Miasta, złapię tego buca i skuję mu mordę!

– Zaraz, zaraz... Do Urzędu Miasta? – Tadzio wyraźnie się ożywił. – Jakiego buca? O kim ty mówisz?

– Nie wiem, jak się nazywa! – Patryk w dalszym ciągu wrzeszczał, bo

wszystko w nim rwało się do czynu. – Kierowcą tam jest! Wiceburmistrza wozi! Zrób coś, bo...

– Gdzie jesteś?

– W zakładzie Anusi. Dała mi klucze i zostawiła kartkę. I...

– Gdzie to jest?

– Na Mickiewicza. Z tyłu za przystankiem, naprzeciwko parku...

– Siedź na tyłku i czekaj na mnie – polecił Tadzio. – Zaraz tam będę.

Patryk, nieco pocieszony obietnicą kolegi, który wszak powinien znać się na rzeczy, wetknął Anusinę epistołę do kieszeni kurtki, zamknął starannie tylne drzwi i obszedł budynek dookoła. Nie miał pojęcia, z której strony kumpel podjedzie, więc na wszelki wypadek stanął w takim miejscu, by mieć na oku i skrzyżowanie i zjazd z głównej ulicy miasta.

Sierżant Skotnicki zajechał od strony domków. Dopiero, kiedy otworzył drzwiczki i zatrąbił, Patryk go rozpoznał. Ani on, ani samochód nie wyglądali na przynależnych do policji i Karwicz poczuł coś w rodzaju rozczarowania. Kumpel nie dał mu jednakże czasu roztrząsanie dylematów duchowych. Ruszył jak torpeda i zażądał:

– Teraz gadaj.

Karwicz najpierw opowiedział o przeżyciach Anusi w czasie napadu na bank, potem opisał scenę na cmentarzu, a na koniec podetknął koledze pod nos zdartą z drzwi kartkę i streścił wnioski, które wyciągnął po jej przeczytaniu.

– Dobrze kombinujesz. – Tadzio przeczytał wiadomość i pokiwał głową. – Właśnie rozmawiałem z Łukaszem. To on prowadzi śledztwo. Oba właściwie, bo i napad i zabójstwo. Był na cmentarzu z prokuratorem i widzieli, że go rozpoznała... Chyba wiem, gdzie ją trzymają. Możliwe, że nawet widziałem, jak ją przywieźli, ale akurat wtedy Łukasz mnie odwołał

na komendę...

– Zabójstwo? – Patryk struchlał i spojrział na niego z przerażeniem. – Jakie zabójstwo?

– Szczęsny i Jerczyk uważają, że to oni skasowali tę dziennikarkę, bo za dużo wiedziała – powiedział Tadzio i zjechał z Krasieńskiego w boczną ulicę. – Właściwie powinienem cię wysadzić, bo jesteś...

– Zapomnij! – Patryk rzucił mu wściekle spojrzenie. – Chyba że mnie od razu skujesz i wsadzisz! Jadę z tobą! Zatłukę tych drani, jeśli jej coś zrobili!

– Nie panikuj. Nie zdążyli. Widziałem, jak Adaś wjeżdża bryką na podwórko, co mnie zdziwiło, bo przeważnie podrzucał braciszka pod furtkę i jechał dalej, ale akurat Łukasz zadzwonił i nie zdążyłem zobaczyć, ile sztuk wysiadło... Ale głupki – Pokręcił głową z politowaniem. – Musieli wpaść w panikę, kiedy ich rozpoznała, i nic mądrzejszego nie przyszło im do głowy. No nic. I tak Łukasz mi kazał obserwować dom, to zobaczymy na miejscu, co się dzieje. Jak bryki nie ma, to znaczy, że Adaś wrócił do roboty. Nie ma strachu. Gdyby naprawdę chcieli się jej pozbyć, załatwiliby ją od razu w tym zakładzie.

– Zatłukę obu, jeśli spadnie jej choć włos z głowy! – zagroził Patryk.

– To naprawdę twoja dziewczyna? Co ci się stało? Zmieniłeś światopogląd? Bo, kiedy się ostatnio widzieliśmy, wypatrzyłeś dwie i nie mogłeś się zdecydować którą...

– Naprawdę! – stwierdził Patryk stanowczo i dodał uczciwie: – Tylko ona jeszcze o tym nie wie.

– Punkty zbierasz, tak? – zaśmiał się Tadzio. – Lepszy cwaniaczek z ciebie. Dzielny książkę ratuje z opresji piękną księżniczkę, a ona mu pada w ramiona... No nie wiem. Teraz nieurodzaj na księżniczki. Ja jeszcze żadnej

nie znalazłem.

– Obiecałem jej córce, że się zaopiekuję matką – powiedział twardo Patryk. – I spaprałem sprawę. Muszę ją z tego wyciągnąć. Całą i zdrową.

– To ona i córką dysponuje? – zdziwił się Tadzio i zagwizdał. – Ejże, ejże. A nie wierzyłem, że moje piękne oczy kiedykolwiek zobaczą, jak Patyk – Latawiec się pogrąża... Dobra. – Zjechał w polną drogę i zatrzymał samochód na placu, na którym stał dom w surowym stanie. – Mój kuzyn się tu buduje. Nikogo nie dziwi, że tu parkuję... Chyba powinienem cię... – Popatrzył na kolegę z wyraźnym wahaniem i w końcu machnął ręką. – Widzę, że cię nosi. Pójdiesz ze mną, ale pod jednym warunkiem. Żadnych komandoskich akcji na własną rękę. Gargule mieszkają tu niedaleko. Znalazłem sobie przyjemny punkt obserwacyjny, bo już od paru dni im się przyglądam. Kicniemy sobie tam i poczekamy, aż Adaś wróci z roboty. Przeważnie przyjeżdża swoim rżęchem koło siedemnastej...

– Będziemy tak czekać jak półgłówki? – zdenerwował się Patryk. – Dzwon do tego swojego Łukasza! Może się da wcześniej! Ona się boi na pewno!

Sierżant Skotnicki podrapał się po kędzierzawej czuprynie i rzucił kumplowi niechętnie spojrzenie. Wcale nie miał ochoty zawiadamiać Szczęsnego. Chciał osobiście złapać obu bandziorów na gorącym uczynku i dostarczyć ich Łukaszowi razem z zebranymi przez siebie dowodami. Piastował w duszy nadzieję, że po takim wyczynie będzie mógł zostać jego stałym partnerem, bo lubił go i cenił. Pozostali pracownicy kraśnickiej komendy robili, co mogli, by go zniechęcić do pracy. Uważali go za smarkacza, któremu kurs namieszał w głowie i wyobraża sobie, że prawo i sprawiedliwość to norma. Szczęsny przeciwnie. Może go i bawił zapach wykazywany przez młodszego kolegę, ale starał się go nie gasić.

Tadzio nagle poczuł, że szarpie nim rozterka. Co w takiej sytuacji zrobiłby doświadczony gliniarz? Chyba jednak powinien zawiadomić Łukasza, jak wygląda sytuacja. To on prowadzi śledztwo i w razie jakiegokolwiek wpadki to on odpowie za wszystko.

Sierżant Skotnicki zlekceważył policyjny nadajnik i zadzwonił na komórkę Szczęsnego. Złożył krótki raport, przyznał się do obecności Karwicza i potulnie przyjął do wiadomości, że ma czekać na Łukasza przy samochodzie.

Przerażona Anusia w towarzystwie braci Gargulów po raz pierwszy i jedyny miała okazję zażyć przejażdżki limuzyną należącą do Urzędu Miasta. Zaszczytu nie doceniła. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić i jak się zachować, żeby złoczyńców nie sprowokować do agresywnego zachowania. Nigdy nie lubiła filmów kryminalnych właśnie dlatego, że często pokazywały brutalność przestępców. Teraz gorzko żałowała swojej ignorancji w tej materii. Gdyby oglądała filmy akcji, jak większość przeciętnych obywateli, wiedziałaby co robić. A tak? Przysięgła sobie w duchu, że – jeśli uda jej się przeżyć to porwanie – będzie oglądała każdy film sensacyjny, jaki znajdzie w programie.

– Wyłaż, Zdzisiek. Bramę otwórz. Podjadę pod same drzwi, żeby jej nikt nie widział – oznajmił kierowca, zatrzymując pojazd przed mocno zaniedbanym domostwem. – Nie bój się, paniusiu. – Odwrócił się do milczącej dziewczyny. – Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś wieczorem będziesz we własnym domu. A na razie musisz skorzystać z naszej gościnności.

A jak pójdzie źle? – przemknęło przez głowę struchlałej Anusi i natychmiast nakazała sobie: – Myśl pozytywnie. Wszystko będzie dobrze.

Jeszcze dziś wrócę do Ewuni i taty... Boże, nigdy więcej nie wyjdę z domu...
Myśl pozytywnie. Wszystko będzie...

– Ty, Adaś, nie mógłbyś się jakoś wcześniej wyrwać z roboty? – zapytał ten w charakterystycznym obuwiu, kiedy obaj prowadzili ją do środka. – Co ja tu z nią będę robił przez tyle godzin? Na motorze bym pojeździł...

– Zapomnij o motorze! – warknął starszy złowrogo. – Gliny chcesz ściągnąć? Napatoczy się jakiś nadgorliwy... Na komputerze pograj, jak nie masz co robić.

– A ona? Związać ją, czy co?

– Zamknij ją w komórce. Pusta jest. Tylko jakiś stołek jej daj, bo jak siądzie na ziemi, to wilka dostanie. I niech ci nic głupiego nie przyjdzie do głowy! Teraz najważniejsze, żeby się stąd zmyć bez wywoływania podejrzeń. Rozumiesz, pacanie?

– Co mam nie rozumieć. – Zdzisiek wzruszył ramionami. – Zaraz ją wyprowadzę... Ej, jak będziesz wracał, jakieś zarcie byś przywiózł! Głodny jestem!

Anusia siedziała na niskim drewnianym stołeczku i czekała, aż jej oczy przywykną do ciemności. Kiedy ją prowadzono do tej ciemnicy, zdążyła zauważyć, że to coś, co złoczyńca nazwał komórką, znajduje się w zapuszczonym ogródku na tyłach domu i wygląda jak zbudowany z pocerniałego drewna klocek. Poczowała promyk nadziei. Wyciągnęła rękę i pomacała ścianę. W dotyku przypominała drewno, więc może coś wymyśli, żeby się uwolnić. Karate nie trenowała, cegle nie dałaby rady, ale drewno... Pierwsze skojarzenie, jakie przyszło jej do głowy, to była piła. Drewno tnie się piłą, tego była pewna. Wymaga to z pewnością jakiegoś wysiłku, ale akurat by się przydał, bo zaczynało robić się jej zimno. Piłą, co prawda, nie

dysponowała, ale może gdzieś w kącie leży jakieś podobne zapomniane przez złoczyńców narzędzie. Na przykład... O, siekiera też by się nadała. Nieważne, że nigdy wcześniej nie trzymała jej w ręku. Chyba wystarczy wziąć porządny zamach i walić.

Jej wzrok już się przyzwyczyił do panującej wokół ciemności, ale uznała, że metoda palpacyjna daje większe szanse. Zsunęła się ze stołeczka, opadła na kolana i zaczęła obmacywać podłogę przed sobą. Kiedy poczuła, że coś lekkiego przesuwają się pomiędzy palcami, wzdrygnęła się z obrzydzenia i z trudem opanowała chęć wrzaśnięcia. Była pewna, że to pająk – tubylec właśnie zmienia miejsce pobytu. Dopiero po długiej chwili, kiedy już oszalałe ze strachu serce w miarę się uspokoiło, skonstatowała, że przerażającym nieprzyjacielem była wiązka słomy. Przerwała eksplorację i zaczęła się zastanawiać.

Nie możesz tak się stresować, kobieto – przekonywała samą siebie. – Jesteś dorosłą matką nieletniej córki i musisz zrobić wszystko, żeby się stąd wydostać. Pająki są wstrętne i mają stanowczo za dużo nóg, ale z pewnością nie zrobią ci krzywdy. A ci okropni porywacze mogą... Myśl, Anusia, myśl... Psiakrew, tu chyba nic nie ma. Po co komu komórka, jeśli nic w niej nie trzyma... Nie, no zaraz. Aktualnie to mnie trzyma... I wcale nie wierzę, że oni gdziekolwiek zadzwonią... Anusia, myśl, bo zostaniesz tu do końca życia, a to akurat może być niedługo... Ewuniu, skarbie, mamusia przysięga, że zrobi wszystko, żebyś nie została sierotą. Jak wrócę, znowu będziemy czytać książeczki, przytulać się... Książeczki! Co to... Trzy świnki, trzy domki. Jeden był z drewna. Co ten cholerny wilk zrobił, żeby go rozwalić? Piły nie miał...

Anusia z desperacją uderzyła ręką w ścianę i nagle ją olśniło. Telefon jej zabrali, ale zostawili torebkę. Ciekawe dlaczego... Co prawda nie

wyglądała na osobę, która nosi przy sobie mordercze narzędzia. Może uznali, że torebka i kobieta to całość nierozzerwalna? Niezbadane są tory, którymi chadzają myśli bandziorów. W każdym razie dla niej niezbadane na pewno. Nieważne. Trzeba sprawdzić zawartość torebki. Może jest w niej coś, co pozwoli jej opuścić to okropne miejsce... Dobra. Wracamy na stołeczek. Za podłogę dla torebkowych znalezisk posłużą nam własne kolana. Uszy do góry, kochana. Dasz radę.

Pierwszą rzeczą, na jaką trafiły Anusine palce, był długopis, którego używała w pracy przy wypełnianiu papierów. Dostała go od Ewuni. Wpadł małej w oko, bo miał przeraźliwie niebieską obudowę, zaś w sobie zawierał małą żaróweczkę. Żaróweczka świeciła, kiedy wciskało się guziczek dwa razy. Ewunia dostała amoku na widok gadżetu i wymusiła zakup na dziadku. Nazwała prezent żaróweczka latalecza i z dumą wręczyła matce... Zaraz! Latalecza! Anusia wcisnęła przycisk i aż pisnęła z zachwytem, gdy dojrzała mikro, bo mikro, ale światełko. Boże, jakie mądre dziecko urodziła! Ciekawe, po kim Ewa Patrycja to odziedziczyła. Po ojcu z pewnością nie. Po niej też nie bardzo. Może byli w rodzinie jacyś genialni przodkowie...

Odłożyła otwartą torebkę na stołeczek i ostrożnie podeszła do bocznej ściany. Podetknęła do niej minilatarkę i przyjrzała się z uwagą widokowi. Ściany istotnie były z drewna. Anusia wyraźnie widziała łączenia między deskami, a w pewnym miejscu dojrzała, ku swojej ogromnej radości, niewielką szparę. Ciekawe, czy udałoby się jakoś ją poszerzyć...

Podniesiona na duchu, wróciła na stołeczek, wyłączyła długopisolarce, żeby oszczędzać żaróweczkę i ponownie zaczęła grzebać w torebce. Jej dłoń trafiła na dziwnie znajomy kształt i znieruchomiała. Nożyczki! No tak. Sama je odebrała wczoraj od ojca, który porządnie je naostrzył i zapomniała zostawić w zakładzie. Błogosławiona skleroza! Teraz

się przydadzą jako narzędzie wyzwalające z kazamatów.

Anusia zamknęła starannie torebkę, położyła ją na stołeczku i podeszła do ściany. W jednej ręce dzierżyła latareczkę, w drugiej – nożyczki. Rozwarła je szeroko i jedno ostrze wepchnęła w szparę. Zebrała wszystkie siły i pociągnęła w dół. Szło ciężko, więc naparła ramieniem na deskę i nagle usłyszała trzask. Deska pękła. Anusia odskoczyła, przerażona, że usłyszeli go również wszyscy okoliczni mieszkańcy, a już na pewno pozostający w pobliżu złoczyńca. Spojrzała na trzymane w dłoni nożyczki i, zdesperowana, pomyślała, że jeśli teraz porywacz wejdzie, dźgnie go i ucieknie z krzykiem. Widziała w pobliżu domy. Dopadnie pierwszych z brzegu drzwi i będzie w nie łomotać, dopóki ktoś nie otworzy.

I tu pojawił się kolejny problem. Jezus Maria! Gdzie powinno się dźgać złoczyńcę, żeby go zbytnio nie poszkodować i nie przekroczyć granic obrony koniecznej? W klatkę piersiową lepiej nie, bo tam dużo kości. Przy swoim szczęściu trafiłaby na którąś i nie unieszkodliwiłaby bandyty, a jedynie wprawiła go w szal. W brzuch? Nie, w brzuch to niehumanitarnie. Gdzieś słyszała, że podobno żołnierze najbardziej boją się ran brzucha. No, przecież nie jest sadystką. Nawet bandzior to człowiek... Rany boskie, gdzie ma celować?

Po długim i nieco chaotycznym namyśle Anusia doszła do wniosku, że najbezpieczniej będzie dźgnąć bandytę w rękę. Wielkiej krzywdy nie powinna mu zrobić, a kiedy odruchowo złapie się za zranioną kończynę, osoba dźgająca zdąży uciec. Po dalszym namyśle dotarło do niej, że jeśli do tej pory nikt się nie pokazał, to znaczy, że złoczyńca ogłuchł chwilowo i odgłosy ucieczki więźnia do niego nie dotarły.

Śmielej naparła na pękniętą deskę, która zrobiła jej przyjemność i się złamała. Zachwycona swoją niszczycielską działalnością Anusia wzięła

porządny zamach i kopnęła w nadszarpięte czasem i porami roku drewno. Deska poleciała w badyłe otaczające komórkę i do środka wpadło świeże powietrze. Anusia przysunęła twarz do powstałej dziury i skonstatowała, że na dworze zaczyna się szarówka. Zdziwiła się lekko i zerknęła na zegarek. Było po piętnastej. Kurczę, zostało jej mało czasu. W Kraśniku większość ludzi kończy pracę o piętnastej. Ten drugi porywacz lada chwila może wrócić. Nie ma na co czekać. Jeszcze jedna deska i może się jakoś przeciśnie.

Zacisnęła zęby i zabrała się do roboty.

– To ten twój kumpel, Tadziu? – Łukasz, ledwie wysiadł z samochodu, bystro przyjrzał się Patrykowi. – Trudno – westchnął. – Nie mamy czasu, żeby pana wyekspediować w jakieś bezpieczne...

– Nie ma takiej opcji – powiedział twardo Karwicz. – Porwali moją dziewczynę. Nie będę siedział jak kołek. Bić się umiem. W razie czego z przyjemnością przywalę palantom po mordach.

Szczęśny powstrzymał jęk i z wyrzutem popatrzył na Skotnickiego.

– Panie Karwicz, rzecz polega na tym, że pana tu w ogóle nie ma – oświadczył stanowczo. – I żadnego walenia po mordach, bo wszyscy trzej będziemy mieć nieprzyjemności. Ci dwaj mają na sumieniu zabójstwo Luizy Lisiec...

– Anusi też mogą krzywdę zrobić!

– Po to tu obaj z Tadziem jesteśmy, żeby nie zrobili – powiedział uspokajająco Łukasz. – Po twoim telefonie – zwrócił się do sierżanta – pogadałem z Jerczykiem i wymyśliliśmy, że trochę ich postraszymy. Przy improwizacji łatwiej o błędy. Starszy Gargul dostał nakaz stawienia się jutro na komendzie w związku z prowadzonym śledztwem.

– Tak szybko? – zdziwił się Tadzio.

– Zrobił nam przyjemność i przywiózł swojego szefa na pogawędkę do komendanta – wyjaśnił Szczęsny ze złośliwym uśmieszkiem. – Wpadłem na niego na parkingu, jak wracałem z prokuratury i już nikogo nie fatygowałem. Dałem mu pismo do ręki i poprosiłem o pokwitowanie. Zaskoczony był kompletnie i coś mi się widzi, że dzisiaj wróci z pracy wcześniej niż zwykle... Dobra, panowie. Idziemy. I niech pan nie zapomina, panie Karwicz, że pana tu nie ma.

Z drugą deską nie poszło tak łatwo. Anusia pożałowała gorąco, że nie ma przy niej Misia, który na pokazach nie takie deski rozwalał. Po którejś z kolei nieudanej próbie przysiadła załamana na stołeczku i zaczęła się zastanawiać, jak zmobilizować siły do wyłamania tej cholерnej przeszkody. Przypomniały jej się zwierzenia Lali Minatówny. Przyznała ona, że jeśli jakaś rzecz stawia jej opór (konkretnie miała na myśli porządnie zakręcone słoiki z różną zawartością, z którymi jej delikatna matka nie dawała sobie rady), wraca do wspomnień z liceum, przed oczami stają jej dawni prześladowcy, wyobraża sobie, że to nad nimi się pastwi i natychmiast dostaje nadludzkiej siły. Może to i dobry pomysł. Tylko kogo by tu znaleźć do pastwienia? Anusia natury psychopatki nie miała i o przykrościach wolała jak najszybciej zapominać. Pewnie, niektóre klientki potrafiły nieźle dać w kość, ale wyrzucała to z pamięci, kiedy tylko wychodziła z zakładu. Powrót do domu przynosił natychmiastowe uczucie ukojenia, a buziak córeczki nagradzał wszystkie przykrości.

Skup się, Anusia – nakazała sobie stanowczo. – Zapomnij na chwilę o przykazaniach i zastanów się, kogo byś z przyjemnością kopnęła w tyłek. Najlepiej tak, żeby poleciał od razu na księżyc... Muszę wrócić, bo dziecko mnie potrzebuje... Moja Ewunia kochana – rozrzewniła się nagle. – Boże, jak to dobrze, że ona wrodziła się we mnie i w tatę, a nie w tamtą rodzinę.

Jezu, ale by mi się teściowa trafiła – pomyślała ze zgrozą i przypomniało jej się coś, co sprawiło, że aż poczerwieniała ze złości. – Co za babsko! Mijała nas na ulicy i jeszcze miała czelność powiedzieć, że sam Bóg ustrzegł jej syna, bo od razu widać, że to nie jego! Wstrętna meduza! Dobrze, że Ewunia była jeszcze za mała, żeby zrozumieć, o czym ta zołza mówi! Och, żałuję, że jestem za dobrze wychowana i nic jej nie powiedziałam! Paskudna, gruba wiedźma! A nos ma jak pogrzebacz! I jadu więcej niż u żmii! Och, kopnęłabym ją z przyjemnością w ten tłusty tyłek!

A właśnie, że kopnę! Za Ewunię i za siebie! I za tatę też! Bo mu naubliżała!

Zerwała się jak błyskawica, doskoczyła do wyrwy w ścianie, wzięła potężny zamach i z całej siły kopnęła w deskę obok. Deska nie miała szans w tym starciu. Odpadła i poległa w zaroślach.

Z Anusi zeszło powietrze. Zapatrzyła się, oszołomiona sukcesem, w otwór, który prowadził ku wolności.

– To działa – oznajmiła radosnym szeptem rudo – brązowym badyłom. – Lala miała rację!

Podniosła ze stołeczka torebkę, precyzyjnie się z wysiłkiem przez dziurę i już miała przemknąć z ogrodu na podwórko, by uciec z niegościnniej posesji, gdy usłyszała warkot podjeżdżającego samochodu. Ogarnęła ją panika. Nawet nie przeszło jej przez myśl, by sforsować niewysoki płot i uciekać na pola, które rozciągały się za ogródkiem. Rzuciła rozpaczliwie wzrokiem wokół i zobaczyła rozłożyste drzewo rosnące obok komórki. Niewiele myśląc, wspięła się na nie i zamarła przytulona do konarów.

– Proszę cię, drzewko kochane – wyszeptała błagalnie, gładząc szorstką korę – zrób coś, żeby myśleli, że mnie tu nie ma!

Kiedy starszy Gargul wjechał na podwórko swoim nieco

sfatygowanym samochodem, dwóch stróżów prawa plus dzielny obrońca tkwili w pobliżu dobrze ukryci za stertą przygotowanej do transportu wikliny.

Adam pośpiesznie wysiadł i pognął do domu. Trójka obserwatorów na znak Szczęsnego przemknęła na podwórze, dziękując w duchu naturze za szarówkę, która była ich sprzymierzeńcem. Łukasz gestem wskazał okno, w którym paliło się światło. Przypadli do niego i skulili się pod ścianą.

– Co tak wcześnie? – zdziwił się młodszy Gargul, odrywając nieprzytomny wzrok od komputera. – Masz jakieś żarcie? Głodny jestem niemożliwie.

– To żryj szybko. Pizzę przywiozłem. – Starszy rzucił na stół duży karton. – Cholera! Dostałem wezwanie od glin na jutro! Musimy jak najszybciej stąd wypieprzać!

– A co z dziewczyną? – Zdzisiek niecierpliwie rozdarł opakowanie i złapał kawałek gorącej jeszcze pizzy. – Może ją uciszyć? Jak tę Lisiec? Co prawda, ją to tak przypadkiem. Nie miałem pojęcia, że ona ma taką cienką szyję... Ale ta też chudzina. Dałbym radę bez problemu.

Stojący pod oknem Patryk stężał i zrobił ruch, jakby miał zamiar rzucić się do okna, ale na jego ramieniu zacisnęła się ciężka ręka Tadzia.

– Nie mamy czasu! – Adam zaczął chodzić po zagraconym pokoju. – Zabieramy szmal i zjeżdżamy! Jak dobrze przycisnę, jeszcze dziś w nocy przekroczymy granicę i gdzieś się przyczaimy. Mamy za co. Załatwiłem dwa paszporty na ruskie nazwiska...

– Pogięło cię?! Kurrrdybanek pospolity, nie znam ruskiego!

W tym momencie Szczęsny zrozumiał, dlaczego świadek rozpoznał złoczyńcę. Określenie było trudne do zapamiętania, ale z pewnością rzuciło się w uszy.

– Nikt cię nie będzie sprawdzał, gamoniu! Na zachodzie Rusek czy Polak to jeden diabeł. Oni tam poza angielskim czy niemieckim nie rozróżniają języków... Zamknąłeś ją?

– No – przytaknął Zdzisiek niewyraźnie, bo z pełną gębą.

– I dobrze. Niech siedzi. Wylezie, to dobrze, nie, to jej pech... Zabieramy pieniądze i laptopa...

– Motor!

– A gdzie go wetknę? – rozzłościł się Adam. – Na dach? Dotrzemy do matki, kupisz sobie drugi. Lepszy niż ten... Cholera, wszystko przez tę Lisiec! Jakim cudem ta suka wszystko nagrała... Nikt by nas nie powiązał z tym skokiem. Tym idiotkom z banku nawet do głowy nie przyszło, że mnie znają. Gapiły się jak na wilkołaka. – Zarechotał z satysfakcją. – Wścibska suka... A ty też gamoń jesteś! Mówiłem, żebyś gadał tylko to, co ci na kartce napisałem! Miałeś się nauczyć na pamięć!

– Nauczyłem się! – odszczeknął Zdzisiek. – Wyrwało mi się, jak o mało nie poleciałem na pysk przez tę flandrę!

– To było zakląć jak normalny człowiek! Kurdybanka sobie wymyślił, palant! Co to w ogóle jest?! Myślisz, że ta fryzjerka by cię poznała, gdyby nie ten twój cholerny „kurdybanek”?

– Nie wiem, co to, ale fajnie się mówi... Ty, Adaś, myślisz, że naprawdę gliny coś na nas mają? Może to tylko takie macanie na ślepo?

– Nie wiem. – Starszy Gargul wzruszył ramionami i przystanął. – W banku śladów nie zostawiliśmy. Gęby mieliśmy zatkanie, nie wierzę, że ktoś nas rozpoznał, a kamery i tak gównem nagrały... No, poza tą fryzjerką, bo kłapałeś za dużo... Tego pendrive'a z nagraniem zabrałeś, a redaktorka już nic nie powie... Może i nic nie mają, ale nie będę ryzykował. Podobno Ala Capone wsadzili za podatki. W telewizji oglądałem.

– Ale, jak zwiejemy, będą nas podejrzewać. – Młodszy Gargul bardzo nie chciał rozstawać się z ukochanym motorem.

– No to co? Niech podejrzewają do uśmiechniętej śmierci. Dowodów nie mają, a wracać tu nie mam zamiaru... Dobra. Zeżarłeś? To leć po plecak, a ja spakuję trochę ciuchów. Gdzieś blisko granicy zatrzymamy się w jakiejś knajpie, a potem już pełny luz.

– Dlaczego dopiero blisko granicy? – spłoszył się Zdzisiek. – Z głodu zdechnę do tej pory!

– A ty byś tylko żarł i na motorze jeździł! – wkurzył się Adam. – Blisko granicy, bo tam na parkingu zawsze dużo TIR – ów. Nikt nie wypatrzy naszego pudła... No, dymaj po plecak!

Trójka panów spod okna, która z olbrzymim zainteresowaniem słuchała pogawędki obu braci, popatrzyła na siebie.

– Panie Karwicz, pan tu zostaje – polecił szeptem Łukasz.

– Ale ja...

– Pana tu nie ma! Tadzio, kicaj za samochód. Ja się im od razu pokażę, a ty w razie czego wyskakuj ze spluwą. Nie mam pojęcia, co im do łbów strzeli. Broni chyba nie mają, ale strzeżonego...

– W banku mieli – zauważył sierżant Skotnicki z nadzieją w głosie.

– Nie wierzę, że prawdziwą. Może jakie straszaki wykombinowali.

– A Anusia? – nie wytrzymał Patryk.

– Sam pan słyszał, że na razie bezpieczna. Najpierw ich unieszkodliwimy, a potem będziemy szukać. Siedź pan tu, bo będziemy mieli problem!

Patryk błysnął wściekle oczami, ale milczał. Posłusznie przytulił się do brudnej ściany domu i zamarł. Tadzio zajął pozycję za samochodem, który dawał osłonę przed ewentualnym ostrzałem (na co w duchu liczył), zaś

Szczęśny z bronią w ręku stanął z boku drzwi wejściowych.

Nie czekali długo. Pierwszy wyszedł młodszy Gargul z plecakiem w ręku. Za nim podążał obładowany Adam. Ciągnął za sobą sporej wielkości walizkę na kółkach, a na ramieniu miał torbę z laptopem.

– Cześć, chłopcy – zagaił Łukasz, kiedy byli w połowie drogi do samochodu. – Wybieracie się gdzieś? Mamy do was pilną sprawę. Obawiam się, że nieprędko będziecie mogli gdziekolwiek wyjechać. Za napad dostaniecie od trzech do dwunastu lat, a za zabójstwo nawet dożywocie.

Zaskoczenie było całkowite. Adamowi walizka wypadła z rąk i przewróciła się z hukiem, kiedy odwracał się w stronę policjanta. Młodszy Gargul stanął z rozdziawioną gębą i rzucał oczami na wszystkie strony z wyraźną nadzieją, że uda mu się zwiać, ale w tym momencie zza samochodu wyłonił się sierżant Skotnicki z bronią w ręku i szerokim uśmiechem na twarzy.

– A za porwanie grozi piętnastka – powiedział radośnie i pomachał kajdankami.

Po chwili obaj milczący i ponurzy delikwenci byli skuci i siedzieli w samochodzie Tadzia, który podjechał na posesję Gargulów. Patryk biegał jak szalenciec po całym domu, nawołując Anusię, a Łukasz pilnował, by niczego nie dotykał. Ponieważ w żadnym pomieszczeniu nie natrafili na ślad porwanej, wrócili na podwórze. Patryk, z ponurą miną, zaciskając pięści, podszedł do samochodu i złowieszczo zapytał:

– Gdzie ona jest?

Braciszkanie popatrzyli po sobie, coś im błysnęło w oczach, zrobili niewinne miny i jednocześnie zapytali:

– Kto?

Szczęśny przytrzymał Karwicza, zanim ten zdołał rzucić się na nich, a

Tadzio wyskoczył z samochodu i spokojnie powiedział:

– Chcesz siedzieć za pobicie takich dwóch gnid? Wyluzuj, Patyk. Pałac to nie jest, znajdziemy twoją panią. Pójdę z nim, co? – Spojrzał pytająco na Łukasza.

– Idź – zgodził się Szczęsny. – W domu jej nie ma, a piwnic nie zauważyłem. Przeszukajcie obejście.

Anusia miała wrażenie, że siedzi na drzewie już parę wieków. Zrobiło jej się zimno, więc znalazła sobie w miarę wygodne oparcie, objęła się rękami, żeby choć trochę się ogrzać i sama nie wiedziała, kiedy jej się przysnęło. Przyśniło się jej, że jest księżniczką, którą dwugłowy smok uwięził w wysokiej wieży. Smok był, co prawda, trochę wybrakowany, bo zamiast uczciwych smoczych, zębatych łbów miał dwie ludzkie głowy dziwnie przypominające oblicza braci Gargulów. Ogniem też nie ział, za to obrazowo dobywał z siebie pogroźki na temat tego, co ją czeka, jeśli przyzna się do rozpoznania napastników z banku. Siedziała więc w wieży, wyglądała przez małe okienko i roniła łzy, bo – gdyby nawet zjawił się jakiś wybawca – miała zbyt krótkie włosy, by je rozpuścić i wysunąć ratownikowi jako linę. A nagle zobaczyła, że pierwszy kandydat już się zbliża. Wieści o jej uwięzieniu musiały się rozejść, bo potencjalny zbawca znał jej imię.

– Anusia! – usłyszała przez sen. – Odezwij się! Gdzie jesteś!

Głos wydawał się znajomy i Anusia uśmiechnęła się z politowaniem, kiedy uświadomiła sobie, że należy do Patryka Karwicza. No i czegoż on tu szuka? Włosami zdatnymi do wspinaczki nieszczęsna ofiara smoka nie dysponuje, a Patryk, wiadomo, wysiłku nie lubi. Sam z siebie nie wylezie na szczyt, bo takich jak ona ma na pęczki.

– Anusia! Odezwij się! Żyjesz?!

No głupi jakiś, czy co – pomyślała zirytowana Anusia. – Oślepl chyba.

Przecież mnie widzi w tym oknie, a na ducha nie wyglądam. Może powinnam bardziej się wychylić?

I w tym momencie się obudziła. W samą porę, bo jeszcze chwila, a zleciałaby z drzewa.

Patryk i Tadzio skrupulatnie przeszukali całe obejście i wreszcie weszli do ogródka. Drewniana szopka rzuciła im się w oczy. Tadzio uważnie obejrzał dostęp do wnętrza znaleziska, po czym zlekceważył skobel z potężną kłódką, wziął porządny zamach i z całej siły kopnął w deskę, gdzie były zawiasy. Puściło. Szarpnął drzwi ku sobie i poświecił do środka latarką, bo było już zupełnie ciemno. Zobaczyli mały stołeczek i dziurę w bocznej ścianie.

– Była tu – stwierdził sierżant. – Sprytna kobitka. Wyrwała deski i zwała. No, Patyk, fajna laska ci się trafiła.

Patryk poczuł, że zalewa go duma, ale szybko mu przeszło. Rozejrzał się bezradnie po ogródku.

– A jak się błąka gdzieś po tych polach? – zapytał przybity. – Może jest w szoku? Ciemno i zimno. Jak ja ją teraz znajdę? Anusia! – wrzasnął z rozpaczą i nagle stał się cud.

– Mnie się to dalej śni czy nie? – usłyszeli gdzieś z góry zaspany głos. – O mamusiu, a może mi odbiło po wstrząsie i zaczynam słyszeć głosy...

– Anusia! Nic ci nie odbiło! To ja! Patryk! Gdzie jesteś?!

– Na drzewie – oznajmiła z ulgą Anusia. – Ale całkiem zdrętwiałam i chyba nie dam rady zejść...

Sierżant Skotnicki poświecił latarką ku górze i obaj panowie dojrzeli w jej poświacie przytuloną do pnia drobną, jasnowłosą postać.

– Skacz! – Patryk ustawił się pod drzewem i zachęcająco wyciągnął rękę. – Złapię cię. To nie jest wysoko.

– Jesteś pewien, że mnie złapiesz? – W głosie Anusi dźwięczała nieufność. – Robiłeś to już kiedyś?

– Nigdy – wyznał Patryk uczciwie. – Ale ciebie złapię na pewno. I już nigdy nie wypuszczę.

Żarliwość tej obietnicy nie w pełni dotarła do zmęczonej, zaspanej i zdrętwiałej z zimna Anusi. Uznała jednak, że nie ma wyjścia. Albo skoczy, albo będzie musiała spędzić na drzewie całą noc, a zaczynał brać przymrozek. Myśl, że w domu czeka na nią gorąca herbata i ciepłe łóżko, zdopingowała ją do działania.

– Uwaga! Skaczę! – poinformowała Patryka, z trudem stanęła na konarze, zamknęła na wszelki wypadek oczy i poleciała w dół.

Dochodziła dwudziesta, kiedy Anusia i Patryk stanęli w drzwiach mieszkania Orzechowskich. Po złożeniu zeznań i wniesieniu oficjalnego oskarżenia o porwanie uczynny Tadzio podwiózł ich pod sam blok.

Do przedpokoju wypadł natychmiast Wiktor Orzechowski, a za nim przykłusowała mała złotowłosa istotka, która z radosnym piskiem rzuciła się w ramiona matki. Anusia o mało się nie przewróciła, ale przytuliła dziecko z całą siłą, na jaką w tej chwili było ją stać.

– Dzięki Bogu, że zadzwoniłeś. – Orzechowski uściśnął mocno dłoń Patryka. – Ja tu już zupełnie nie wiedziałem co robić.

– Mogłem zadzwonić wcześniej – mruknął przepraszająco trochę zażenowany Karwicz. – Ale najpierw sam straciłem głowę, a potem myślałem już tylko, jak ratować Anusię. Może i dobrze, bo martwiłby się pan jeszcze bardziej...

– Chodźcie, chodźcie. Zaraz dostaniecie gorącą herbatę i coś do jedzenia...

– Mami, a cego ty jesteś taka bludna wszędzie? – Ewunia przyglądała

się matce zaintrygowana.

– Bo siedziałam najpierw w brudnej komórce, a potem na drzewie – wyjaśniła Anusia niemrawo.

– I co? Psyjemnie było?

Anusia przypomniała sobie nagle swoje przemyślenia na temat niedoszłej teściowej, które w efekcie wyzwoliły ją z więzienia, ożywiła się trochę i z pełnym satysfakcji uśmiechem powiedziała:

– A wiesz, że przyjemnie.

Ojciec popatrzył na nią ze zdumieniem, a Patryk z niedowierzaniem. Nie zauważyła tego. Podniosła się z wysiłkiem i oznajmiła pogodnie:

– Idę się kąpać. Potem, jak dam radę, to coś zjem... Aha. – Odwróciła się już w drzwiach kuchni: – Dzięki, Patryk. Byłam pewna, że zrozumiesz moją kartkę. Jestem twoją dłużniczką. Uratowałeś mnie – w ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie dodać „przed smokiem”. Była bardziej zmęczona, niż jej się zdawało.

– Naplawdę ulatowałeś mami? – Ewunia przerwała ciszę, która nagle zapanowała w kuchni.

– No, wiesz... Nie sam. – Patryk czuł się trochę niewyraźnie, bo w głosie Anusi, kiedy mówiła o kartce, dźwięczała niepokojąca uszczypliwość.

– Mam kolegę – policjanta, a on też ma kolegę – policjanta i razem...

– Ale mami powiedziała, że ty ją ulatowałeś – stwierdziła Ewunia z naciskiem. – Kocham cię za to! – Skoczyła ku niemu, błyskawicznie wdrapała się na jego kolana i obdarzyła go cmokliwym całusem.

– Ja ciebie też, Blondie – wyrwało się Patrykowi szczerze.

– A ty mnie za co?

– Za całokształt. – Zaśmiał się, ukrywając wzruszenie, jakie sprawił mu ten dziecinny buziak. – Za to, że jesteś Blondie.

– Ewunia, skarbie, przypilnuj mamy, żeby nie zasnęła w wannie, dobrze? – poprosił pośpiesznie Wiktor, stawiając na stole talerz z kanapkami.

– Bo można się utopić, wiesz? – wytłumaczyła Ewa Patrycja Karwiczowi, po czym zsunęła się na podłogę i pokłusowała do łazienki, z której po chwili dobiegło jej szczebiotliwe trajkotanie.

Wiktor Orzechowski usiadł przy stole, podsunął gościowi kanapki i herbatę, westchnął i powiedział poważnie:

– Chłopcze, nigdy nie będę w stanie odpłacić ci za to, co dzisiaj zrobiłeś. I bardzo jestem ci wdzięczny, że pomyślałeś o tym, by dać mi znać, że już wszystko w porządku. Ale Ewunia... Kiedy Anusia nie wróciła do domu o normalnej porze, a ja nie mogłem się do niej dodzwonić... – Przeciągnął drżącą dłonią po siwiejących włosach. – Ewunia przez cały czas powtarzała, że bym się nie martwił, bo „Pałyk” mamę przyprowadzi. Ona... Uważa cię za bohatera, a od jakiegoś czasu mamy z Anusią kłopot, bo... Zresztą, sam wiesz. Ciebie też Ewunia zaczepiała...

– A może ja bym się nadał, panie Wiktorze? – zapytał Patryk niepewnie. – Gdyby Anusia chciała...

Wiktor zaniemówił. Przez chwilę patrzył na chłopaka, jakby mu zniemacka wyrosły dwie głowy, a potem nagle uśmiechnął się szeroko i szeptem zapytał:

– Kochasz moją córkę? Bo ja najbardziej na świecie. Poza Ewunią. Mam tylko je obie.

– Ja też. To znaczy – zaplątał się Patryk – mam jeszcze rodzinę, ale... Kiedy dziś nie znalazłem Anusi w zakładzie, zobaczyłem tę kartkę i zrozumiałem, że została porwana... Wie pan, to była, jak do tej pory, najgorsza chwila w moim życiu. Pierwsze, o czym pomyślałem, to że już do

końca życia nie będę mógł spojrzeć w oczy małej Blondie. Bo obiecałem i nie umiałem dotrzymać. – Pokręcił głową z wyraźnym zdziwieniem. – Wie pan, moja rodzina by nie uwierzyła. Po raz pierwszy w życiu poczułem się za kogoś odpowiedzialny. I dobrze mi z tym... Jeśli one mnie zechcą – dodał z nadzieją – dam radę je utrzymać. Do tej pory co roku jeździłem do Francji na winobranie i trochę kasy zaoszczędziłem... No, dużo mi przez palce przeciekło z powodu mojej własnej głupoty – wyznał szczerze. – Ale z tym już koniec. Mam kumpla, który dysponuje sporą forszą i lubi inwestować. Moglibyśmy obaj nieźle zarobić na francuskich winach. Znam dobrze tamtejszą branżę, a Daniel Niciński ma nosa do interesów. Wie pan... Chyba się naprawdę porządnie zakochałem, bo nie przeszkadza mi nawet to, że kiedyś nieźle dała mi w łeb.

– Moja Anusia? Ale to na pewno nieumyślnie!

– No, przecież nie z premedytacją. Ale bolało tak samo – zaśmiał się Patryk.

– A... twoi rodzice? – zapytał ostrożnie Wiktor. – Jesteś pewien, że nie będą mieli nic przeciwko moim dziewczynkom? Anusia już raz została skrzywdzona. I to paskudnie. Najpierw ten, pożał się Boże, amant wyparł się Ewuni, a potem jego rodzice potraktowali ją jak... jak...

– Wiem. Słyszałem. Ma pan szczęście, że mojej matki tu nie ma – uśmiechnął się Patryk. – Gdyby to usłyszała, podniosłaby jazgot do nieba... Rodziców mam normalnych, a nawet, gdyby nie, to jestem dorosły i sam decyduję o swoim życiu. Siostra też mi się trafiła nie najgorsza. Ucieszy się, kiedy usłyszy, że wreszcie będzie miała bratową. A! – przypomniał sobie. – Moja matka zna Anusię. Pana też. Mówiła, że zawsze czesze się w waszym zakładzie. Może pan ją pamięta – taka roztrzepana z francuskim „r”...

– Pani Nicole! Ta ze Szkoły Językowej! – ucieszył się Orzechowski. –

Nie skojarzyłem... Bardzo sympatyczna osoba. Lubiłem jej słuchać. Teraz rzeczywiście chodzi do Anusi. – Widać było, że trochę mu ulżyło.

– Wie pan co? – Patryk spojrział na zegarek. – Ja wprawdzie dzwoniłem do domu, że wrócę później, ale matka pewnie się denerwuje i zamęcza ojca. Pójdę już. Jutro wpadnę i wszystko opowiem, bo dziś to chyba wszyscy mamy dosyć. – Wstał i wyciągnął rękę do gospodarza. – Ulżyło mi, że się wygadałem. Co prawda, do mnie dopiero dzisiaj dotarło, kim stała się dla mnie Anusia, ale lepiej się czuję, jak pan już wie.

– A ona też już wie? – zainteresował się Wiktor.

– Jakoś tak nie było okazji... – odparł Patryk uczciwie. – Może jutro będzie dobry moment...

W redakcji „Echa Kraśnika” wrzało jak na jarmarku, bo zespół, przetrzebiony nieco po śmierci Luizy, dokonywał heroicznych wysiłków, by złożyć kolejny wiekopomny numer pisma.

– Dziurę mam! – dramatycznie wołała Kama. – Wielką jak stodoła! Co mam z nią zrobić?!

– Daj duże zdjęcie Luizy i wspomnienie pośmiertne – poradził Konrad po głębokim namyśle. – Coś wymyślimy. Napiszemy, że Luiza była lśniąca gwiazdą na firmamencie kraśnickiego dziennikarstwa. I coś sympatycznego o niej, żeby rodzinie było przyjemnie. Bardzo uważnie słuchałem księdza w czasie pogrzebu. Ukradniemy mu trochę z tej laurki...

– Ty chcesz, żebym się udławiła własnymi słowami?! – oburzyła się Kamila. – Klawiatura mi za – strajkuje, jak zacznę pisać takie głupoty! Cholera, że też musieli zabrać komputer Luizy! Może coś ciekawego bym z niego wygrzebała!

– Możemy zatkać tę dziurę zdjęciami Filipa – zaproponowała spokojnie Luka. – Tu gdzieś leżały... – Podeszła do wolnego biurka i zaczęła

przerzucać leżące na nim papiery. – O! Są. Uważam, że bardzo ładne i stosowne do pory roku. – Rozłożyła przed sobą kilka fotografii, które Filip zlekceważył, a które przedstawiały doskonale uchwycone detale jesiennej przyrody. – Proszę. – Uniosła jedną. – Szron na koralach jarzębiny... Tu gdzieś była taka ze stadkiem jemiołuszek... Jest z czego wybrać. Możemy dać tytuł: Jesienna nostalgia.

Kama dopadła zdjęć jak sęp padliny i niecierpliwie zaczęła je przeglądać. Twarz jej trochę pojaśniała.

– Masz coś jeszcze? – Spojrzała na naburmuszonego fotografa. – Tylko nie żadne gołe baby! Coś podobnego do tych!

– Musiałbym sprawdzić w ciemni – mruknął niechętnie Filip. – Robiłem je w zeszłym tygodniu, żeby odreagować tę rewizję...

– To sprawdź! Na co czekasz?

– Mam iść do ciemni? – Filip spojrzał na nią ze strachem.

– A gdzie? Do Lublina? – warknęła zniecierpliwiona Kamila.

– Nie pójdę! – zbuntował się Filip. – Sama sobie weź! Myślisz, że nie wiem, że mi grzebiesz w zdjęciach?

– Służbowo grzebię, a nie z przyjemności! Czy mam rozumieć, że odmawiasz wykonania polecenia służbowego? – zainteresowała się Kama złowieszczo. – Mam cię trzasnąć, czy od razu wywalić?

– Nie pójdę sam do ciemni! – wrzasnął Filip z rozpaczą. – Wiem, jaka była Luiza! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście tam straszyla!

Luka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem na cały głos. Kama, kiedy odzyskała mowę, popukała się w czoło.

– Ty palancie! Ja tylko żartowałam!

– Ty może tak, ale jak ona to usłyszała...

– Na cmentarzu?! Z trumny?!

– No co? Słyszałem, że nieboszczycy lubią brać udział w swoich pogrzebach...

– Nie wiem, czy lubią, ale na pewno muszą. – Kama patrzyła na fotografa, jakby się zastanawiała, czy wszystkie klepki ma w porządku.

– ... i podobno obserwują wszystko, co się dzieje! A jak Luiza usłyszała, że mówisz o straszaniu... Złośliwa była za życia, myślisz, że po śmierci przestała?

– Teraz to ona, serce moje, na razie nie ma czasu na straszanie – pocieszył go dobrodusznie Konrad. – Musi się wypowiadać tam na górze ze wszystkich swoich świństw, a to potrwa, bo dużo tego było... Chcesz, to pójdę z tobą do ciemni. – Wstał i wyciągnął opierającego się Filipa z pokoju.

– Słyszałaś? – Kama z niedowierzaniem spojrzała na rozbawioną Lukrecję. – Kiedy żyła, kłócili się, aż echo szło, a teraz się boi, że go będzie straszyla!

– Widocznie ma coś na sumieniu. – Luka wzruszyła ramionami. – Jak już wybierzesz te zdjęcia do numeru, wyślij gdzieś Filipa, to pogadamy. Wczoraj złapali morderców Luizy. Nie chciałam przy nim...

– Ale ty jesteś kamień! – Kama prawie podskoczyła. – Ani słówkiem od rana... Ja bym nie wytrzymała! Zaraz go wykopię! Akurat dzwonili z naszej biblioteki, że mają u siebie wystawę tutejszych artystów. Obrazy... – Odwróciła się gwałtownie, bo obaj współpracownicy właśnie wchodzili do pokoju. – Nie złapała cię Luiza za rękę? – zapytała złośliwie i poleciała: – Połóż to na jej biurku, bierz aparat i zasuway do biblioteki przy kościele. Zrobisz zdjęcia z wystawy obrazów. Tylko porządnie! Będziemy mieli w pogotowiu w razie kolejnej nieoczekiwanej dziury.

Kiedy Filip, z widoczną ulgą, opuścił redakcję, Kama usiadła przy

pustym biurku i popatrzyła wyczekująco na Lukę.

– No, mów! Dobrze kombinowaliśmy? Rzeczywiście kogoś szantażowała? Bo na tym dyktafonie, który Paweł znalazł, coś było, nie?

– Było – przytaknęła Luka. – Luiza nagrała rozmowę. Dwa męskie głosy omawiały napad na bank. W tle słychać było warkot motoru, ale głosy były nawet wyraźne. Łukasz mówił, że czekają na wyniki porównania z laboratorium, ale obaj z Krzysztofem są pewni, że mają sprawców. Łukasz wczoraj wrócił bardzo późno, bo na gorąco ich przesłuchiwali...

– I kto to jest? – wyrwała się Kamila niecierpliwie.

– Bracia Gargulowie. Adam i Zdzisław.

– Nie znam. – Konrad przeczesał w zadumie bujną czuprynę. – Tutejsi?

– Znasz. Starszy to kierowca wiceburmistrza, sam mówiłeś, że kumpluje się ze strażnikami... Ja to wszystko powtarzałam Łukaszowi – dodała przepaszająco Luka. – Dlatego mu się przyjrżeli...

– Znaczy: zrobili sobie rodzinny skok? – upewniła się Kama. – I kłapali o tym na ulicy? Nie mogli w domu między sobą uzgodnić? A głupcy uważają, że baby są gadatliwe...

– Z tego, co mówili, wynika, że kierowca był tam służbowo i czekał na szefa, a ten młodszy przyjechał do brata po kasę, bo zgłodniał. O napadzie zaczęli właśnie na bazie zapotrzebowania na większą gotówkę.

– Ale ta nasza Luiza miała refleks, żeby tak od razu nagrywać. – Konrad pokręcił głową z podziwem.

– Musiała od razu usłyszeć coś, co ją zmobilizowało – mruknęła Kamila. – Jak ktoś sam robi szwindle, to drugiego cwaniaka wyczuje od pierwszego kopa...

– Takich wielkich szwindli to Luiza nie robiła – zauważył Konrad. –

Czasami tylko wyciągała z faktów daleko idące wnioski.

– O, kochany, mylisz się bardzo! – zaperzyła się Kama. – Po jej śmierci paru osobom w tym mieście mocno ulżyło finansowo. Jak już ją Paweł odstawił od piersi, zaczęła kombinować. Porobiła znajomości i łapała komunikaty z pierwszej ręki. Prawdziwe, czy nie, ale wystarczyło, żeby delikwent się przestraszył sądu, który za nim pójdzie. A Luiza potrafiła z bombonierki danej urzędnikowi za przyśpieszenie sprawy zrobić łapówkę stulecia. I straszyla artykułem na ten temat. Woleli płacić. Aż dziw, że wcześniej nikt jej nie utłukł.

– Czemu wcześniej tego nie powiedziałaś? – Luka spojrzała na nią z wyrzutem. – Mieliby jakiś punkt zaczepienia na początek.

– I zaklopsowaliby się na długo. Sama widzisz, że to fałszywy trop... Co miałam mówić, skoro się dopiero wczoraj dowiedziałam? Kamil przyniósł wieści, bo wydobrzał i ze szczęścia postanowił dopieścić samochód. Pojechał do myjni i usłyszał rozmowę właściciela z kumplem – przedsiębiorcą. Obaj wieszali obłoki na naszej drogiej Luizie... Luka, gdybym o tym wiedziała wcześniej, wyrzuciłabym tę żołą na zbity pysk! Przecież to szantaż! To już te tirówki na drogach uczciwiej zarabiają na życie!

– Nie miałem pojęcia, że nasza droga Luiza robiła takie biznesy – zdumiał się Konrad i nagle coś mu przyszło do głowy. – A Filip? Jak myślicie? Wiedział o tym?

– Nie zdziwiłabym się, gdyby jego też trzymała w szachu – mruknęła Kama zgryźliwie. – Powody by się znalazły. Jakoś podejrzenie długo byli ze sobą. Jak na Filipa to rekord świata. No i nie wygląda na pogrążonego w żalobie... I co z tym morderstwem? Trzasnęli ją, bo domagała się podziału zysków? – Kiedy Lukrecja spojrzała na nią podejrzliwie, wzruszyła

ramionami. – Inteligencję posiadam, a Luiza zawsze była pazerna. Jeśli szantażowała złodziei i wiedziała, ile zwinęli, to musiała liczyć na duży łup... Wiecie co? Ten szmal to pewnie miała być jej przepustka na Kraków! Tam drogo, a z czegoś żyć musiała. W dodatku lubiła w luksusie, a to kosztuje... A poza tym dyktafonem policja ma jakieś dowody, czy chłopaczkom się upiecze?

– Ma. Kiedy ich zatrzymali, mieli przy sobie pieniądze z napadu. A Łukasz wrócił późno, bo wziął nakaz i pojechał z ludźmi na przeszukanie mieszkania tych Gargulów. Znaleźli pendrive'a Luizy. Co prawda, nagranie zostało skasowane, ale policja...

– A po czym poznali, że to jej? – zainteresował się Konrad.

– Pamiętacie, jak sobie znaczyła swoje prywatne rzeczy, żeby jej się nie pomieszały ze służbowymi? Mazała bezbarwnym lakierem do paznokci „L”. Po tym poznali.

– A skąd o tym wiedzieli? – drażzył Konrad.

– Bo ja kiedyś Łukaszowi mówiłam – wyznała Luka z westchnieniem.
– Śmieszyło mnie, że Luiza tak tego pilnuje.

– Przyznali się? – Kameę interesowały konkrety.

– Na razie idą w zaparte. Nic nie wiedzą, nic nie zrobili, a te pieniądze znalazł młody, jak jechał motorem... A propos, motor też się zgadza. Zarejestrowany jest na starszego, bo ten drugi nie ma prawa jazdy. Ale to jeszcze nic... To znaczy... – Luka lekko się speszyła. – No, skok na bank i morderstwo to sporo, ale oni wykonali jeszcze głupszy numer.

– Jaki? – zapytali jednocześnie Kamila i Konrad.

– Porwali tę fryzjerkę...

– Rozpoznała „kurdybanka”! – skojarzyła natychmiast Kama z niestosowną uciechą. – Mówiłam, że ją zelżył wtedy na cmentarzu!

– Rozpoznała – przytaknęła Luka. – Zauważyli i dlatego ją porwali.

– Ślepy by rozpoznał, że coś jej zaiskrzyło na zwojach. Prawie skamieniała, jak się odezwał – przypomniała sobie Kamila. – Też ją chcieli załatwić?

– Upierają się, że nie i nie ma dowodów, że było inaczej. Ona też mówi, że obiecywali telefon do rodziny, kiedy będą wyjeżdżać...

– No nie wiem. – Konrad pokręcił sceptycznie głową. – Obiecywać mogli, ale...

– Gdzie ją trzymali? – chciała wiedzieć Kama.

– W takiej drewnianej komórce w ogródku.

– E tam, takie więzienie... Gdyby ją choć w piwnicy trzymali... Amatorzy... Nie związała im?

– Związała, ale niedaleko. Łukasz mówi, że znaleźli ją na drzewie koło tej komórki... No, amatorzy, ale chyba po prostu nie wiedzieli co robić. Pewnie mieli nadzieję, że uda im się opóźnić śledztwo, jak świadek zniknie, i będą mieli czas na ucieczkę.

– Głupi byli od początku – oświadczyła Kama z pogardą. – Po zwinięciu forsy, ten kierowca powinien złożyć wymówienie, braciszka za fraki i wypad z Kraśnika. Nikt by ich z tym nie powiązał. Nawet gdyby ich szukali, to świat jest duży, można się ukryć.

– A Luiza? Miała nagranie – zauważył Konrad.

– Mogłaby co najwyżej użyć go przy pisaniu artykułu. – Kamila wzruszyła ramionami. – Pod warunkiem że miałyby zgodę policji... Miałyby raczej. Komendant tak skakał, jak mu zagrała.

– Ale przynajmniej by żyła – westchnął redaktor Błoński.

– A cóż ty tak raptem za nią tęsknisz?

– Wisiała mi stowę. Już raczej nie odda, a przecież nie będę zerował

na pogrążonej w żalu rodzinie...

Anusia bez strachu kręciła się po zakładzie, przygotowując go do otwarcia. Przyszła wcześniej, bo nie była pewna, czy Patryk w czasie swoich poszukiwań, o których opowiadał na komendzie, nie narobił bałaganu. Odkąd wiedziała, że jej prześladowcy są pod opieką policji, jej samopoczucie uległo znacznej poprawie. A przy okazji dowiedziała się wielu pożytecznych rzeczy, które mogą pomóc człowiekowi w jego ciężkiej egzystencji. Postanowiła bowiem, że w czasie wolnym od pracy i życia domowego obejrzy szkoleniowo wszystkie odcinki „MacGyvera”. Gdzieś słyszała, że on podobno wychodził cało z każdej opresji. No, Chuck Norris też, ale jemu dorównać nie czuła się na siłach.

Dowiedziała się również, że złość może wyzwolić w najbardziej nawet ciapowatym człowieku niespożyte siły i uznała, że z tego patentu również będzie korzystać.

Z jednego tylko była niezadowolona. Kiedy wylądowała po skoku w ramionach Patryka, poczuła się nagle bezpieczna jak nigdy dotąd. Uczucie było przyjemne, ale i denerwujące. Od narodzin Ewy Patrycji nie życzyła sobie, by jej poczucie bezpieczeństwa zależało od osobnika płci odmiernej. A w dodatku akurat ten osobnik był żywym przykładem męskiej niestałości. Doprawdy nie rozumiała, dlaczego jej rodzone dziecko tak się nim zachwyca. Bo co? Bo ma włosy niespotykanej kasztanowej barwy? Wielkie mecyje. Mogła mieć takie same, farby teraz robią cuda na każdej głowie. Bo ma oczy jak dojrzałe kasztany? Każdy jakiegoś ma. Bo wczoraj przytulał ją przez chwilę, jakby właśnie odzyskał ukochany skarb? Wczoraj przytulał, dziś nie musi. Ojciec Ewuni też przytulał. Przez chwilę. Potem mu przeszło. Pamiętała jeszcze z liceum, że Patryk taki był zawsze, tylko obiekty

przytulania ulegały zmianie.

Dzwoneczek zapowiadający klienta przerwał ponure rozmyślenia Anusi, za co była mu szczerze wdzięczna. Przeszło jej, gdy zobaczyła, kto ją nawiedził. Tej osoby w charakterze klientki nigdy u siebie nie gościła.

– Dzień dobry, pani Majewska. Cóż to się stało, że przyszła pani do fryzjera? Wesele w rodzime? – Od wczorajszego dnia jakoś dziwnie łatwo przychodziła jej złośliwość.

– Wesele? – W paciorkowatych, jak u kury, oczkach sąsiadki coś błysnęło. – Nie. Tak przyszłam, bo pomyślałam, że pora podciąć. Potem przed świętami nie będzie czasu na luksusy.

– Proszę usiąść. – Anusia przyrzekła sobie w duchu, że zachowa cały profesjonalizm, na jaki ją stać, i nie da się sprowokować. – Jaka długość? Całkiem na krótko, czy tylko z tyłu podciąć?

W tym momencie drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich Patryk. Anusia jęknęła w duchu. Cholera, musiał akurat teraz przychodzić? Wzrok Majewskiej natychmiast przykleił się do niego i widać było, że niewiasta usiłuje sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach go widziała. Anusia błagała niebiosy o chwilową sklerozę dla sąsiadki, bo doskonale pamiętała, jak wczoraj przyglądała się im na schodach, gdy Patryk odprowadzał ją do domu.

Karwicz już miał zapytać, jak się dziś czuje ofiara wczorajszego porwania, gdy dostrzegł jej dziwną minę. Minę, która sugerowała, że chętnie wysłałaby go na Madagaskar, ewentualnie inne porządnie oddalone od Kraśnika miejsce. Wścibskie oczka siedzącej w fotelu kobiety naprowadziły go na trop. Przypomniawszy sobie, że wczoraj w identyczny sposób obserwowała go na klatce schodowej, gdy się mijali. Jakby chciała zapamiętać go do końca życia. Anusia wtedy zeszywniała, odsunęła się od

niego i wymamrotała powitalne: „Dobry wieczór, pani Majewska”. Ponieważ o legendarnej sąsiadce słyszał już i od Wiktora, uznał, że nie ma wyjścia. Musi dać odpór wszelkim plotkom, jakie mogłyby się przykleić do dziewczyny. Mina Anusi zdopingowała go do szybkiego działania.

– Bry, szan paniom. – Przybrał taki wyraz twarzy, jakby było to ostatnie miejsce, w którym miałby ochotę się znaleźć. – Dobrze trafiłem, kierowniczo? – Spojrzał na Anusię, a potem wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę. – To u pani jest syfon do wymiany?

Anusia gapiała się na niego lekko spłoszona, ale w oczach Majewskiej błysnęła podejrzliwość.

– Hydraulik? – upewniła się, przewiercając go wzrokiem. – A ja pana chyba znam. Ta niby Francuzka to pana matka, nie? Ale jej syn to we Francji pracuje – myślała głośno. – Rodzinę tam mają... Panie, pan się nie nazywa Karwicz?

– Ja? – Patryk zrobił minę półgłówka i wybałuszył oczy. – Co też pani. Do kibla przyszedłem, bo się zepsuł. Pat... Patrycy Kajetan... yy... Uszczelka się nazywam!

Anusia popatrzyła na niego z niedowierzaniem, poczerwieniała nagle, zagryzając usta, ale – nim odwróciła wzrok – zdążył w nim dostrzec ulgę i rozbawienie.

– Usz... Jak się pan nazywasz? – Majewska wytrzeszczyła oczy. – Uszczelka?! Nie ma takiego nazwiska! Żarty pan sobie ze mnie robisz? To przezwisko chyba!

– Jakie przezwisko! – oburzył się Patryk. – Tatko się tak nazywa, to i ja! On hydraulik i ja hydraulik, bo co ma się nazwisko marnować... A pani co? Nie podoba się? – nuta groźby zabrzmiała w jego głosie.

– Co ma się nie podobać. – Majewska niespokojnie zaczęła wiercić się

w fotelu. – Nazwisko jak nazwisko... Stąd pan jest?

– Z Suchyni.

– I nie zna pan tej pani? – wypytywała, wskazując na Anusię, która stała obok, z niepokojem czekając na wynik tej konfrontacji. – Bo głowę bym dała, że pana widziałam. Z nią.

– Ale się pani do mnie przyczepiła – zniecierpliwiał się Patryk. – Może sobowtóra mam. Co poradzę... Nie mam czasu, tatko dał jeszcze inne zlecenia. Gdzie ta łazienka? Tam? – Machnął ręką w stronę zaplecza. – Dobra. Poradzę sobie, kierowniczo.

Kiedy zniknął na zapleczu, Anusia w milczeniu przystąpiła do pracy z nadzieją, że sąsiadka jak najszybciej opuści jej progi. Myliła się. Stara Majewska przybyła w konkretnym celu.

– Podobno chcieli cię zamordować? – zagaiła od niechcienia, obserwując ją w lustrze.

Anusi z wrażenia o mały nożyczki nie wypadły z ręki. Skąd, na litość boską, ta stara zaraza bierze takie wiadomości?! Już miała o to zapytać, kiedy dzwoneczek przy drzwiach ponownie obwieścił klienta. Ze strachem pomyślała, że dziś czeka ją niezłe obłędzenie, jeśli wieści tak szybko się rozeszły.

– Dzień dobhy, pani Anusiu – usłyszała znajomy głos i rozpoznała matkę Patryka. – Znajdzie pani dla mnie choćę czasu? Podjęłam życiową decyzję i postanowiłam zhobić sobie pasemka. Jak pani myśli? Dobrze mi będzie?

Anusia z ulgą oderwała się od wścibskiej sąsiadki i spojrzała na Nicole Karwicz. Jej zdaniem była to kobieta, której dobrze było we wszystkim. Nawet worek po kartoflach i fryzura na punka nie byłyby w stanie pozbawić jej wdzięku. Przyszło jej do głowy, że syn musiał go po niej odziedziczyć.

Kiedy go używał, dziewczyny były bez szans. Miała nadzieję, że ona jest już uodporniona.

– A jaki kolor by pani chciała?

– Koloh mojego męża – zaśmiała się Nicole i z gracją opadła na krzeselko. – Maciej ma kasztanową czuphynę, choć posiwał gdzieniegdzie... Pasemka kolohu kasztanów.

– Na pewno będzie ciekawie – zaopiniowała Anusia, uśmiechając się z sympatią. – Przy pani ciemnych włosach... Zaczeka pani? Zaraz kończę.

– Oczywiście, że zaczekam.

Nicole sięgnęła po pierwsze z brzegu pismo, ale nie miała szans zapoznać się z jego treścią, bo do akcji przystąpiła Majewska.

– Pani Karwiczowa, wie pani, że pani syn hydraulik udaje? – Złośliwe oczka wbiła w uśmiechniętą Nicole. – Za stary wróbel jestem, żebym się dała nabrać na takie numery. Anusię od dzieciaka znam i wiem, że zła nie jest, tylko za bardzo ludziom wierzy. A ludzie to hieny i szakale...

– O tak – przytaknęła żywo Nicole, mrugając porozumiewawczo do spłoszonej Anusi.

– Pani z nim pogada, żeby głupoty jakiej nie zrobił – poleciała Majewska i wrzasnęła w stronę zaplecza: – E, panie hydraulik! Chodź pan tu na chwilę!

Kiedy czochrający się po głowie Patryk z zaambarasowaną miną pojawił się w drzwiach, Anusia była już w stanie paniki. Matka Patryka z pewnością będzie zdumiona widokiem syna zachowującego się jak ćwierćinteligent. Ten hydraulik z reklamy wyglądał może podobnie, ale sprawiał wrażenie człowieka obytego w świecie.

– Mówiłam? – tryumfowała Majewska. – Ja mam pamięć do ludzi. Za świadka w sądzie mogłabym być.

– To ma być mój syn? – zdziwiła się Nicole, choć w jej oczach błysnęła wyraźna uciecha. – Nie znam tego pana. Proszę whacać do phacy. – Skinęła dłonią na rozglądającego się pytająco Patryka. – Rzeczywiście podobny, ale mój syn jest przystojniejszy. Poza tym, kiedy wychodziłam z domu, jeszcze spał, bo wczoraj późno whócił.

– Późno wrócił, bo siedział u Orzechowskich! – oznajmiła Majewska z satysfakcją, przebolawszy szybko swoją pomyłkę. – Pani wie, że Anusię chcieli zamordować?

– Ależ skąd – zaprzeczyła pogodnie Nicole. – Mam infohmacje z piehwszej hęki, bo kolega Pathyka służy w policji. Nie panią Anusię, tylko jakąś stahszą panią. I nie zamohdować, tylko pobić. Wczohaj ahesztowali szajkę, któha napadała na stahsze kobiety – mówiła ze swadą, a Majewska wyteżyła uszy do granic możliwości, nie zwracając żadnej uwagi na to, co Anusia robi z jej włosami (a miała szczerą ochotę ogolić je do gołej skóry). – Nie, żeby habować, tylko z zemsty – prawila Nicole.

– To jacyś psychopaci! – oburzyła się sąsiadka. – Za co się mścili?

Nicole zdążyła już ułożyć sobie w głowie zasłyszane niegdyś plotki.

– To bahdzo skomplikowane. – Pokręciła głową. – Ale sphóbuje wytłumaczyć. Jeden z tych... szajkarzy?... Bandytów! – poprawiła się po namyśle. – Jeden z tych bandytów miał dziewczynę. Jakaś stahsza pani nahobiła plotek na jego temat i jej hodzice nie chcieli go znać. Podobno nawet ją gdzieś wywieźli.

– A to nieprawda była? – dopytywała się Majewska z wypiekami na twarzy. – Te plotki? Nieprawda?

– Pewnie, że niephawda! Stahsza pani miała nadzieję, że jak tamci się zniechęcą, chłopak whóci do jej cóhki, którą zostawił. – W tym momencie Anusia zauważyła w lustrze, że sąsiadka pobladła. – Chłopak nie whócił, za

to zaczął myśleć. Długo myślał, bo stahsza pani bahdzo sphytnie hozpuszczała plotki. Więc kolejne stahuszki lądowały w szpitalu, aż w końcu do chłopaka dotahło, kto tę khucjatę przeciwko niemu zaczął.

– Jak to?! – Majewska, nie zważając na szczękające przy głowie nożyczki, obróciła się ku matce Patryka. – Jak dotarło?! Przecież... Zaraz! Mówiła pani, że ich wsadzili, tak?

Nicole westchnęła obłudnie.

– Sama pani wie, jakie dzisiaj są sądy. Mogą ich wypuścić za kaucją. A może stahuszki nie wniosą oskahżenia ze sthachu? Dobhy adwokat dużo może...

– Skończyłam, pani Majewska – oznajmiła Anusia, która usilnie powstrzymywała się, by nie parsknąć w głos na widok miny wścibskiej sąsiadki. – Dziesięć...

– Anusia, dziecko, bardzo się śpieszę. – Majewska zerwała się z fotela, szarpiąc zawiązaną pod szyją pelerynkę. – Coś sobie przypomniałam. Wieczorem zapłacę, dobrze? Albo twojemu ojcu, jak go spotkam?

Zniknęła tak szybko, że Anusia nie zdążyła nawet odpowiedzieć. Ledwo wyszła, w drzwiach od zaplecza stanął Patryk. Założył ręce na piersiach i obrzucił matkę karcącym spojrzeniem.

– No ładnie – powiedział, hamując rozbawienie. – Wyparłaś się własnego syna. Nie boisz się, że ci pypeć na języku urośnie za te kłamstwa? Albo nos jak u Pinokia?

– Wypahłam się – zaśmiała się Nicole i puściła oko do Anusi, która stała sztywno, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. – Jak Pioth Jezusa... Myślisz, że mnie załamiesz... zagniesz? – poprawiła się. – Wiem, co to pypeć. Mahta mi wytłumaczyła... A heszta to wcale nie kłamstwa. Myślicie, że ja plotek nie słucham? Staham się nie plotkować, ale słucham z

przyjemnością. A że jestem inteligentna... Pathyk, jestem?

– Jesteś – parsknął syn i podszedł do milczącej Anusi, obejmując ją w pół tak naturalnym gestem, jakby robił to przez całe życie. – Wiesz, Orzeszku, mam najbardziej nieznośną matkę na świecie...

– Mahta jest gohsza! – zaprotestowała Nicole z oburzeniem. – Ja dopieho po niej i Oleńce!

– Masz rację. W każdym razie na pewno plasujesz się na podium... Przyszła, zobaczyła babę, nie spodobało jej się, że ci dokucza i od razu wymyśliła zemstę. – Patryk pokręcił głową z dezaprobatą. – Kłamałaś jak z nut. Nawet ci powieka nie drgnęła.

– Nie kłamałam! – stwierdziła Nicole z niezrozumiałą satysfakcją. – I to właśnie jest najlepsze! Wcale nie musiałam kłamać. Przypomniały mi się plotki na jej temat, poskładałam je do kupy i thafiłam! Macie pojęcie, jak ona się teraz boi? Mahta miała hację. Zemsta jest słodka.

– Ona naprawdę... – Anusia usiłowała zignorować to cholerne poczucie bezpieczeństwa, które dawało obejmujące ją ramię. – Zaraz... – Odsunęła się i usiadła na opuszczonym przez Majewską fotelu. – Szajka? Jaka szajka? Naprawdę napadali na staruszki? Bo chcieli dopaść Majewskiej? Za plotki?

– Mówiłam, że jestem inteligentna. – Nicole wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niewinnie. – Nie ma żadnej szajki. To akuhat wymyśliłam, żeby babę posthaszyć. I nic mi nie wiadomo, żeby jakaś stahuszka została pobita. Ale cała heszta jest phawdą. Podobno jej młodszą cóhkę chłopak rzucił dla innej i phóbowwała go odzyskać. Nie cóhka, tylko matka. Bo bogaty był z domu. A plotki hozpuszczała bahdzo umiejętnie. Tu coś powiedziała, tam coś powiedziała. Dopieho ja okazałam się na tyle bystha, że wykhyłam źhódło... Czy ja mogę mówić pani po imieniu? – zapytała

nagle.

– O... oczywiście – wyjąkała Anusia, którą liczba przedstawicieli rodziny Karwiczów w jej lokalu lekko peszyła.

Nicole rozsiadła się wygodnie, sięgnęła do torebki i wyjęła portfel.

– Skocz do Galickiej, *cherie* – skinęła na syna, podając mu banknot – i kup mi jagodziankę. Phosto od Anusi idę do phacy, a nie wzięłam dhugiego śniadania... Pośpiesz się!

Patryk przewrócił oczami, ale posłusznie wziął pieniądze i wyszedł. Jego matka uśmiechnęła się przebiegle.

– Tehaz sobie spokojnie pogadamy po babsku...

– O czym? – spłoszyła się Anusia, patrząc na nią czujnie.

– O Pathyku. Bo, widzisz, on miał hację, jestem okhopna – wyznała Nicole z westchnieniem. – Wthącam się, bo się boję, że sam to hozwali... – zawahała się na chwilę i zmarszczyła brwi. – Hozwali? Nie, to jakoś... Zawali! No właśnie. W ogóle nie ma wphawy...

– W czym? – Anusia szukała odpowiedniej farby i usiłowała zrozumieć, o czym ta miła kobieta mówi. – I czemu pani...

– W miłości, *cherie*. Piehwszy haz w życiu jest zakochany.

– A czemu akurat mnie pani o tym mówi?

– Bo akuhat w tobie się zakochał – wyjaśniła Nicole z pełnym satysfakcji uśmieszkiem i, jakby nie dostrzegając nagłego skamienienia panny Orzechowskiej, mówiła dalej: – Wiem, Anusiu, że Pathyk jest hozpaskudzony, bo nigdy nie musiał się wysilać. Dobrze by było, gdybyś mu dała thochę... popalić. Moja przyjaciółka zawsze powtarza, że najbahdziej ceni się to, co najthudniej przyszło...

– Zaraz! – Anusia opadła na krzesło i wbiła w nią podejrzliwe spojrzenie. – Wyjaśnijmy coś sobie. Uważa pani, że Patryk się we mnie

kocha i chce pani, żebym go odepchnęła...

– To nie tak! – Nicole zamachała rękami. – Jestem bardzo szczęśliwa, że thafił na ciebie! I nie uważam, tylko wiem. Sam mi to wczohaj powiedział. Na pewno jesteś osthożna w kontaktach z mężczyznami, ale – phoszę – nie odrzucaj mojego syna tylko dlatego, że był głupi. Twoja mała cóheczka wiele go nauczyła. Heszta należy do ciebie. – Spojrzała pytająco na potencjalną synową.

– Chce pani powiedzieć... – Anusia z zakłopotaniem przejechała palcami po włosach. – Patryk nic nie mówił... No, owszem, bardzo jestem wdzięczna... Ewunia go bardzo lubi... Kurczę, nie mam pojęcia co robić!

– Dlatego właśnie przyszłam. – Nicole uśmiechnęła się pogodnie. – Żeby ci podpowiedzieć. Jestem matką, ale nie przestałam z tego powodu być kobietą. I, zanim o to zapytasz, powiem od hazu, że Pathyk nie ma pojęcia, po co naphawdę przyszłam.

– A po co naprawdę pani przyszła? – zapytała Anusia słabo, bo nagle dotarło do niej, co usłyszała.

– Jestem całkowicie po twojej sthonie. Dlatego coś ci podpowiem – nie poddawaj się od hazu. Niech się Pathyk thochę pomęczy...

– A jest pani pewna, że mnie na nim zależy? – nie wytrzymała Anusia, bo ambicja ją zakłula.

Nicole spojrzała na nią z sympatią i uśmiechnęła się czarująco.

– Jeśli nie, to pomyśl o mnie – zaproponowała ciepło. – Uważam, że jestem matehiałem na świetną teściową i babcię... Choć matką pewnie jestem okhopną – westchnęła obłudnie. – Spiskuję przeciwko własnemu synowi... Anusia, ja się nie obhażę, jeśli go nie zechcesz... Jak wy to mówicie? Sehce nie sługa... Ale gdybyś chciała...

Anusia niemrawo rozkładała przed sobą potrzebne do nakładania farby

akcesoria, usiłując jakoś ogarnąć to, co mówiła matka Patryka. Coś jej się tu nie zgadzało. Do tej pory Patyk – Latawiec, jak go nazywano w liceum, sam świetnie sobie radził w bajerowaniu płci przeciwnej, a teraz wezwał na pomoc mamusię? Chcą sobie z niej zakpić, czy co? Dlaczego miałyby uwierzyć, że akurat w niej się zakochał? Jednemu uwierzyła i źle na tym wyszła, a Patryk był jeszcze gorszy, bo nawet nie udawał, że zależy mu na kimkolwiek. Teraz musi być bardziej odpowiedzialna, bo ma Ewunię i nie może narażać jej na nieszczęśliwe dzieciństwo. To dlatego delikatnie dała Misiowi do zrozumienia, że może liczyć jedynie na przyjaźń. Ewunia go tolerowała, ale wyraźnie była zazdrosna, a Anusia nie zamierzała narażać swojego dziecka na stresy. No i, prawdę mówiąc, Misiek był cholernie czasochłonny. Sama Lala ją ostrzegła, że miałyby pod opieką drugiego dzieciaka, a na to Anusia nie mogła sobie pozwolić. Kiedy była w pracy, musiała mieć pewność, że Ewa Patrycja jest pod dobrą opieką, a tej Misiek raczej nie zapewniał.

Człowiek to jednak niezrozumiała istota. Skąd jej się wzięło to idiotyczne przekonanie, że przy Patryku nic jej nie grozi? Okej, rolę bohatera odegrał perfekcyjnie, ale w dzień powszedni mało jest okazji do przemiany w Supermana. Większe szanse ma już taki pomysłowy Dobromir – coś sprzątnie, ugotuje, naprawi, wytłumaczy, wymyśli coś, żeby dziecko zabawić. Patryk do tej roli zdecydowanie nie pasował.

Nicole obserwowała ją z uwagą w lustrze i prawie słyszała jej myśli. Powstrzymała westchnienie ulgi. Byłaby rozczarowana, gdyby Patrykowi nie wyszło akurat wtedy, gdy uczciwie się zakochał. Choć pewnie Maciek powiedziałby, że słusznie mu się należy za dotychczasową głupotę.

– Tak właśnie hób! – powiedziała z uznaniem. – Tak się zachowuj! On się musi naphacować, żeby twoją niechęć zamienić na sympatię! Ty nie

jesteś taka, jak inne i w ręce mu nie wpadniesz jak guszka!

Anusia znieruchomiła z pudełkiem aluminiowych pasków w dłoni. Przemknęło jej przez głowę, że już raz wpadła mu w ręce. Wczoraj. Poleciała z tego drzewa dokładnie jak gruszka, a on ją złapał. Może to znak?

W kamiennym milczeniu przygotowała wybraną farbę i zabrała się do pracy. Już dawno przestała wierzyć w cuda, ale jeśli Patryk i jego matka życzą sobie jakichś przeraźliwych wysiłków, to proszę bardzo. Niech się wysilają. Ona spokojnie poczeka na efekty.

– Dziadek, zobac! Śnieg pada! – Ewunia podskakiwała jak oszalała piłeczka, tkając palcem w okno. – Duży taki!

Wiktor nieuważnie zerknął w okno i pokiwał głową, obracając starannie panierowane kotlety na drugą stronę.

– Tak to już bywa, że w grudniu pada śnieg – stwierdził filozoficznie.

– Chcę na sanki! – rozdarła się natychmiast wnuczka.

– Nie teraz. Widzisz, Ewuniu, że jestem zajęty. Dzisiaj zrobię obiad na dwa dni, to może jutro wyjdziemy, jeśli ten śnieg się utrzyma...

– Wszystko przez to, że jesteś jeden! Dwa mężczyzny muszą być w łodzi! Jakbym miała tatę, posedłby ze mną! – rozżaliła się wnuczka.

– Niekoniecznie – Wiktor nierozważnie dał się wciągnąć w dyskusję. – Gdybyś miała pełną rodzinę, prawdopodobnie tkwiłabyś w przedszkolu, a twoi rodzice w pracy. Wątpię, żeby paniom przedszkolankom chciało się ubierać wszystkie dzieciaki i wychodzić z nimi na spacer. Ewentualnie – dodał uczciwie – poszłabyś z dziadkiem lub babcią, gdyby się tobą opiekowali.

– A ty masz się mną opiekować! I co?

– Ale ja również usiłuję prowadzić dom, żeby ulżyć twojej mamie – wyjaśnił Wiktor z godnością. –

Spacer może poczekać, a obiad nie. Mama wróci z pracy głodna i zmarznięta. Na pewno...

Przerwał mu dzwonek do drzwi. Zanim podjął decyzję: kotlety czy gość, wyręczyła go Ewunia, która pędem pobiegła do przedpokoju. Po chwili tryumfalnie przywiodła do kuchni ośnieżonego Patryka.

– Paltyk ze mną pójdzie na sanki! – oświadczyła zwycięsko. – Ty sobie dalej gotuj!

Karwicz, który od pewnego czasu poświęcał więcej uwagi otoczeniu niż sobie, dostrzegł w oczach Orzechowskiego błysk żalu i uznał, że musi zareagować, by ojciec ukochanej nie nabrał do niego niechęci.

– Ejże, Blondie – powiedział karcąco. – Tak się mówi do dziadka, który robi, co może, żebyś głodna nie chodziła? I nie kombinuj. Nie mówiłem, że pójdziemy na sanki, tylko na spacer, jeśli dziadek pozwoli. Niedawno chorowałaś. Chcesz, żeby ci znowu jakiś doktor pchał świństwo do gardła?

Ewuni zrzędała mina. Z płcią męską, którą reprezentował w rodzinie dziadek, radziła sobie świetnie. Wiktor miękł jak wosk, kiedy zaczynała jej się trząść broda, a w orzechowych oczach błyszczwały łzy. Dzięki tej metodzie sporo zabawek przybyło do jej pokoju, a niejeden zakazany smakołyk zawędrował do brzuszka. Patryk, widać, był bardziej odporny. Mogłaby mu, ostatecznie, pokazać, jak wygląda obraza znieważonego dziecka albo atak hysterii, ale nie chciała go zniechęcać. Zależało jej, by przychodził jak najczęściej, bo może mama się do niego przyzwyczai i w końcu wybierze go na tatusia.

Przez chwilę nie wiedziała, jak zareagować. Po namyśle przełknęła urazę i żalonym głosem powiedziała:

– Pseplasam, dziadku. Jestem jeszcze za mała, ale jak ulosnę, będę ci

pomagać. – Przypomniały jej się opowieści Majewskiej o jednym ze schorowanych sąsiadów i dodała serdecznie: – A jak psyjdzie cas, będę ci pieluski zmieniała i kalmiła łyżeczką. Bo cię kocham pseciez.

Wiktor, który początku oświadczenia wysłuchał z pełnym dumy zadowoleniem, przy końcówce oniemiał.

– Jakie pieluszki? – wystękał wreszcie i czym prędzej zdjął patelnię z kuchenki, bo doleciał go za – paszek przypalających się kotletów.

– Takie dla stałych dziadków – wyjaśniła z przejęciem Ewunia. – Stała Majewska...

– Zabraniam ci wymieniać w tym domu to nazwisko! – ryknął Wiktor, do którego dotarło, co wnuczka miała na myśli i poczuł się mocno urażony, bo – aczkolwiek był w wieku dojrzałym – obsługiwał się sam i piastował nadzieję, że tak będzie do śmierci. – Nie jestem ramolem i nie potrzebuję żadnych pieluszek!

Zanim Ewunia zdążyła się zdecydować, czy się rozplakać, czy też obrazić, włączył się Karwicz, któremu udało się przytomnie ukryć rozbawienie.

– Blondie, jest tylu ciekawych ludzi na świecie, musisz słuchać akurat Majewskiej?

– Ona jest najbliżej – oświadczyła spokojnie Ewunia. – A mami i dziadek mówią, że tseba słuchać dolosłych. Ona jest pseciez baldzo dolosła. Nawet baldziej niz dziadek.

– Będziemy gadać o mądrościach Majewskiej, czy wolisz iść na spacer? – zapytał Patryk. – Jeśli dziadek pozwoli, zabiorę cię, żeby mógł spokojnie dokończyć obiad. – Spojrzał pytająco na Orzechowskiego.

– Zabierz – zgodził się Wiktor pośpiesznie, a kiedy wnuczka wybiegła do przedpokoju, by się ubrać, dodał ściszym głosem: – Uważaj, chłopcze,

żeby się nie przemoczyła, bo mi Anusia zmyje głowę. Ewunia ma skłonności do przeziębień.

– Chyba mam na to radę. Zajrzymy po drodze do salonu MARTA. Moja cioteczka z pewnością znajdzie u siebie jakiś specyfik na uodpornienie – uspokoił go Karwicz. – Wszystkich nas tak kurowała i, jak widać – napiął mięśnie — rezultaty są niezłe.

– Mówisz o Marcie Artymowiczowej? No popatrz. Leczyłem się u niej na reumatyzm, ale nie przyszło mi do głowy poprosić o coś dla dziecka, a Ewunia od małego była chorowita...

– Juz? – Ewa Patrycja stanęła w drzwiach kuchni, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. – Nawet lękawicki założyłam! Możemy iść!

Anusia powoli zaczynała czuć się osaczona. Cokolwiek by nie robiła, towarzyszył jej Patryk. Nawet jeśli nie osobiście, to zawsze trafiła na coś, co go jej przypomniało. Weszła do kantorka, gdzie panowało przyjemne ciepło, dotknęła kaloryferów i od razu stanął jej przed oczami Patryk i jego dwaj koledzy, którzy przybyli na jego wezwanie, gdy grzejnik odmówił posłuszeństwa. Kumple naprawili uszkodzenie, a Patryk posprzątał. To on wyklócał się z kierowcą, który dostarczył uszkodzoną partię zamówionych przez nią szamponów. Młody gówniarz najwyraźniej próbował ukręcić coś dla siebie, bo dwa pojemniki miały ewidentnie uszczuploną zawartość. Anusia tak się wkurzyła, że nie chciała przyjąć faktury i oświadczyła, że zmieni hurtownię, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. A Patryk z nim chwilę pogadał i od razu znalazły się dwie sztuki na wymianę.

W domu Ewunia piała z zachwytu – Pałtyk to, Pałtyk tamto. Nawet woniejącym ziołowo olejkiem pozwoliła się posmarować, bo Pałtyk go przyniósł i obiecał, że po nim nie będzie chorować. Psiakrew, jej rodzony ojciec był zachwycony – z przyjemnością słuchał opowieści o winobranii

we Francji i z ulgą zostawiał wnuczkę pod opieką Karwicza, podczas gdy sam załatwiał codzienne domowe sprawunki. Zakupy w towarzystwie Ewuni były długie, pełne pertraktacji, a ostatnio wprawiały go w popłoch, bo kojarzyły mu się z polowaniem na ojca.

A na dziś Patryk zapowiedział się z wieczorną wizytą i obiecał przynieść „Stalowe Magnolie”, ukochany film Anusi. Nie miała pojęcia, skąd o nim wiedział, ale nie potrafiła odmówić sobie przyjemności obejrzenia go po raz kolejny. We własnym domu, w wygodnym fotelu, bez reklam. I żadnego strojenia się. Niech sobie Patryk nie myśli, że chce na nim zrobić wrażenie. Zresztą... Do tej pory nie wydusił z siebie niczego takiego, co mogłoby wskazywać, że mu na niej zależy. Nie dziwota. To dziewczyny przeważnie wygłaszały deklaracje do niego. A, może dobrze. Nic nie mówi, za to pomaga. Sławek kłapał na okrągło, jak to ją kocha, ale wściekał się, ile razy musiała dłużej zostać w zakładzie, żeby pomóc ojcu. A gdy w końcu powiedziała mu o ciąży, zrobił takie przerażone oczy, jakby nie miał pojęcia, skąd się biorą dzieci. Nie szukała dla siebie usprawiedliwienia, ale była dobrze wstawiona, kiedy ten jeden, jedyny raz byli ze sobą. Zaprosił ją, bo rodzice wyjechali, a jej nawet do głowy nie przyszło, że ten wieczór tak może się skończyć. Nie przyznała się do tego nikomu, ale przez całą ciążę bała się, że urodzi niepełnosprawne dziecko. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Ewunię, obejrzała ją ze strachem od stóp do głów, a potem przez kolejne miesiące porównywała jej zachowanie z opisami podanymi w książce o niemowlakach i gryzła się, gdy cokolwiek się opóźniało. Wreszcie przyłapał ją na tym ojciec, który zabrał lekturę i wyrzucił do śmieci, a córkę uświadomił, że każde dziecko rozwija się inaczej.

Po wielkiej miłości została jej Ewunia, nieufność wobec płci przeciwnej i obawa przed wypiciem bodaj kieliszka wina. A Patryk

pracował przy winobraniu. I to było niepokojące.

– Słuchajcie, mam pomysł! – ogłosił redaktor Błoński, podnosząc rękę do góry. – Mamy aktualnie bardzo przyjemne okoliczności przyrody...

– Pogięło cię? – zdziwiła się Kama. – Śnieżyca za oknem, duje jak cholera – to mają być...

– Zaraz! Mówię o okolicznościach redakcyjnych, a nie zewnętrznych. Oddaliśmy kolejny epokowy numer naszego pisma w ręce czytelników, to raz. Nasz bałwanowaty kolega fotograf znajduje się poza redakcją, a my stanowimy zdrowy bukiet kraśnickiej inteligencji, to dwa. Szef pałęta się po Warszawie, w związku z czym jesteśmy bez dozoru, to trzy. Proponuję zrobić stypę po Luizie. – Popatrzył pytająco na koleżanki. – Co wy na to?

Kama i Luka spojrzały na siebie z dość mieszanymi uczuciami.

– A jak ta stypa ma wyglądać? – zapytała Kamila podejrzliwie. – Bo z tego, co wiem, to zwykle jest dużo żarcia, wóda i lamenty na temat przedwczesnego zejścia głównego bohatera. Żarcia nie mamy, za wódę w miejscu pracy możemy wylecieć, a lamentować nie mam zamiaru.

– Żarcie możemy kupić u pana Józefa na dole – mruknęła Luka, która bez optymizmu myślała o dwóch godzinach, jakie zostały im do zakończenia

pracy. Nic konkretnego do roboty nie miała. – Co do wódy, wołałabym nie. Potem źle się czuję.

– Pizzę zaczął robić – powiadomił ją Konrad z wyraźną nadzieją w głosie. – Pan Józef. Podobno bardzo dobrą. A zamiast wódy proponuję piwo.

– Dobra – zdecydowała Kama. – Robimy zrzutkę. Kondziu, ty wal po piwo, a Luka zejdzie na dół. Ja przygotuję odpowiednią oprawę.

Kiedy oboje wrócili z prowiantem, w oczy rzuciło im się duże zdjęcie

Luizy zeskanowane przez Kameę, obwiedzione czarną ramką wykonaną mazakiem i oparte o doniczkę z redakcyjnym kaktusem postawioną na środku wolnego biurka. Obok stały trzy krzesła, a na blacie trzy talerze. Szklanek Kama nie szukała, wychodząc z założenia, że piwo da się pić z puszek albo butelki.

– No co? – Na widok ich min Kamila wzruszyła *ramionami* i uniosła brwi. – Stypa to stypa. W końcu motywem przewodnim jest Luiza, nie? Niech sobie choć popatrzy, jak nic więcej nie może.

– Niech – zgodził się Konrad i postawił po dwie puszek z piwem obok każdego talerza, a Luka w milczeniu położyła na blacie pudełko z gorącą pizzą. – To za co wypijemy? Zdrowie to już chyba Luizie się nie przyda.

Kama myślała przez chwilę intensywnie. Wreszcie powiedziała:

– Za Luizę. Za to, że dzięki niej doświadczyliśmy na własnej skórze, do jakiego stopnia człowiek może być wredny.

– To nie jest dobry powód do toastu – zauważył Konrad w zadumie. – Szkoda mi dobrego piwa na rozmyślanie o świństwach, które Luiza zrobiła mnie osobiście. Wypijmy za to, że dzięki niej wiemy, jacy sami nie chcemy być.

Cała trójka uniosła puszek i pociągnęła po łyku, a potem żarłocznie rzuciła się na pizzę, bo byli rzetelnie głodni.

– Luka – odezwała się Kama niewyraźnie, bo z pełnymi ustami – wiesz od Łukasza, jak to wszystko się zaczęło? Możesz opowiedzieć? Bo ogólnie niby wiem, ale ciekawa jestem szczegółów.

Lukrecja przełknęła pośpiesznie i kiwnęła głową. Z zalem pomyślała, że raczej nie zaspokoi głodu, ale posłusznie zaczęła mówić:

– Obaj Gargule śpiewają jak skowronki, bo mają nadzieję, że sąd weźmie pod uwagę przy wydawaniu wyroku ich chęć współpracy. Łukasz i

Krzysztof poukładali sobie wszystko na podstawie ich zeznań i dowodów. Według nich cała historia zaczęła się od przyjęcia u burmistrza. Pamiętacie, że Luiza poszła z Filipem? Musiała akurat być gdzieś w pobliżu, kiedy usłyszała rozmowę braci na temat ewentualnego podreperowania rodzinnej kasy...

– Czyli skoku na bank – uściśliła Kama.

– Tak. Miała przy sobie dyktafon, więc nagrała tę rozmowę, ale chyba nie potraktowała jej poważnie, bo nikomu o tym nie powiedziała. W zasadzie to na taśmie nie było nic konkretnego. Takie tam gadanie. Też nieraz narzekamy na brak gotówki i mówimy, że chętnie byśmy napadli na jakiś bank...

– To niepotrzebnie napuściłam Pawła na przeszukanie warsztatu – mruknęła Kama.

– Potrzebnie. Bo dzięki temu policja może połączyć napad i zabójstwo... Luiza to potem zgrała na pendrive'a i pewnie zapomniałaby o wszystkim, gdyby nie dowiedziała się o napadzie. Dziadzio przyznał, że najbardziej interesowało ją, ile forsy zginęło. Musiała uznać, że szantaż jej się opłaci. Wiecie, przyszło mi do głowy, że wtedy, kiedy Filip się na nią natknął przy Music Cafe, mogła śledzić któregoś z braci.

– To do niej podobne – stwierdził Konrad. – Lubiała się uważać za dziennikarkę śledczą.

– Kiedy zrozumiała, że policja nie ma pojęcia, gdzie szukać sprawców – ciągnęła Luka – postanowiła sama działać. Gargulom na szczęście nie przyszło do głowy, żeby zabrać jej telefon. Policja znalazła w biurku Luizy drugą kartę i okazało się, że dzwoniło z niej na komórkę Adama, tego kierowcy. Tego dnia, kiedy Luiza została zamordowana. Bracia się upierają, że nie chcieli jej zabić, tylko zabrać dowody przeciwko sobie. Luiza była

pewna, że szantaż jej się uda. Kazała przywieźć sto tysięcy w plastikowej torbie i zostawić u ciecia na dole. Policja z nim rozmawiała. Przyznał, że wspominała o przesyłce i prosiła, żeby nikomu o tym nie mówił. Powiedziała, że kurier przywiezie i żeby dał jej znać, kiedy pójdzie. Ciec się trochę dziwił, że nie trzeba niczego podpisywać, ale jakoś go zbajerowała...

– Udała, że zapomniała komórki – wtrąciła Kama, która uważnie słuchała – i wróciła na górę, żeby poczekać na szmal. Pewnie jej nawet nie zagrzmiało, że mogą ją ukatrupić... Jezu, jednak ona głupia była strasznie – westchnęła z ubolewaniem. – Po co ich naprowadzała na redakcję? Mogła się umówić, żeby te pieniądze podrzucili gdziekolwiek. Nigdy by nie doszli, kto ich tak pięknie wyrolował z kasy. Sama mówiłaś, że zmieniła kartę w komórce.

– Wiesz, co ja myślę? – Luka popatrzyła na nią też westchnęła. – Luiza, niestety, była megalomanką i resztę ludzkości miała za głupszą od siebie. Uznała, że złodzieje będą tak przerażeni możliwością wpadki, że zapłacą każdą sumę, byle mieć spokój. Wbiła sobie do głowy, że za te pieniądze zacznie nowe życie w Krakowie i reszta jej nie obchodziła. Pewnie uważała, że wymyśliła genialny plan. Niestety, Gargule nie mieli ochoty się dzielić, a poza tym bali się, że szantażysta nie poprzestanie na tych stu tysiącach. Potrzebowali kasy na wyjazd do Stanów. Postanowili pozbawić Luizę dowodów...

– Zaraz! – przerwał Konrad. – A skąd wiedzieli, że to ona ich szantażuje? Głupia była, ale nie wierzę, żeby się im przedstawiała.

– Policja wyciągnęła od operatora sieci nagranie tej rozmowy – powiedziała Luka. – Masz rację, że była głupia, Kondziu. Nie przedstawiała się, ale mało, że dała im namiary na redakcję, to jeszcze zagroziła, że w razie odmowy napisze artykuł na temat napadu. Nie trzeba być wybitnie

inteligentnym, żeby się domyślić, gdzie szukać szantażysty, prawda?

– Luiza – Kama spojrzała z niesmakiem na zdjęcie oparte o kaktus – nie masz pojęcia, ile razy miałam ochotę powiedzieć ci, że jesteś kretynką... Kondziu, zasuway po drugą pizzę – poleciała, wyciągając portfel. – Luka opowiadała, a my żarliśmy. Jest poszkodowana.

– Ale nie mówcie, dopóki nie wrócę! – zażądał redaktor Błoński, biorąc pieniądze. – Też chcę wszystko wiedzieć! Basieńka mnie wypytuje!

– Dobra, dobra... Wiesz, Luka – oświadczyła z zadumą, kiedy Konrad wyszedł – nie potrafię się zdecydować, czy mi jej szkoda, czy przeciwnie. Jak to powiedział kiedyś Kondzio, Luiza rzeczywiście miała pazur i dryg do opowiadania historii. Osobiście podejrzewam, że w takim krakowskim brukowcu miałyby szansę zrobić niezłą karierę. Zwłaszcza, że szła po trupach i pierdołami się nie przejmowała. Oni tam podobno mają specjalny fundusz na przegrane sprawy sądowe. Z drugiej strony... Wiesz, jakiego szału dostała, kiedy cię przyjęliśmy i dowiedziała się, że będziesz poprawiać teksty? Obraza majestatu! A sama wiesz, że interpunkcja była jej osobistym wrogiem! Szlag ją trafiał, jeśli puściłam czyjś artykuł, który był dłuższy niż jej. Trzeba było uważać przy niej na każde słowo, bo donosiła do szefa. Na szczęście szybko ją spławił i kazał składać donosy na piśmie, a potem te pisma lądowały na moim biurku, bo mu się nie chciało czytać... I jeszcze ten szantaż... Jezu, ależ to była zołza! Zrozumiałabym jeszcze, gdyby potrzebowała szmalu na chore dziecko albo coś w tym stylu, ale tak? Zwykła pazerność!

– Miałyście nie gadać! – wysapał Konrad, wpadając ciężkim truchtem do redakcji.

– Nie gadamy o morderstwie – uspokoiła go Kamila. – Właśnie obszczekuję nieboszczkę. Doszłam do wniosku, że była z niej straszna

małpa i zasłużyła na taki koniec.

– Ty wiesz, że kiedyś zadzwoniła do mojej Basieńki – Konrad usiadł i podsunął Luce otwarte pudełko, po które szybko sięgnęła – i powiedziała, że podrywam małolaty? Mariuszek był wtedy malutki i Basieńka prawie nosa z domu nie wytykała...

– A co to były za małolaty? – zainteresowała się Kama.

– Te dziewczuszki z zespołu tanecznego z Domu Kultury. Kazałaś mi zrobić z nimi wywiad, kiedy zajęły pierwsze miejsce w województwie... Basieńka najpierw się okropnie przejęła, ale ona mądra jest, więc zaczęła myśleć i doszła do wniosku, że aż taki głupi nie jestem. Pogadaliśmy sobie wieczorem i sprawa się wyjaśniła. A jak Luiza zadzwoniła z następną sensacją, Basieńka jej poradziła, żeby sobie znalazła inną rozrywkę, bo ją poda do sądu za pomówienia.

– A pamiętasz, jak próbowała poderwać tego naszego prokuratora? – przypomniała Kama. – Wydzwaniała do niego, zawracała mu głowę, aż biedak zmienił komórkę, a tamtą odbierała sekretarka, która grzecznie meldowała, że pan prokurator jest nieosiągalny. Pamiętasz, jak się wtedy wściekała? Od razu wymyśliła sobie zazdrosną kochankę, a potem się okazało, że ta sekretarka ma już wnuki... Ona całkiem normalna to nie była... Luka, zjadłaś? To opowiadaj dalej, bo jeśli będziemy dłużej tak wspominać, to Luizę przeniosą do najdalszej czeluści piekła... Utłukli ją, bo zaczęła się z nimi wyklócać o pieniądze?

Lukrecja dojadła spokojnie kolejny kawałek pizzy i potrząsnęła przecząco głową.

– Według ich zeznań to wyglądało tak: Luiza zadzwoniła do tego kierowcy, Adama, bo знаła numer. Ten powiedział bratu o szantażu i obaj zaczęli kombinować, jak z tego wybrnąć. Doszli do wniosku, że najprościej

będzie ukraść Luizie dowody, które mogły ich obciążać, a – gdyby ich chciała oskarżyć – udawać niewinnych. Byli pewni, że bez dowodów nikt ich nie powiąże z napadem.

– Myślisz, że ich przypuszczenia były słuszne? – zainteresowała się Kama i po namyśle sięgnęła po kawałek pizzy.

– I tak, i nie. Bez dowodów może nikt by ich nie podejrzewał. Ale, gdyby Luiza się wściekła i dała cynk policji, ktoś by się dopatrzył znajomości Adama ze strażnikami i faktu, że to on przyniósł posiłek, który im zaszkodził. Policja by się przyjrzała motorowi Gargulów i na podstawie śladów mogłaby go umiejscowić w okolicach banku. Wreszcie kogoś mógłby zainteresować fakt, że Adam w dniu napadu urwał się na dwie godziny z roboty pod pretekstem badań lekarskich. Gdyby nie znaleziono ukradzionych pieniędzy, byłyby to tylko poszlaki, ale dosyć mocne... Adam był u nas kilka razy po wyborach, bo przywoził materiały do biogramów nowych władz. Wiedział, które okno jest nasze i kojarzył Luizę, bo często bywała w Urzędzie Miasta. Widział ją wtedy na przyjęciu, odwoził ją nawet do domu, bo żona wiceburmistrza jej zaproponowała podwózkę. Uznał, że pewnie dowody przeciwko nim trzyma w redakcji i postanowili obaj się włamać. Otwarte okno bardzo ich ucieszyło. Adam podsadził brata, ten wszedł do środka i już miał zacząć przeszukiwać biurka, kiedy usłyszał, że ktoś idzie. Schował się za szafą z dokumentami, a gdy weszła Luiza...

– Pewnie była w łazience – mruknęła Kama. – Jak była podekscytowana, piła kawę za kawą.

– Możliwe. Weszła, usiadła przy biurku, więc ten młodszy Gargul postanowił ją trochę poddusić, żeby mu nie przeszkadzała, ale ścisnął za mocno...

– Zawsze mówiłem, że odchudzanie to głupota – burknął Konrad i

westchnął rzewnie. – Gdyby miała grubszą szyję, może by jej nie dał rady, a tak...

– Był pewien, że ona żyje – powiedziała Luka. – Zobaczył jej torebkę, a w niej pendrive'a. Sprawdził, co na nim jest i od razu zabrał, a potem jeszcze przejrzał zawartość komputera i wyrzucił pliki dotyczące napadu. Nie miał pojęcia, że to żaden problem odzyskać je z kosza. I wcale nie wracał oknem, tylko wyczekał, aż cieć pójdzie na obchód i wymknął się drzwiami.

– Nie były zamknięte? – zdziwiła się Kama. – Co ten cieć? Sklerozę ma?

– Tam jest rygiel od środka. Wystarczyło odsunąć. A cieć mógł nie zwrócić uwagi albo uznał, że zapomniał... W każdym razie, kiedy się dowiedzieli o śmierci Luizy, trochę spanikowali, ale że nikt się ich nie czepiał, to przyjęli, że wszystko gra. O dyktafonie nie pomyśleli. Luiza musiała go zostawić u Pawełka na wszelki wypadek.

– Albo może też planowała w coś go zrobić – mruknęła Kama. – Wcale by mnie to nie zdziwiło. Wściekła się, jak cholera, kiedy ją przestał sponsorować.

– Mogę? – Luka przesunęła na talerz ostatni kawałek pizzy. – Tak naprawdę sprawę przypieczętował ten incydent na cmentarzu i porwanie fryzjerki. Dzięki temu Krzysztof mógł podpisać nakaz rewizji.

– Zawsze byłam zdania, że pazerność nie popłaca. – Kamila spojrzała krzywo na fotografię Luizy. – Widzisz, idiotko? Mogłaś napisać artykuł swojego życia, a zachciało ci się szantażu... Pracowita pszczołka była z ciebie. Żeby tylu ludzi cieszyło się z twojej śmierci... Z tym się trzeba urodzić...

– No to za pracowitą pszczołkę i do domu, koleżanki, bo muszę

zmienić wartość przy Mariuszkę. – Konrad podniósł swoją puszkę i znacząco spojrzął na zegarek.

Patryk tkwił na aluminiowej drabince i był właśnie w trakcie wkręcania żarówki w żyrandolu wiszącym w pokoju Ewuni, gdy weszła Anusia. Przed chwilą wróciła z pracy. Zdążyła umyć ręce i pomarzyć przez moment o wymoczeniu obolałych nóg w miednicy pełnej wody i pachnącej soli, kiedy córka powiadomiła ją z zachwytem o kolejnym wyczynie Pałyka. W Anusi natychmiast zawrzała złość. Kto go prosił o pomoc? Nie ma nic innego do roboty, tylko ciągle przyłazić i zmuszać ją, żeby o nim myślała? Nie życzyła sobie myśleć. To przeszkadzało jej w pracy, a teraz okazuje się, że i we własnym domu nie ma spokoju.

– Co tu robisz? – zapytała wrogo.

– Zmieniam żarówkę, bo przed chwilą się przepaliła i przestraszyła Blondie – wyjaśnił Karwicz spokojnie.

– Nie mów o moim dziecku Blondie! – warknęła Anusia. – Ma na imię Ewunia! A dlaczego ty zmieniasz, nie tata?

– Jest zajęty w kuchni. Poza tym mnie łatwiej wejść na drabinę niż jemu... Czemu jesteś zła? Ciężki dzień w pracy? Opowiedz, to ci ulży.

Sumienie Anusi pisnęło ostrzegawczo, bo w końcu rzeczywiście jemu było łatwiej niż ojcu, który miał kłopoty z kręgosłupem. Ale ostatnie słowa Patryka ją wyprowadziły z równowagi. Co on sobie myśli? Że po raz pierwszy w życiu miała ciężki dzień w pracy? Nigdy się nie skarżyła, ojciec i bez jej gadania wiedział, że fryzjerstwo to ciężki fach.

Z powodu ciemności oboje nie zauważyli Ewuni, która chyłkiem wślizgnęła się do pokoju i przylgnęła do ściany, usłyszawszy podniesiony głos matki. Mała spryciara szybko zorientowała się, że rozmowa nie przebiega tak, jakby sobie życzyła i przestraszyła się, że jej ukochany Pałyk

za chwilę wyjdzie, by nigdy więcej nie wrócić. Postanowiła dopomóc szczęściu. Dobrze wiedziała, że drabinka była chwiejna, bo dziadek zawsze ją prosił, by nie podchodziła zbyt blisko, gdy na nią wchodził i kategorycznie zabronił jej takich prób. Podkraǳła się w ciemności i z całej siły pociągnęła za spodnie, które udało jej się wymacać. Usłyszała krótki okrzyk: „O Jezu! ” i przestraszony pisk matki, po czym rozległ się rumor, który sprawił, że na wszelki wypadek wycofała się do kuchni, by uspokoić dziadka, nim wpadnie do pokoju i zepsuje wszystko.

– Dlaczego zrzuciłaś mnie z drabiny? – jęknął Patryk z nosem w puszystym dywanie, czując na sobie miękki ciężar.

– Nie zrzuciłam! Sam spadłeś! Ona jest niestabilna! – warknęła Anusia, usiłując się pozbierać, bo podciął jej nogi i przewróciła się na niego.

– Jak to niestabilna? Ona stoi, to ja zleciałem! – Patryk przekreślił się błyskawicznie na plecy i przytrzymał ją na sobie. – Wiesz co? – powiedział z determinacją. – Kocham cię jak idiota. Nie przeszkadza mi nawet to, że w twoim towarzystwie doznaję kontuzji. Możesz mnie zrzucać z drabiny, ile razy chcesz, tylko bądź ze mną. Przysięgam, że będę dobrym ojcem dla Blondie. I wiernym mężem, bo będę się bał, że któregoś dnia zrzucisz mnie z drabiny ze skutkiem ostatecznym...

– Nie zrzuciłam cię z drabiny! – wysyczała Anusia i nagle do niej dotarło, co powiedział. Znieruchomiała, a potem poczuła, jak rozlewa się w niej przedziwna błogość.

Kiedy Ewunia i Wiktor weszli po kilku minutach do pokoju i zapalili światło, ujrzeli na dywanie ściśle przylegający do siebie ludzki dwupak zawzięcie się całujący. Popatrzyli na siebie z ulgą, przybili piątkę, zgasili światło i wrócili do kuchni szykować kolację.

– Kama, ktoś do ciebie! – zawołała Luka, usiłując przekrzyczeć koleżankę, która wyklócała się zawzięcie z drukarnią. – Proszę usiąść. – Wskazała gościowi krzesło przy wolnym biurku. – To może trochę potrwać.

Konrad dyskretnie przyglądał się dziewczęciu, które do nich zawitało. Miało bujny skalp koloru blond ozdobiony różowymi pasemkami, co przywodziło mu na myśl prosiaka. Trudno było wyczuć, czy jest ładne, czy nie bardzo, bo twarz pokrywał makijaż przypominający indiańskiego szamana wykopującego topór wojenny. Sylwetkę miała dziewczeczka modną, na granicy anoreksji, zaś dłonie zdobiły przeraźliwie długie różowe tipsy z serduszkami z cyrkonii. Redaktor Błoński pożałował serdecznie w duchu młodej istoty, którą moda zmusza do instalacji czegoś tak niewygodnego w obsłudze.

Filip siedzący przy biurku pod oknem bez zahamowań omiótł spojrzeniem blond dziewczę, ale nie okazał zainteresowania, co zdziwiło Lukę. Czyżby po śmierci Luizy przestała go interesować płeć piękna? A może już sobie kogoś przygruchał i chwilowo odpuścił pozostałym niewiastom?

– No? Co tam? – Kama odłożyła telefon i spojrzała pytająco na Lukrecję. Ta skinęła w stronę dziewczęcia. – Słucham? W jakiej sprawie?

Dziewczątka podało jej kartkę papieru i oznajmiło nieco piskliwie:

– To moje CV. Nazywam się Liliana Urbaś i od dziś mam tu pracować. Jako dziennikarka – dodało na wszelki wypadek.

– Tak? A kto tak powiedział? – zainteresowała się złowrogo Kama.

– Szef tak powiedział – odezwał się Filip od okna. – Dzwonił rano. Zapomniałem ci powtórzyć.

Kamila rzuciła mu złe spojrzenie, przeleciała wzrokiem kartkę i uniosła brwi. Widać było, że usiłuje gryźć się w język, by nie wybuchnąć.

Wreszcie wzięła głęboki oddech i powiedziała niechętnie:

– Okej. Przyjmuję cię na okres próbny. A, zanim zaczniesz pracować jako dziennikarka, będziesz parzyła kawę, przyjmowała telefony i załatwiała pocztę. Każdy z nas tak zaczynał.

Dziewczynie zrzędała mina. Uśmiechowane grubo usta wygięły się w podkówkę, ale spojrzała na niewzruszoną minę Kamili i potulnie kiwnęła głową.

– Dobra. Dziś możesz iść do domu, a jutro masz się stawić na dziesiątą i bez tego świństwa na palcach. Tu się pracuje, a nie celebryci. I przynieś sobie kubek, każdy ma swój. Luka ci jutro pokaże, gdzie stoi ekspres i jak go używać.

Kiedy Liliana Urbaś opuściła redakcję, Kama sapnęła gniewnie i potoczyła wzrokiem po swoich podwładnych.

– Cholera! Szefowi odbiło?! Dziennikarka! Ona ma tylko maturę! Co sobie wyobraża?!

– Szef mówił, że nie miał wyjścia. Musiał ją przyjąć – mruknął Filip i wzruszył ramionami. – Pewnie córeczka kogoś ze świecznika. Choć nazwisko mi się nie kojarzy.

– A mnie tak – oświadczył Konrad. – To córka ordynatora szpitala. Obiło mi się o uszy, że małżonka szefa się u niego leczy. Pewnie mu obiecała i szef nie miał wyjścia. Ona uciążliwa jest podobno.

– Co się martwisz, Kama? – powiedziała Luka pocieszająco. – Albo ją wychowamy, albo damy taki wycisk, że sama poszuka innej pracy.

Kamila poweselała.

– Masz rację. Bo jak nie, to będziemy mieli kolejnego niespodziewanego trupa. I wyprodukuję go osobiście.